

CZŁOWIEK
POŚLANY
OD BOGA

WILLIAM MARRION BRANHAM

CZŁOWIEK
POSŁANY
OD BOGA

Gordon Lindsay, wydawca *Głosu Uzdrawienia*.
Przy współpracy z Williamem Branhamem.

G O R D O N L I N D S A Y

Tytuł oryginału: *William Branham, A Man Sent From God*



Polski wydawca:
Beskidzkie Stowarzyszenie Biblijne

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Rozdział 1	Dziwne wyzwanie 11
Rozdział 2	Szczególne narodziny oraz okres dzieciństwa 17
Rozdział 3	Trudności i ubóstwo w rodzinie Branhamów 21
Rozdział 4	Nawrócenie Williama Branhama 25
Rozdział 5	Szczęśliwe małżeństwo i brzemienna w skutki decyzja 31
Rozdział 6	Wielka powódź na rzece Ohio w 1937 roku 39
Rozdział 7	Rozpacz i wizja nieba 43
Rozdział 8	Niezwykłe wydarzenia poprzedzające wizytę anioła 53
Rozdział 9	Anioł posłany z obecności Boga 57
Rozdział 10	Początek nowej usługi 63
Rozdział 11	Pierwsza Kampania Uzdrawieniowa w St. Louis, Missouri 69
Rozdział 12	Nadzwyczajne wydarzenia podczas zgromadzeń brata Branhama, jakie miały miejsce po wizycie anioła 73
Rozdział 13	Krótkie relacje ze zgromadzeń brata Branhama 79
Rozdział 14	Autor, Gordon Lindsay, o bracie Branhamie 91
Rozdział 15	Brat Branham na północnym zachodzie 99
Rozdział 16	Początki „Głosu uzdrowienia” 103
Rozdział 17	Ekipa Branhama podąża na północ 111
Rozdział 18	Zdumiewające zdjęcie w Sam Houston Coliseum 119
Rozdział 19	Relacje amerykańskiej prasy ze zgromadzeń z bratem Branhamem 129
Rozdział 20	Dodatek o darze uzdrawiania 137
Rozdział 21	Osobiste świadectwo Williama Branhama o przeżytych wizjach 147
Rozdział 22	Podróż do Skandynawii 167

WSTĘP

Zyciorys Williama Branhama jest tak niezwykle i tak dalece przekraczający wszelką przeciętność, że gdyby nie ogromna ilość niepodważalnych faktów, które dokumentują i poświadczają jego autentyczność, to można by wybaczyć każdemu, kto uważałby to za wyolbrzymione i niewiarygodne. Jednak wydarzenia te są tak powszechnie znane, że każdy szczerzy badacz może w bardzo łatwy sposób je zweryfikować i przyznać, że są one Bożym świadectwem o Jego pragnieniu i zamiarze ponownego objawienia się nam, tak jak za czasów proroków i apostołów. Historia życia tego proroka – bo jest on prorokiem, chociaż tym wyrażeniem nie posługujemy się zbyt często – potwierdza to; ponownie jesteśmy świadkami czasów biblijnych.

W pełni zdaję sobie sprawę ze swojego braku wystarczających zdolności literackich, aby odpowiednio zobrazować i opowiedzieć historię tej wielkiej usługi. Posiłkuję się jednak tym, że niemałą część opowieści stanowią słowa samego brata Branhama, jak również innych osób związanych z jego usługą. Prosty i klarowny styl kaznodziei Branhama sam w sobie ma sporą dozę wdzięku i chociaż nie posiada on żadnych zalet kulturowych, jego styl, będąc – jakby nie patrzeć – miejscami ciężki, jest zawsze pełen dramatyzmu i okazuje się być szczególny w swoim rodzaju.

Znać brata Branhama oznacza miłować go, gdyż jest to człowiek o łagodnym i życzliwym usposobieniu, wrażliwy na ból i cierpienie innych. Czasem do tego stopnia współczuł chorym, że pozwalał, aby ucierpiało na tym jego własne zdrowie, kiedy to modlił się godzinami o potrzeby ludzi z niekończącej się kolejki. Przez pewien czas poniekąd sam dźwigał cierpienia świata na swoich słabych ramionach, aż Bóg dał mu do zrozumienia, że musi podzielić się tą odpowiedzialnością również z innymi. Kiedy powrócił na pole misyjne, usłuchał prośby swoich współpracowników, aby oszczędzać siły i nie przekraczać granic wytrzymałości swojego ciała. Nawet Jezus przejawiał zmęczenie, przez co pokazał, że dar Boskiego uzdrawiania nie czyni człowieka nieśmiertelnym.

Prawdą jest to, że brat Branham żyje w innym świecie niż przeciętny chrześcijanin. W sprawach tego świata jest prosty i nie potrafi dorównać intelektualnie tym, którzy zbyt często pragną go wykorzystać dla swoich własnych korzyści. Z drugiej strony, jeżeli chodzi o świat, w którym tak naprawdę żyje, to jego zmysły duchowe zostały pobudzone do takiego stopnia, że mógł przybliżyć się do Boga i być bardziej świadomy niebiańskiej rzeczywistości niż prawdopodobnie ktokolwiek z pośród współcześnie żyjących ludzi. To właśnie jego niezwykła duchowa wrażliwość spowodowała, że ta usługa jest taka rewolucyjna. Nie przyniósł żadnej nowej nauki, lecz świeże objawienie rzeczywistości Bożej mocy i nieodzowną prawdę Pisma na temat cudów.

Oprócz jego duchowego nastawienia, kolejnym powodem, dla którego tłumy tak lgną do niego, jest jego niezwykła pokora. Nikt nie zazdrości sukcesów temu niepozornemu człowiekowi, który przez długie lata przegrywał walkę z życiem, który przez większą część swojego życia czuł piętno niedostatku, trudności, druzgocącego smutku. Nawet te strzępy życia, które mu pozostały, wymykały mu się z rąk, aż została tylko dusza. Wyglądało na to, jakby samo niebo było przeciwko niemu. Teraz jednak możemy dziękować Bogu za nagrody, jakie mu darował, i cieszyć się razem z nim w jego zwycięstwach. Wydaje mi się, że w życiu żadnego innego człowieka śmierć nie była tak mocno ukazana, by Bóg mógł pokazać swojemu ludowi nowe, zmartwychwstałe życie.

Brat Branham jest w pełni świadomy swoich niedoskonałości, dlatego też często przeprosza słuchaczy za brak oglądy. Chętnie opowiada o swoim niskim pochodzeniu społecznym i o długoletniej walce z biedą. Nigdy nie twierdzi, że jest kimś wielkim. Jedyne w kwestii swego powołania nie ma żadnych wątpliwości ani wahania. Musi o tym mówić, aby wypełnić swoje powołanie. Jego poselstwo i dar muszą być obwieszczony światu.

Jeśli chodzi o kwestie doktrynalne, to inna sprawa. Brat Branham nie uważa się ani za teologa, ani za arbitra sporów teologicznych. Mimo swego ogromnego wpływu na tłumy ludzi, nie wykorzystuje tego, by forsować swoje własne poglądy na sprawy doktrynalne. Niektórzy bezprawnie próbowali posługiwać się jego nazwiskiem, by krzewić swoje własne, osobiste poglądy. W takiej sytuacji musiał w delikatny, lecz stanowczy sposób przeciwstawiać się takim próbom. Jego misją jest zjednoczenie Bożego ludu, a nie wprowadzanie między nimi kolejnych podziałów z powodu doktrynalnych sporów. „Poznanie nadyma, lecz miłość buduje”.

Gdziekolwiek był, jego pokora pozostawiała słuchaczy pod wrażeniem tej usługi. Chociaż jego powołanie wymaga tego, by usługiwał do wielkich tłumów, to jednak szczerze pragnie on pozostać prostym człowiekiem. Dobrze wie, że wielcy mężowie Boży, którzy byli przed nim, gdy tylko porzucili

ducha pokory i prostotę swojego chrześcijańskiego przeżycia, wtedy opuszczała ich Boża moc i namaszczenie.

Brat Branham oddalił się trochę od całego tłumu, który go otaczał, nie dlatego, że stroni od ludzi, ale dlatego, że jest to jedyny sposób, by jego służba mogła właściwie funkcjonować. Gdyby nie wycofał się z tak bliskich kontaktów z ludźmi, wkrótce poświęcałby cały swój czas, a nawet więcej, na rozmowy i udzielanie porad niezliczonym rzeszom ludzi. Gdyby na to pozwolił, nie miałby czasu oczekiwać na Boga, a zdaje sobie sprawę z tego, że jest zależny od namaszczenia Ducha w większej mierze niż ktokolwiek inny. Bez namaszczenia jest bezsilny. Nie ma w zanadrzu naturalnych talentów, które mógłby wykorzystać w razie, gdyby zabrakło tego najważniejszego czynnika. Niektórzy nie pojmują tego i są bardzo rozczarowani, gdy nie mogą porozmawiać z nim osobiście. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma ważną wiadomość, którą tylko on, a nie nikt inny, może mu przekazać.

Pomimo, że musi przebywać w innym świecie, by przynieść inspirację i błogosławieństwo dla swoich bliźnich, nie ma osoby bardziej ludzkiej i wyrozumiałej niż brat Branham. Zawsze jego celem jest to, by każdy był zadowolony i by wyświadczyć komuś przysługę, o ile jest to w jego mocy. W tej kwestii jednak nie może polegać na sobie, gdyż jest świadomy, że mógłby zobowiązywać się do rzeczy, których nie będzie w stanie wypełnić. Nic nie przygnębia go bardziej niż świadomość, że nie był w stanie dotrzymać swojego słowa. Dlatego też powierzył kwestię planowania swoich kampanii współpracownikom i to oni ustalają kolejność, w jakiej mają być realizowane zobowiązania dotyczące prowadzonych kampanii.

By właściwie zrozumieć brata Branhama, trzeba dowiedzieć się trochę o jego pochodzeniu. Jak sam twierdzi, jego rodzina była najbiedniejsza z najbiedniejszych. Kiedy się żenił, jego dochody były nędzne. Przez długi czas nie mógł sobie pozwolić na luksus posiadania w swoim domu nawet najskromniejszych udogodnień. Pewnego razu firma finansująca sprzedaż ratalną odebrała mu fotel, gdyż zalegał z płaceniem rat za niego. Przez lata głosił w swoim zborze, nie przyjmując żadnego wynagrodzenia. Tłumaczył to tym, że członkowie jego zboru są zbyt biedni, by ponosić koszty utrzymania jego rodziny oraz zboru. Pracował jako strażnik leśny w Indianie, by mieć za co zapłacić rachunki, lecz nie miał serca, żeby ukarać kogoś grzywną; chociaż wiązało się to z tym, że za swoją pracę nie dostawał potem nic. W rezultacie (brzmi to niewiarygodnie, ale taka jest prawda) musiał znaleźć dodatkową pracę – sprawdzanie linii wysokiego napięcia – którą mógł połączyć razem z obowiązkami strażnika leśnego, a tym samym utrzymać swoją rodzinę. Jednak na własnej skórze odczuł bolesny dotyk cierpienia i ludzkiego smutku, dlatego pomimo zaszczytnej pozycji, na której Bóg go postawił,

jest w stanie współczuć tym, którzy podobnie jak on idą ciemną i samotną ścieżką smutku.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Bóg powołał Williama Branhama do tego wielkiego zadania duchowego zjednoczenia Jego ludu. Pan wiedział, że on nigdy nie zapragnie założyć kolejnej organizacji. A miał ku temu wiele sposobności. Jednak nigdy, ani przez chwilę nie rozważał takiej opcji. Jego poselstwo nie zostało posłane, by przedłożyć kościołowi coś nowego i stworzyć nową organizację. W ogóle nie był tym zainteresowany. Jego nadrzędnym celem było to, by Boży ludzie, którzy do tej pory żyli podzieleni, rozpoznali to, że należą do jednego ciała i aby zjednoczyli się w duchu oczekiwania na powrót Pana Jezusa Chrystusa. Nie był zainteresowany tylko uzdrowieniem fizycznego ciała, ale uzdrowieniem mistycznego Ciała Chrystusa – Jego Kościoła. Przypomina mi się apostoł Paweł, który wskazał, że powodem chorób i przedwczesnych zgonów w kościele było to, że „nie rozróżniają ciała pańskiego i dlatego jest między nimi wielu chorych i słabych, a niemało zasnęło”. Wiemy, że to miejsce Pisma odnosi się przede wszystkim do fizycznego Ciała Chrystusa, które było symbolizowane przez łamanie chleba podczas Wieczery Pańskiej. Jednak ten fragment z pewnością odnosi się także do mistycznego Ciała Chrystusa, gdyż Paweł rozwija ten temat w I Liście do Koryntian 12. Kończąc ten rozdział, nakłania członków ciała Chrystusa, aby rozpoznawali pozycję jedni drugich w tym cielesie, mówiąc: „I jeśli jeden członek cierpi, cierpią z nim wszystkie członki; a jeśli doznaje czci jeden członek, radują się z nim wszystkie członki. Wy zaś jesteście Ciałem Chrystusowym, a z osobna członkami”. Kościół, a raczej Ciało Chrystusa, dzisiaj choruje, ponieważ jego członkowie nie żyją ze sobą w zgodzie.

Jeżeli chodzi o usługę Williama Branhama, to odkąd rozpoznał, że jego stan zdrowia nie pozwala mu pomodlić się za wszystkich obecnych na jego zgromadzeniach, zaczyna ograniczać ilość chorych, za którymi modli się każdego wieczoru. Jednak pomimo tych zmian nic nie stoi na przeszkodzie, żeby w ciągu jednego nabożeństwa wszyscy cierpiący byli uzdrowieni, zwłaszcza, że często zachęca się słuchaczy, by sami uchwycili się wiarą i przyjęli swoje uzdrowienie tam, gdzie siedzą. I rzeczywiście, liczba tych, którzy postąpili według tej instrukcji i otrzymali uzdrowienie, jest zaskakująca, a nie były to tylko osoby z niegroźnymi dolegliwościami, lecz skrajne przypadki ludzi z guzami lub chorzy na gruźlicę czy raka. Bardzo często brat Branham poprzez swój dar rozeznawał choroby i ogłaszał uzdrowienie nad osobą, która mogła nawet siedzieć zupełnie w tyle sali.

Zgromadzenia brata Branhama były źródłem inspiracji dla kaznodziejów. Nie po to, aby zachęcać coraz to nowych ludzi do organizowania wielkich kampanii, lecz by ci, którzy zaczerpnęli inspirację z tych nabożeństw,

powrócili do swoich lokalnych zborów i tam rozpoczęli prawdziwą usługę wyzwolenia. Zbyt długo w naszych kościołach używano namiastki, by przyciągnąć ludzi, aż oddawanie czci zostało zupełnie pozbawione nadprzyrodzonego elementu i zdegradowane do czysto ludzkiego poziomu. Nareszcie jednak usługa uzdrawiania pojawiła się jako biblijny sposób przyprowadzenia setek ludzi do Boga. A jakież wspaniałe usługi zrodziły się w życiu ludzi, których znamy, kiedy po powrocie ze zgromadzeń Branhama zamykali się w swoich pokojach i nie wychodzili na zewnątrz, aż usłyszeli coś z nieba!

Jeżeli chodzi o samych chrześcijan, to wiele serc zostało pobłogosławionych po tym, gdy, często po raz pierwszy, widzieli na własne oczy cud. Żaden sceptycyzm i niewiara nie mogły ostać się w czasie tych zgromadzeń, gdyż Bóg nie był już więcej Bogiem odległym i nieznanym, ale Kimś, kto jest bliski i gotowy objawić się synom ludzkim. Za każdym razem, kiedy modernizm razem ze swoją plagą niewiary zostanie z tym skonfrontowany, jest od razu bezlitośnie pokonany. Ani wyszukane słowa, ani zwodnicze wykłady nie są w stanie zwieść kogoś przy zdrowych zmysłach, kto widział na własne oczy działanie Boże. Jak nigdy wcześniej ludzie zdali sobie sprawę z tego, że Biblia jest prawdą, a Boża moc jest czymś rzeczywistym, tak samo zresztą jak niebo i piekło!

Z drugiej strony, te potężne zgromadzenia mają charakter ewangelizacyjny. Wielka populacja tego kraju, która przez lata tak rzadko miała styczność ze zgromadzeniami Pełnej Ewangelii, teraz znalazła się w ogniu kampanii Branhama. Wielu z tych ludzi odpowiedziało na wezwanie do ołtarza. Choć nie zawsze zwiększają oni liczebność lokalnych kościołów, to jednak są bezcenną zdobyczą dla Bożego królestwa. Oczywiście rozumie się samo przez się, że jest też wielu takich, którzy nawracając się, wzmacniają szeregi tych zborów, gdzie pastory czują brzemień, by interesować się i zachęcać nowonawróconych. Pewien pastor powiedział nam, że po zgromadzeniach z bratem Branhamem, które odbyły się w jego mieście, w zborze przybyło stu nowych członków. Jednak przede wszystkim, cała kampania jest świadectwem dla społeczeństwa o prawdzie i rzeczywistości poselstwa pełnej ewangelii.

Moim świadectwem jest to, że usługa Williama Branhama w wielkim stopniu wpłynęła na moją służbę. Choć zawsze praktykowałem usługę uzdrawiania i mój zbor radował się bardzo z pozytywnych skutków, jakie przynosiła ta chwalebna prawda, jednak dopiero po spotkaniu z usługą brata Branhama otrzymałem taką wiarę, że modliłem się za głuchych, niemych, ślepych i widziałem bezpośrednie rezultaty. Radowałem się także z moich własnych zgromadzeń, które kończyły się sukcesem. Z pewnością byłbym teraz zupełnie zaangażowany w swoje własne kampanie, gdyby nie to, że

Bożą wolą dla mnie jest, bym jako redaktor naczelny „Głosu Uzdrawienia”¹ poświęcił swój czas i siły, aby współpracować i zachęcać tych, którzy angażują się w sprawę tego wielkiego Bożego nawiedzenia naszego kraju. Właśnie dzięki tej pracy mam zaszczyt współpracować z Williamem Branhamem, co już samo w sobie uważam za nagrodę.

Patrząc wstecz, na początek tego Bożego nawiedzenia, zwróćmy uwagę na dzień 7 maja 1946 roku, kiedy to anioł Pański osobiście powiedział Williamowi Branhamowi, że jeżeli pozostanie wierny, wtedy wielkie duchowe przebudzenie wstrząśnie światem. Widzimy teraz, jak wypełnia się się to przed naszymi oczyma. Mówię to za nas wszystkich, włącznie z naszym umiłowanym bratem Branhamem, że widzimy poza tym niepozornym ludzkim naczyniem nieprzenikniony zamysł Najwyższego, Tego, który tak umiłował świat, że dał Swego jednorodzonego Syna. Jak niezbadane są jego wyroki i jak niepojęte jego ścieżki! Niech Mu płynie za wszystko chwała.

Gordon Lindsay
luty 1950 r.

¹ Tytuł oryginału brzmi „The Voice of Healing” [uw. tł.].

ROZDZIAŁ 1

DZIWNE WYZWANIE

Tego listopadowego wieczoru 1947 roku drzwi olbrzymiej auli miejskiego domu kultury w Portland, w stanie Oregon, zostały otwarte wcześniej niż zwykle. Już od godziny szóstej mnóstwo ludzi stało w kolejce, aby zapewnić sobie siedzące miejsce. Dozorca domu kultury porządnie się zdziwił, kiedy otwierając o określonej porze drzwi, zastał tam taki tłum. Wydawało mu się to o tyle dziwne, że nikt jakoś szczególnie nie reklamował tych zgromadzeń, a na ile pamiętał, spotkania o charakterze religijnym, nawet szeroko reklamowane, rzadko kiedy przyciągały wystarczającą liczbę ludzi, by wypełnić chociaż jeden z sektorów auli.

W przeciwieństwie do jego dotychczasowych obserwacji teraz ludzie tłoczyli się, by zająć miejsca z przodu, a nie jak to zwykle bywało, że najpierw wypełniały się środkowe, a potem tylne siedzenia. Tym razem jednak zajmowano najpierw przednie, potem te tylne – włącznie z balkonami. Dziwne wydawało mu się i to, że strażacy, którzy mieli za zadanie pilnować przestrzegania miejskich przepisów dotyczących bezpieczeństwa publicznego, teraz poinformowali go, że budynek jest już pełny i nakazali mu niezwłocznie pozamykać drzwi i nie wpuszczać już nikogo.

To zgromadzenie niewątpliwie było szczególne pod wieloma względami. Kaznodzieje wielu denominacji zajęli większość miejsc na podium. Jeśliby ich wszystkich zliczyć, bez wątpienia byłoby ich kilkuset rozsianych po całej auli. Tego typu spotkanie miejscowych i pozamiejscowych duchownych na jednym nabożeństwie rozbudzeniowym nie należało do zdarzeń wybitnie częstych, zwłaszcza na taką skalę.

Co było taką atrakcją, że zgromadziło się tyle ludzi? Z pewnością nie był to śpiew i szczególna muzyka, chociaż obie te rzeczy były znakomite

i inspirujące. Było jednak widać, że ludzie z trudem zachowywali cierpliwość, oczekując na to, co miało nastąpić po usłudze pieśni.

To, dlaczego zgromadziło się tam tyle ludzi, da się wytłumaczyć w kilku słowach. Po całym mieście rozchodziły się wieści, że przyjeżdża brat Branham i będzie przemawiał w Auli Miejskiej. Mówiono, że w nadzwyczajny sposób objawił mu się anioł, a w jego służbie przejawia się dar uzdrawiania. Trudno w to uwierzyć, lecz mimo tej tendencji do myślenia w materialistyczny sposób, która zdominowała nie tylko wykształconą warstwę społeczeństwa, ale także całą edukację, zawsze głęboko w ludzkim sercu pozostanie pragnienie manifestacji sił nadnaturalnych. Człowiek żyje przelotnym, delikatnym życiem w świecie zewsząd nacechowanym upadkiem, rozpadem i śmiercią. Modernistyczna nauka materializmu, która po śmierci człowieka nie ma mu nic do zaoferowania, nie jest w stanie zaspokoić nieodłącznej tęsknoty ludzkiej duszy za przetrwaniem. W tym zamieszaniu w świecie, gdzie słychać tysiące wzajemnie sprzecznych głosów, a każdy uzurpuje sobie prawo do władzy i zabiega o uznanie, nie jest to czymś nienaturalnym, że człowiek pragnie jakiejś widocznej manifestacji mocy Bożej, która potwierdzi prawdziwość poselstwa człowieka, który został z nim posłany. Jezus nie odrzucił tego podstawowego pragnienia i dążenia ludzkiej duszy, sam bowiem oświadczył:

„...Jestem Synem Bożym. Jeśli nie wykonuję dzieła Ojca mojego, nie wierzcie mi; Jeśli zaś wykonuję, to choćbyście mi nie wierzyli, wierzcie uczynom, abyście poznali i wiedzieli, że we mnie jest Ojciec, a Ja w Ojcu” (Ewangelia Jana 10,36–38).

Przez pierwsze dwa wieczory nabożeństwa wznieciły ogromne zainteresowanie i dlatego trzeciego wieczoru budynek był przepełniony ludźmi, którzy z coraz to większym zniecierpliwieniem oczekiwali na pojawienie się usługującego. Jako że przypadła mi rola prowadzącego tę krótką kampanię, to zanim przekazałem zgromadzenie w ręce ewangelisty, poprosiłem słuchaczy, by powstali i zaśpiewali pieśń: „Tylko Mu wierz, tylko Mu wierz, wszystko możliwym jest, tylko Mu wierz”. Kiedy to wielkie zgromadzenie śpiewało, za kazalnicy wszedł niski, niepozorny i skromny w zachowaniu człowiek z miłym uśmiechem na twarzy. Śpiew ustał, a w tłumie zapanowała cisza, gdyż każdy przysłuchiwał się z uwagą, co ten człowiek mówił. Im dłużej przemawiał, tym bardziej można było dojść do przekonania, że mówca urzekł słuchaczy swoją uprzejmością i jawnym przejawem szczerości i pokory. Ewangelista zainspirowany śpiewanym refrenem, podjął myśl o wierze i rozpoczął temat swojego poselstwa słowami: „Tak, wszystkie rzeczy są możliwe dla wierzącego. Nic nie jest w stanie ostać się przed wiarą w Boga. Jeżeli

ludzie tego wieczoru będą wierzyć razem ze mną, wtedy Bóg uzna tę wiarę i potwierdzi ją na oczach tej publiczności”.

Podczas gdy słuchacze z napiętą uwagą przysłuchiwali się temu drobnemu, niewysokiemu mężczyźnie, prawdopodobnie tylko jedna osoba przeczuwała nadchodzące i wzbudzające sensację widowisko. Ja, jako prowadzący, nie domyślałem się nawet, że to, co miało się zaraz wydarzyć, będzie aż takie straszne. Oto nagle naszą uwagę zwrócił mężczyzna w tyle sali, który szybkim krokiem zmierzał wyraźnie w kierunku podium. Z początku myśleliśmy, że miał miejsce jakiś nagły wypadek, że może któryś ze słuchaczy zemdłał lub poważnie zachorował. Z chwilą jednak, gdy się przybliżył, widok jego twarzy, wygiętej w demonicznym grymasie, potwierdził tylko nasze obawy, że mamy do czynienia z szaleńcem lub umyślowo chorym, który na pewno uciekł swym opiekunom. Nawet dobrze, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, iż ten mężczyzna to nie był po prostu obłąkany, który nie wiedział, co robi, ale że to brutalny typ, który już wcześniej był pociągany do odpowiedzialności karnej za notoryczne zakłócanie i rozbijanie spotkań religijnych. Wyroki pozbawienia wolności niewiele go nauczyły. Teraz, korzystając z okazji, przybył, by spowodować wielkie zamieszanie i rozbić jeszcze jedno nabożeństwo.

Bez wahania, wielkimi krokami sunął do przodu. Kiedy wchodził na podium, zdążył swoją groźną postawą zwrócić uwagę całego zgromadzenia. Widząc co się dzieje, dwaj barczyści policjanci byli gotowi interweniować i obezwładnić awanturnika, ale nie chcieliśmy, by przepychanka i zamieszanie, jakie wokół tego się wytworzy, zrujnowało na dobre całe zgromadzenie. Mało tego, ewangelista dopiero co stwierdził, że wszystko jest możliwe dla tych, którzy wierzą i że Bóg zawsze potwierdzi Swoich usługujących, którzy Mu ufają. Rzeczywiście, nawet słuchacze byli w tak wielkim oczekiwaniu, że poleganie na stróżach prawa, chociaż zupełnie w tym wypadku zasadne, nie wydawało im się zgodne z porządkiem. Jedyne, co wydawało nam się słuszne, to zatrzymać tych policjantów i zwrócić uwagę ewangelisty na to, co się dzieje. On już jednak zdążył się zorientować się, że coś jest nie tak. Po tym, jak szeptem poprosił zgromadzonych, by złączyli się z nim w cichej modlitwie, odwrócił się, by stawić czoło dziwnemu wyzwaniu nikczemnego antagonisty.

Kiedy to uczynił, mężczyzna ze złowieszczym wyrazem twarzy, który przypominał szelmowski uśmiech na twarzy pogańskiego bożka, zaczął bezczelnie oskarżać i przeklinać usługującego: „Jesteś od diabła – krzyczał – i zwodzisz ludzi! Oszust, podstępna żmija i kłamca! Ale ja zamierzam pokazać tym ludziom, kim naprawdę jesteś!”. To było poważne wyzwanie i wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie jest to pogróżka rzucona na wiatr. Sycząc i plując intruz oskarżał ewangelistę, gdy nagle wykonał ruch, jakby naprawdę

chciał wcielić w życie swoją groźbę. Z punktu widzenia zgromadzonych sytuacja tego niedużego człowieka nie wyglądała zbyt wesoło; większość pewnie szczerze mu współczuła. Policjanci chcieli ponownie przyjść mu z pomocą, ale kaznodzieja ich powstrzymał, przez co rozmyślnie przyjął wyzwanie podłego oponenta, który swoimi rozmiarami i gwałtownością przekonywał, że nie będzie miał większego problemu z wprowadzeniem swych przechwałek w czyn. Niewątpliwie krytycy, którzy wślizgnęli się do sali z czystej ciekawości, spodziewali się szybkiego i nieprzyjemnego dla kaznodziei zakończenia tego niespodziewanego zajścia, którego apogeum niechybnie miało zaraz nastąpić. Oczywiście widzieli, że w tej sytuacji nie ma miejsca na oszustwo. Teraz mężczyzna na podium musiał wykazać się tym, o czym mówił, że posiada, albo ponieść konsekwencje.

W chwili pełnej napięcia mimowolnie stanęła nam przed oczami prastara historia innego wyzwania, kiedy to zuchwały Goliat przeklinał małego Dawida w imieniu swoich bogów i chełpił się, że rozerwie go na strzępy. Przestraszeni zgromadzeni, niczym ówczesne zastępy izraelskie, w osłupieniu czekali na rozwój wydarzeń, nie wiedząc, czego się spodziewać, a zarazem obawiając się najgorszego. Kaznodzieje siedzący na podwyższeniu wcale nie emanowali większym spokojem niż publiczność. Zdawali sobie sprawę, że jeżeli Bóg nie uczyni czegoś niezwykłego i nie potwierdzi ewangelisty w nadprzyrodzony sposób, to ten podły intruz jest w stanie rozbić to zgromadzenie, tak jak udawało mu się to już w przeszłości. Niektórych bardzo poirytowało to, że nie pozwolono policjantom wkroczyć do akcji. Uważali oni, że taki błąd w ocenie sytuacji nie tylko może zrujnować całe nabożeństwo i przynieść hańbę sprawom Królestwa, ale też, że kaznodzieja mógłby doznać ciężkich obrażeń ciała.

Sekundy mijały, a punkt kulminacyjny nie następował. Po chwili wydawało się, że coś powstrzymuje awanturnika przed urzeczywistnieniem swoich niecnych zamiarów. Z jakiegoś powodu nie wprowadzał swojego planu w czyn i zadowalał się tylko syczeniem, pluciem i obrzucaniem ewangelisty najokropniejszymi obelgami. Można było pośród tych przekleństw usłyszeć spokojny, ale zdecydowany głos kaznodziei, który gromił moc ciemności, jaka panowała nad tym człowiekiem. Mówił tak cicho, że jego słowa słychać było tylko w niewielkiej odległości od niego. Mówił: „Szatanie, ponieważ wyzwałeś sługę Bożego przed tą rzeszą ludzi, musisz ugiąć się przede mną. W imieniu Jezusa Chrystusa padniesz u moich stóp”. Powtórzył te słowa jeszcze parę razy. Prowokator ucichł i było oczywiste, że teraz to on znalazł się na gorszej pozycji. Mimo jego siły i potęgi, moce ciemności, które nim władały, posilane przez każdego złego ducha w tamtym budynku, stopniowo na naszych oczach zaczęły wycofywać się w obawie przed Mocą większą niż one, Mocą, która została uwolniona przez wyszeptanie imienia Jezusa! W tym

momencie krople potu wystąpiły mu na czoło i człowiek ten uświadomił sobie, iż jest na przegranej pozycji i że nic nie jest w stanie uchronić go przed porażką. W takim stanie rzeczy zebrał wszystkie nieczyste moce, które miał w sobie, by zdobyć się na ostatnią próbę uzyskania przewagi, lecz próbował na darmo. Nagle ten, który jeszcze chwilę wcześniej w tak bezwstydnym sposobie groził, oskarżał i przeciwstawiał się mężowi Bożemu, teraz wydał okropny jęk i osunął się na podłogę, szlochając w histeryczny sposób. Przez chwilę jeszcze wiał się po podłodze, a w międzyczasie ewangelista kontynuował już nabożeństwo tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Rzecz jasna zgromadzeni byli pod wrażeniem tej sceny, jaka rozegrała się na ich oczach, w której Bóg tak dobitnie potwierdził Swojego sługę. Głośne okrzyki chwały zapełniły tę wielką aulę. Także policjanci byli zaskoczeni tym, czego byli świadkami, przyznali, że Bóg musi być obecny na tym miejscu. Nikt ze zgromadzonych nie zapomni chwały Bożej, która była później obecna na zgromadzeniu uzdrowieniowym. Miało miejsce wiele uzdrowień pomiędzy tłumami, jakie tamtego wieczoru przewinęły się przez kolejkę modlitwy.

Ale kim właściwie był ten drobny mężczyzna, który wypowiadał się z takim autorytetem, a jego służba była potwierdzana przez tak niesamowite demonstracje Bożej mocy? Miał na imię William Branham i pochodził z Jeffersonville w stanie Indiana, a jego służba miała mieć coraz większy zasięg, tak że w chwili pisania tej książki dotarła już na cały świat. Wielu mieszkańców Portland chwaliło Boga, który ponownie nawiedził Swoj lud. Także wielu kaznodziejów uświadomiło sobie, że Bóg poruszał się pomiędzy nimi w szczególnej mocy. Szczerze wierzyli, że to, co teraz przeżyli, było jedynie znakiem, iż Bóg ma zamiar czynić większe dzieła pośród swego ludu. Usługi niektórych naprawdę przeżyły gruntowne zmiany. Jednym z nich był młody kaznodzieja, którego żona, po tym jak była świadkiem tego niezwykłego incydentu z opętaniem, przekonała, aby udał się z nią na ostatnie wieczorne zgromadzenie. Kiedy usiadł i przyglądał się, jak uszy małych głuchoniemych dzieci otwierały się tak, że mogły słyszeć i powtarzać różne słowa, Bóg przemówił do niego: „Do tej samej pracy powołałem także ciebie”. Następnego dnia przekazał obowiązki związane ze swoim zbożem paru zaufanym członkom, zamknął się w pokoju i zdecydował się nie wychodzić, dopóki nie objawi mu się Boża wola. Z tego czasu refleksji zrodziła się usługa, która przeprowadziła do zbawienia tysiące dusz i której towarzyszyło mnóstwo znaków i cudów. Ten młody człowiek to ewangelista T. L. Osborn.

O dziwo na koniec kampanii dowiedzieliśmy się, że kilku powątpiewało. Dlaczego Bóg wybrał człowieka o tak skromnym pochodzeniu i ograniczonej mądrości tego świata? Nie mogli zrozumieć podstawowej reguły, o której pisze Paweł w I Liście do Koryntian 1, 26–29: „Przypatrzcie się zatem sobie,

bracia, kim jesteście według powołania waszego, że niewielu jest między wami mądrych według ciała, niewielu możnych, niewielu wysokiego rodu. Ale to, co u świata głupiego, wybrał Bóg, aby zawstydzić mądrych, i to, co u świata słabego, wybrał Bóg, aby zawstydzić to, co mocne. I to, co jest niskiego rodu u świata i co wzgardzone, wybrał Bóg, w ogóle to, co jest niczym, aby to, co jest czymś, unicestwić. Aby żaden człowiek nie chełpił się przed obliczem Bożym”.

Jednak zdecydowana większość ciągle wierzyła i niezmiernie się radowała. I chociaż ewangelista każdemu z tysięcy chorych, którzy szukali uzdrowienia, mógł poświęcić jedynie krótką chwilę, liczba świadectw o uzdrowieniu była zadziwiająca. I jeśli nawet są tacy, którzy pozwolili wątpliwościom owładnąć swój umysł i nie skorzystali z tej kampanii w takim wymiarze jak inni, to jednak ci, którzy uwierzyli, aż dotąd określają te zgromadzenia w Portland jako niezapomnianą godzinę nawiedzenia.

Myślę też, że nadszedł czas, abyśmy dowiedzieli się więcej o tym człowieku, Williamie Branhamie. Skąd pochodził? W jaki sposób spotkał się z Bogiem i otrzymał powołanie, aby modlić się za chorych? Właśnie na te pytania czytelników chcielibyśmy odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ 2

SZCZEGÓLNE NARODZINY ORAZ OKRES DZIECIŃSTWA

Zaczynało świtać pewnego pięknego, kwietniowego poranka 1909 roku niedaleko miejsca, gdzie pośród pagórków Kentucky bez mała sto lat wcześniej urodził się Abraham Lincoln. Poranne promienie słońca wpełzły przez okno ubogiej chaty i oświetliły niewielkie, prymitywnie ciosane łóżeczko, skąd dobiegał krzyk niemowlęcia. Dwie małe rączki tego dwuipółkilogramowego noworodka głaskały swoją piętnastoletnią mamę po policzkach. W pobliżu łóżeczka stał młody ojciec, Charles Branham, z rękoma skrzyżowanymi na przedniej kieszeni swoich nowych ogrodniczek. Będąc górale, uważał to za strój odświętny, zakładany na szczególne okazje. Kiedy zaświtał poranek, ptaszki rozpoczęły swoje trele, a ojcu wydawało się, że Gwiazda Poranna zaczęła świecić nieco jaśniej. Małeństwo znowu zaczęło płakać, a jego drobne rączki otarły się o twarz matki.

„Nazwiemy go William” – powiedział uszczęśliwiony ojciec, patrząc na swego nowonarodzonego syna. „Myślę, że to będzie dobre – powiedziała matka – bo można będzie na niego mówić Billy”. Matka nawet nie przypuszczała, że sam wszechmogący Bóg posłuży się rękoma tego małego dziecka, by wyzwolić Swój lud z chorób i więzów. Nikt też w tej części kraju nawet by nie pomyślał, że ten mały chłopczyk, urodzony w tak skromnych, górskich warunkach, mógłby kiedyś zanieść poselstwo ewangelii na cały świat. Rodzina Branhamów była najbiedniejsza wśród wszystkich górali zamieszkujących pobliskie wzgórza. Lecz drogi Boże są niezbadane! Kto spośród tamtejszych ludzi uwierzyłby, gdyby ktoś powiedział, że Bóg posłuży się tymi rękami do wypędzania demonów, do otwierania oczu niewidomym, uszu głuchym, do

usuwania guzów raka i do przyprowadzania tysięcy ludzi do pokuty przed Bożym ołtarzem? Nie uwierzyliby też w to, że chorzy z całego kontynentu będą przywożeni do niego samolotami, albo że pociągi i autobusy będą mu dowozić ludzi, którzy pragnęli uwolnienia. A także, że będą ciągnąc z zachodu i ze wschodu, z południa i z północy, by słuchać jego prostych i skromnych opowieści o Jezusie Chrystusie, Zbawicielu.

Kiedy zjawili się sąsiedzi, by podziwiać noworodka, mieli dziwne uczucie świętej bojaźni, która wypełniała pomieszczenie. Kto odważy się powiedzieć, że nie była to obecność anioła, który pod przewodnictwem Bożym prowadził brata Branhama w różnych okolicznościach jego życia, a później rozmawiał z nim twarzą w twarz?

Dokładnie dwa tygodnie później rodzice przynieśli to dziecko, aby zostało pobłogosławione, do Lone Star, małego staromodnego kościoła baptystycznego, zbudowanego z surowych bali i gontów. Podłoga była klepiskiem, a ławki zastępowały deski luźno położone na pniach. To była pierwsza wizyta małego Williama Branhama w kościele!

CUDOWNE OCALENIE MATKI I DZIECKA

Z racji tego, że ojciec był drwalem, często bywał poza domem, szczególnie jesienią i zimą, kiedy zła pogoda uniemożliwiała podróżowanie. W tym czasie matka musiała zostawać sama z dzieckiem. I tak pewnego razu o mało nie stracili życia.

Zdarzyło się, że kiedy dziecko miało około sześciu miesięcy, a ojciec był daleko poza domem, nadeszła potężna burza śnieżna, która na wiele dni sparaliżowała całą okolicę. W chacie pozostało niewiele żywności i po niedługim czasie matka nie miała ani drewna, ani jedzenia. Owinęła zatem nogi w worki z grubego płótna i wyszła do lasu, gdzie narąbała trochę małych drzewek, po czym zaciągnęła je do domu. W ten sposób usiłowała podtrzymać ogień i ciepło w chatce. Jednak z dnia na dzień była coraz słabsza, aż wreszcie musiała się poddać. Kiedy już zabrakło żywności i opału, owinęła siebie i dziecko w całą pościel, jaką udało jej się znaleźć, i tak oczekiwała końca. W tym momencie Bóg posłał anioła i uratował im życie.

Spora odległość dzieliła Branhamów od ich najbliższego sąsiada, ale ten i tak miał ich chatę w zasięgu wzroku. Nie wiadomo, dlaczego miał dziwne przeczucie i zastanawiał się, co dzieje się w tamtej małej lepiance. Wielokrotnie spoglądał w tamtą stronę i za każdym razem był coraz bardziej zaniepokojony, zwłaszcza że nie widział unoszącego się dymu z komina. Po kilku dniach był już prawie pewny, że coś jest nie tak, więc postanowił to sprawdzić, mimo że miał do pokonania znaczną odległość poprzez wielkie zasypy śnieżne.

Kiedy doszedł do chaty, jego obawy się potwierdziły, bo nikt z wewnątrz nie odpowiadał. Na zewnątrz zaś nie było żadnych śladów, co oznaczało, że nikt nie opuszczał chaty, a na dodatek drzwi były od wewnątrz zaryglowane. Zdecydował, że wyważy drzwi. Kiedy dostał się do środka, przeraził go widok matki i dziecka owiniętych w pościel, bliskich śmierci z głodu i zimna. Serdeczny sąsiad postarał się szybko o drewno i napalił w piecyku tak, że w lepiance zaraz zrobiło się ciepło. Potem wrócił do swojego domu po żywność. Przyszedł z pomocą dokładnie na czas. Matka i dziecko doszli do siebie i szybko wrócili do zdrowia.

Niedługo potem rodzina Branhamów przesiedliła się z Kentucky do Indiany, gdzie ojciec znalazł pracę u pewnego rolnika w pobliżu miasta Utica w Indianie. Po roku przenieśli się dalej, w głąb doliny, w pobliżu Jeffersonville (Indiana), średniej wielkości miasta, które miało stać się rodzinnym miejscem Williama Branhama.

PIERWSZY ROZKAZ BOŻY

Minęło parę lat. Chłopczyk miał już około siedem lat i rozpoczął naukę w wiejskiej szkole, oddalonej o kilka mil na północ od Jeffersonville. Wtedy po raz pierwszy Bóg przemówił do niego. Pozwolimy bratu Branhamowi samemu opowiedzieć tę historię o niezwykłym nawiedzeniu:

Pewnego popołudnia nosiłem do domu wodę ze stodoły, która była oddalona o jakieś sto metrów. W połowie drogi między domem a stodołą rosła stara topola. Właśnie wróciłem ze szkoły i inni chłopcy szli nad staw łowić ryby. Płakałem, bo chciałem iść z nimi, lecz ojciec powiedział, że mam nosić wody. Przystanąłem więc pod drzewem, by nieco odpocząć, gdy nagle usłyszałem dźwięk, tak jak gdyby wiatr poruszał liśćmi. Wiedziałem, że nigdzie indziej wiatr nie wieje, bo popołudnie było wyjątkowo bezwietrzne. Oddaliłem się nieco od drzewa i zauważyłem, że wiatr porusza liśćmi tego drzewa tylko w jednym miejscu. Potem usłyszałem głos, który rzekł: „Nigdy nie pij, nie pal i nie zanieczyszczaj w żaden inny sposób swego ciała, bo mam dla ciebie pracę do wykonania, kiedy będziesz starszy”.

Przeraziłem się do tego stopnia, że od razu pobiegłem do domu, ale nikomu o tym nie mówiłem. Krzycząc wpadłem do domu w ramiona mamy, która pomyślała, że ukąsił mnie wąż. Powiedziała jej, że po prostu się przestraszyłem, więc położyła mnie do łóżka i wezwała lekarza, bo myślała, że doznałem szoku. Nigdy więcej nie przeszedłem obok tego drzewa. Chodziłem teraz drugą stroną ogrodu, aby je omijać. Wierzę, że w tym drzewie był ten anioł Boży, z którym w późniejszych latach miałem spotkać się twarzą w twarz i rozmawiać.

Ponieważ Bóg miał mnie w szczególnej opiece, nigdy nie piłem ani nie paliłem. Pewnego dnia poszedłem z moim ojcem i jeszcze jednym panem nad rzekę. Oni zaproponowali mi, żebym napił się whisky, a ponieważ chciałem przypodobać się temu mężczyźnie, żeby mi pozwolił używać swojej łodzi, zdecydowałem się zrobić łyk. Lecz w tym momencie, tak jak prawdą jest, że teraz to mówię, usłyszałem ten sam odgłos, podobny do szelestu liści. Kiedy się rozejrzałem i nigdzie nie zauważyłem nawet śladu wiejącego wiatru, ponownie podniosłem butelkę do moich ust. Jednak znów usłyszałem ten sam szelest, tylko wyraźniejszy. Ogarnął mnie strach, tak jak przedtem. Upuściłem butelkę i zacząłem uciekać, podczas gdy mój ojciec wołał za mną: „Mięczak”. O, jak mnie to bolało! Później tak samo nazwała mnie też moja sympatia z młodych lat, której powiedziałem, że nie palę. Rozgniewały mnie jej kpiny, więc wziąłem papierosa i zamierzałem go mimo wszystko zapalić. I znów usłyszałem dobrze znany mi szelest, co spowodowało, że rzuciłem tego papierosa na ziemię. Odszedłem stamtąd płacząc, że nie mogę być taki jak inni ludzie. W tle słyszałem drwiny całego towarzystwa.

Zawsze miałem dziwne wrażenie, że ktoś stoi blisko mnie i usiłuje mi coś powiedzieć, szczególnie wtedy, kiedy byłem sam. Do tego wszystkiego wydawało mi się, że nikt mnie nie rozumie. Chłopcy, z którymi pragnąłem się przyjaźnić, nie chcieli mieć ze mną nic do czynienia, dlatego że nie piłem i nie paliłem. A że wszystkie dziewczęta chodziły na tańce, więc i do nich nie mogłem się przyłączyć. Odnosiłem wrażenie, że już przez całe życie pozostanę czarną owcą, nie znałem bowiem człowieka, który by mnie zrozumiał. Zresztą ja sam siebie nie rozumiałem.

ROZDZIAŁ 3

TRUDNOŚCI I UBÓSTWO W RODZINIE BRANHAMÓW

Wydaje się, że ludzie wybrani przez Boga często spędzali swoją młodość w trudnych warunkach, często w skrajnym ubóstwie. Nieraz pisane im było zakosztować z kielicha goryczy. Wiemy, że nikt tak dobrze nie współczuje bliźniemu w jego potrzebach i troskach jak ten, kto sam przechodził podobne doświadczenia. Ci, których Bóg nadzwyczajnie powołał, rzadko byli wychowywani w bogatych domach lub arystokratycznych rodzinach. Nawet nasz Zbawiciel miał za kołyskę jedynie żłób. Kiedy ósmego dnia miał być obrzezany, Jego rodzina przyniosła tylko parę gołąbków na tradycyjną ofiarę. Taką ofiarę mogli złożyć rodzice, których nie stać było, by ofiarować baranka (III Księga Mojżeszowa 12, 8). Za czasów służby Jezusa Jego przeciwnicy pewnego razu zakwestionowali autorytet Jego poprzednika, Jana Chrzciciela. Jan ubierał się bowiem w szatę wykonaną z sierści zwierząt, a jego kazania były nieokrzesane i dalekie od stylu, jakim posługiwali się uczeni w Piśmie i jakiego byli nauczani w swoich szkołach. Jezus powiedział jednak o Janie, że nikt narodzony z niewiasty nie jest od niego większy. Zapytał także krytyków: „A co wyszłście oglądać? Czy człowieka w miękkie szaty odzianego? Oto ci, którzy miękkie szaty noszą, w domach królewskich mieszkają”. Innymi słowy chciał im dać do zrozumienia, że nie powinni się spodziewać, iż prorok pokroju Jana wyłoni się ze środowiska, w którym byłby rozpieszczany i chroniony przed stresami życia. Pokora i siła charakteru najlepiej rozwijają się pośród życiowych doświadczeń, nawet wśród cierpienia i nędzy. To spostrzeżenie szczególnie możemy odnieść do życia Williama

Branhama. Pozwólmy jemu samemu powiedzieć parę słów o swoim domu, dzieciństwie i o walce ojca z ubóstwem:

Naprawdę podziwiałem mojego tatę. Za każdy razem, gdy zawiązał rękawy i pojawiały się jego potężne mięśnie, mówiłem: „O, tata będzie żył sto lat!”. Muskularną budowę swojego ciała ojciec zawdzięczał ciężkiej pracy w lesie. Wydawało mi się, że nigdy nie umrze. Lecz kiedy miał zaledwie 52 lata, a jego loki nie były jeszcze przyprószone siwizną, skłonił swoją głowę na moim ramieniu i Bóg go zabrał.

Widziałem ojca, jak wracał z wyrębu tak spalony od słońca, że matka musiała brać nożyczki i rozcinać mu koszulę na plecach. Pracował ciężko za 75 centów dziennie², aby zapewnić nam utrzymanie. Kochałem mojego ojca pomimo tego, że pił. Niekiedy sprawiał mi lanie, lecz tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Na naszej ścianie wisiało Dziesięć Przykazań, a zaraz obok gruba różga z hikorii. Kiedy zrobiłem coś złego, dostawałem lanie w szopie za domem. Mimo to kochałem mojego ojca. Kilka lat później oddał swe serce Chrystusowi i został zbawiony na kilka godzin przed tym, jak umarł w moich ramionach.

NĘDZA W DOMU

Przypominam sobie, jak często ojciec musiał pracować ponad siły, aby zapłacić rachunki. Bycie biednym to żaden wstyd, ale czasem nie jest to łatwe. Pamiętam też, że nie miałem nawet przyzwoitych ubrań do szkoły. Cały rok chodziłem bez koszuli. W pobliżu mieszkała bogata kobieta, która podarowała mi płaszcz z odznaką marynarską na rękawie. Zapinałem ten płaszcz pod samą szyję, ale przez to było mi strasznie gorąco. Nauczycielka zapytała mnie kiedyś: „Williamie, dlaczego nie zdejmiesz tego płaszcza?”. Lecz ja nie mogłem go zdjąć, bo nie miałem pod nim koszuli. Więc skłamałem i powiedziałem: „Jest mi zimno”. Wtedy powiedziała, abym usiadł bliżej pieca. I musiałem tam siedzieć, a pot spływał ze mnie strużkami. Potem znów zapytała: „Rozgrzałeś się już?”. A ja musiałem znów skłamać: „Nie, proszę pani”.

Tak, to był ciężki czas. Z butów wychodziły mi palce jak żółwie główki. Później dostałem koszulę. Powiem wam, co to była za koszula. Była to dziewczęca sukienka z niesamowitą ilością falbanek, która pierwotnie należała do mojej kuzynki. Obciąłem dół tej sukienki i włożyłem na siebie. Dumny poszedłem do szkoły. Dzieci zaczęły się ze mnie wyśmiewać. Spytałem: „Dlaczego się ze mnie śmiejecie?”. Odpowiedziały: „Bo masz na sobie dziewczęcą sukienkę”.

² Około 40,- pln [uw. tł.].

Wtedy znów musiałem skłamać i powiedziałem: „To nie prawda, to jest strój Indianina!”. Jednak nie uwierzyli mi, więc z płaczem wybiegłem ze szkoły.

W pobliżu mieszkał chłopak, który sprzedawał harcerskie czasopisma. W ramach nagrody za to otrzymał mundurek harcerski. Ach, jak ja chciałem mieć takie ubranie! Był to okres wojenny, więc każdy, kto był w wieku poborowym, nosił mundur. Zawsze pragnąłem być żołnierzem, lecz byłem za mały. Nawet w ostatniej wojnie nie mogłem brać udziału, bo byłem zbyt niski. Mam czterech braci, którzy brali udział w wojnie. Bóg dał mi jednak mundur, zbroję Bożą, w której mogę chodzić i walczyć z chorobami i innymi nieszczęściami, które ludzi wiążą i trapią.

Ależ podziwiałem ten harcerski mundur z kapeluszem i spodniami. Kiedyś zapytałem: „Lloyd, czy mógłbyś dać mi to ubranie, kiedy przestaniesz już je nosić?”. On odpowiedział: „Nie ma sprawy, Billy”. Lecz, ojej, on nosił i nosił to ubranie niesłychanie długo. Potem nie widywałem go w nim przez pewien czas. Poszedłem więc do niego i spytałem: „Lloyd, co zrobiłeś z tym mundurkiem?”. Odpowiedział: „Billy, zobacz, czy go jeszcze w domu znajdziesz”. Poszukał i stwierdził, że została tylko jedna nogawka z całego ubrania. Resztę mama pocięła na łąty do spodni taty. Poprosiłem więc o tę nogawkę, a kiedy wróciłem do domu, wsunąłem sobie tę część spodni na nogę. Przy nogawce był sznurek do ściągania, więc związałem go i wyobrażałem sobie, że jestem prawdziwym żołnierzem. Tak wystrojony chciałem pójść do szkoły, ale nie wiedziałem, jak to zaaranżować. Udałem więc, że mam zranioną nogę i naciągnąłem na nią nogawkę. W szkole nauczyciel posłał mnie do tablicy. Usiłowałem ukryć tę nogę, która nie była okryta. Dzieci wybuchły śmiechem, a ja rozplakałem się i nauczyciel zwolnił mnie do domu.

Pamiętam jak dwa razy w miesiącu jeździliśmy starym wozem do sklepu spożywczego, żeby zapłacić rachunki za zakupy. Właściciel sklepu zwykle obdarowywał nas podłużnymi cukierkami w kształcie sopli. My, mali chłopcy, siedzieliśmy tam na tym wozie i czekaliśmy, aż ojciec wyjdzie ze sklepu, połamie na równe części cukierkowe sople i sprawiedliwie je pomiędzy nas podzieli. Mógłbym dziś po południu pójść i kupić całe pudełko mlecznych czekoladek, ale nigdy nie smakowałyby mi tak bardzo, jak tamte cukierki. Czasami lizałem tylko część cukierka, potem owijałem go w papier i chowałem do kieszeni. Czekałem mniej więcej do poniedziałku, a potem znów go przez chwilę polizałem. Moi bracia natomiast dawno wszystko pozjadali i potem mieli chęć na mojego. Czasem dogadywałem się z nimi, że jeśli pomogą mi w domowych obowiązkach, to pozwolę im polizać parę razy mojego sopla.

ROZDZIAŁ 4

NAWRÓCENIE WILLIAMA BRANHAMA

William Branham jako chłopak nie był jeszcze nawrócony, mimo że już doświadczył prowadzenia Bożego w swoim życiu. Jeszcze przez pewien czas opierał się Bożemu wezwaniu. W wieku 14 lat został poważnie raniony w czasie polowania i przez siedem miesięcy przebywał w szpitalu. Bóg mówił do niego, lecz on nie zwracał na to uwagi. Niemniej jednak był coraz bardziej świadomy swego powołania. Z racji tego, że jego rodzice nie byli chrześcijanami, nie mógł od nich czerpać żadnej zachęty. Dlatego też im bardziej przybywało mu lat, tym bardziej nieprzyjaciel próbował stłumić ten cichy głos, który stale mówił do jego serca.

WYJAZD NA ZACHÓD

Kiedy miał 19 lat, zdecydował się przenieść na Zachód i tam pracować na ranczo. Pewnego wrześnieowego poranka 1927 roku powiedział swojej matce, że jedzie na wycieczkę do Tunnel Mill, miejscowości położonej mniej więcej 22 kilometry na północ od Jeffersonville. Powiedział jej tak, bo zdawał sobie sprawę, że jeśli matka dowie się o jego podróży na Zachód, to będzie chciała pokrzyżować jego plany. Kiedy więc matka otrzymała od niego kolejną wiadomość, zamiast w Tunnel Mill był już daleko w Phoenix, w Arizonie. W rzeczywistości czuł głęboko w sercu, że ucieka przed Bogiem. Z początku rozkoszował się atrakcjami Zachodu i życiem na ranczo, lecz wkrótce, jak zresztą wszystkie inne przyjemności tego świata, spowszedniało mu to całkowicie.

O swoich doświadczeniach na Zachodzie i o Bożym wołaniu, które wciąż odczuwał w sercu mówi:

Często słyszałem powiew wiatru w wysokich sosnach, jak gdybym słyszał Jego głos, który ponad lasem wołał: „Adamie, gdzie jesteś?”. Gwiazdy zdawały się być tak blisko, iż wydawało się, że można je dotknąć ręką. Bóg zdawał się być bardzo blisko.

Coś, co dobrze utkwilo mi w pamięci z mojego pobytu na Zachodzie, to tamtejsze pustynne drogi. Ktoś, kto schodzi z takiej drogi, może z łatwością się zgubić. Turystom zazwyczaj podobają się małe pustynne kwiatki, więc oddalają się w ich poszukiwaniu, schodzą z głównej drogi, zagłębiają się w pustynię i umierają z pragnienia. Z drogą chrześcijanina sprawa ma się tak samo. Bóg ma pewną drogę. Mówi o tym w 35 rozdziale Księgi Izajasza. Ona nazywa się „drogą świętości”. Czasem małe przyjemności tego świata odciągają kogoś z tej drogi, przez co traci on swoje przeżycie z Bogiem. Temu, kto zgubił się na pustyni, często ukazuje się fatamorgana. Dla tych, którzy umierają z pragnienia, fatamorgana wygląda jak rzeka albo jezioro. Ludzie biegną tam, wskazują, ale okazuje się, że kąpią się tylko w gorącym piasku. Czasem szatan pokaże ci coś, o czym mówi, że jest to przyjemne. To jest właśnie fatamorgana – jest to coś, co w rzeczywistości nie istnieje. Jeżeli go posłuchacie, wtedy sami sprowadzicie na siebie nieszczęście. Nie zwracaj na niego uwagi, drogi przyjacielu! Wierz Jezusowi, który głodnemu i pragnącemu da Żywą Wodę.

ZŁA WIADOMOŚĆ

Pewnego dnia ten młody człowiek otrzymał z domu list, że jeden z jego braci jest ciężko chory. Był to Edward, najbliższy mu wiekiem. William nie przypuszczał, że choroba jest poważna i myślał, że wszystko będzie dobrze. Kiedy jednak kilka dni później wrócił wieczorem z miasta na ranczo i wszedł do jadalni, czekała na niego wiadomość: „Billy, przyjdź natychmiast na północne pastwisko. Bardzo ważne”. Pobiegł tam zaraz i pierwszą osobą, którą spotkał, był stary teksański strażnik leśny, którego nazywali „Tatą”. Na jego twarzy malował się smutek. Powiedział: „Billy, chłopcze, mam dla ciebie złą wiadomość”. W tym momencie dołączył do niego kierownik rancza i oboje poinformowali go o śmierci jego brata Edwarda.

Możecie sobie wyobrazić jego przerażenie, kiedy sobie uzmysłowił, że nigdy więcej nie zobaczy swego brata na tym świecie. Od tego momentu wszystko potoczyło się bardzo szybko. Za każdym razem, gdy sprzeciwiał się Bogu, spadały na niego cierpienia albo tragedie. Jeśli zaś poddawał się Bogu i był Mu posłuszny, to Pan błogosławił go i odnosił sukcesy. Bez wątplenia

z tej lekcji powinien skorzystać każdy. Gdyby tak wszyscy mogli uczyć się na cudzych błędach, zamiast na swoich własnych.

Zwróćmy się ponownie do brata Branhama, aby opowiedział o tym, co czuł po otrzymaniu tej wiadomości, o podróży powrotnej do domu i tym, co wydarzyło się potem, a co ostatecznie zaowocowało jego nawróceniem się do Chrystusa:

Kiedy dotarła do mnie wiadomość o śmierci mojego brata, przez chwilę nie mogłem się poruszyć. To była pierwsza śmierć w naszej rodzinie. Pierwsze, o czym pomyślałem, to czy on był przygotowany na śmierć. Odwróciłem i spojrzałem na piaszczystą prerię, a łzy spływały mi po policzkach. Myślałem o tym, jak razem jako mali chłopcy pokonywaliśmy trudności i jak było nam ciężko. Nie dostawaliśmy do szkoły wystarczającej ilości jedzenia. Z dziurawych butów wystawały nam palce i musieliśmy nosić stare płaszcze, które zapinaliśmy pod samą szyję, tak by nie było widać, że nie mamy pod spodem koszulek. Przypominam sobie, jak matka pewnego dnia dała nam na drugie śniadanie trochę prażonej kukurydzy w wiaderku. Nie jadaliśmy z pozostałymi dziećmi. Naszych rodziców nie było stać na takie jedzenie, jakie mieli inni. Zawsze chodziliśmy jeść za pagórek. Pamiętam, jakim smakołykiem była dla nas ta kukurydza. Z obawy o to, że mógłbym nie dostać równej części, wyszedłem przed południem na zewnątrz i wziąłem sobie pełną garść, zanim brat dostał swoją porcję.

Stojąc tam i patrząc na spaloną słońcem prerię, myślałem o tym i zastanawiałem się, czy Bóg zabrał go na lepsze miejsce. Wtedy było to znowu Boże wołanie, lecz ja, jak zwykle, usiłowałem Mu się przeciwstawić.

Przygotowywałem się do podróży do domu na pogrzeb. Kiedy kaznodzieja McKinney z kościoła w Port-Fulton, człowiek, którego traktuję jak ojca, przemawiał na uroczystości pogrzebowej, wtrącił: „Możliwe, że są tutaj tacy, którzy nie znają Boga, a jeśli tak jest, to przyjmijcie Go teraz!”. O, uchwyciłem się swego krzesła jeszcze mocniej! Bóg znowu dał o sobie znać. Kiedy On woła, odpowiedz Mu, drogi Czytelniku!

Nigdy nie zapomnę, jak moi biedni, starzy rodzice płakali po pogrzebie. Chciałem wracać na Zachód, lecz moja matka usilnie prosiła, bym został. Ostatecznie zgodziłem się, ale pod warunkiem, że znajdę pracę. Wkrótce też znalazłem posadę w Służbach Publicznych Indiany.

CHOROBA

Mniej więcej dwa lata później zatrąłem się gazem podczas kontroli liczników w gazowni w New Albany i potem tygodniami chorowałem. Byłem

u wszystkich znanych mi lekarzy, jednak nic nie pomagało. Z powodu szkodliwego działania gazu cierpiałem na nadkwasotę żołądka. Im dłużej to trwało, tym mój stan zdrowia się pogarszał. Skierowano mnie do specjalistów w Louisville, w Kentucky. W końcu powiedziano mi, że jest to wyrostek robaczkowy i powinienem poddać się operacji. Nie mogłem w to uwierzyć, bo nigdy nie odczuwałem bólu w boku, jednak lekarze orzekli, że nie będą mnie dłużej leczyć, jeśli nie zgodzę się na operację. W końcu wyraziłem zgodę, ale pod warunkiem miejscowego znieczulenia, bym mógł śledzić przebieg operacji.

Chciałem też, by ktoś, kto zna Boga, stał przy mnie. Wierzyłem w moc modlitwy, jednak sam nie umiałem się modlić. Na salę operacyjną pozwolono wpuścić pastora Pierwszego Kościoła Baptystów. Kiedy już przeniesiono mnie ze stołu operacyjnego do łóżka, poczułem, że słabnę. Serce ledwo mi biło. Czułem zbliżającą się śmierć. Mój oddech stawał się coraz krótszy. Pomyślałem, że to już koniec. Przyjacielu, poczekaj aż dojdiesz tak daleko, wtedy przypomnisz sobie wiele rzeczy, które uczyniłeś! Wiedziałem, że nigdy nie paliłem, nie piłem, i że prowadziłem czyste, moralne życie, lecz zdawałem też sobie sprawę z tego, że nie jestem gotów na spotkanie z Bogiem.

Jeśli jesteś tylko oziębłym i formalnym członkiem kościoła, to gdy nadejdzie twój koniec, zobaczysz, że nie jesteś gotowy na spotkanie z Bogiem. Jeśli to jest wszystko, co wiesz o Bogu, to proszę, padnij zaraz na swoje kolana i proś Jezusa, by pozwolił ci przeżyć znowu zrodzenie. Tak jak kiedyś powiedział On Nikodemowi w 3 rozdziale Ewangelii Jana. O, jakże dzwony radości potem zabrzmiały: „Niech będzie chwała dla Jego imienia!”

BÓG MÓWI W SALI SZPITALNEJ

W pokoju szpitalnym zrobiło się tak ciemno jak w wielkim lesie. Słyszałem szelest liści na wietrze, lecz wydawało mi się, że odgłos dochodzi z głębi lasu. Prawdopodobnie słyszeliście już kiedyś poryw wiatru poruszający liśćmi i przybliżający się do was. Pomyślałem: „To śmierć przyszła mnie zabrać”. Och, moja dusza miała spotkać się z Bogiem! Usiłowałem się modlić, ale nie potrafiłem.

Wiatr się przybliżał i był coraz głośniejszy. Liście drzew szeleściły i nagle poczułem, że znikłem. Wydawało mi się, że jestem znowu tym małym, bosym chłopcem, który znalazł się na tej samej ścieżce, pod tym samym drzewem. Usłyszałem ten sam głos, który powiedział: „Nigdy nie pij i nie pal”. Także szelest liści był taki sam jak wtedy. Jednak tym razem głos powiedział: „Wołałem cię, a ty nie chciałeś iść”. Te słowa powtórzyły się trzykrotnie. Odezwałem

się więc: „Panie, jeśli to Ty, pozwól mi wrócić na ziemię, a będę głosił Twoją ewangelię z dachów domów i na rogach ulic. Opowiem o tym każdemu”.

Z chwilą, kiedy ta wizja mnie opuściła, poczułem się dużo lepiej. Lekarz, który mnie operował, był jeszcze w budynku. Przyszedł i bardzo się zdziwił. Spojrzał w taki sposób, jak gdyby myślał, że powinienem już dawno nie żyć. Potem powiedział: „Nie chodzę do kościoła, bo jestem zajęty moją pracą, lecz wiem, że to Bóg nawiedził tego chłopca”. Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedział. Nikt w ten sposób tam nie mówił. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem teraz, wstałbym wówczas z łóżka i zacząłbym głośno uwielbiać imię Pańskie. Po kilku dniach wypuścili mnie do domu, lecz byłem jeszcze bardzo słaby, a na dodatek musiałem nosić okulary z powodu astygmatyzmu. Gdy na coś przez chwilę patrzyłem, dostawałem zawrotu głowy.

NAWRÓCENIE I POWOŁANIE

Wyruszyłem, by szukać i znaleźć Boga. Chodziłem więc od kościoła do kościoła, by znaleźć taki, w którym by praktykowano staromodne wzywianie do ołtarza. Smutne, ale nie znalazłem ani jednego.

Pewnego wieczoru miałem takie pragnienie Boga, aby mieć z Nim prawdziwe przeżycie, że poszedłem do starej szopy, która znajdowała się za domem, i tam usiłowałem się modlić. Nie wiedziałem jednak jak się to robi, więc zacząłem do Niego mówić, tak jakbym po prostu z kimś rozmawiał. Wtem do szopy wpadło światło, utworzyło ono krzyż, a głos z krzyża przemówił do mnie w języku, którego nie rozumiałem. Po chwili to odeszło. Byłem oczarowany. Kiedy znowu doszedłem do siebie, modliłem się: „Panie, jeśli to Ty, to przyjdź, proszę, jeszcze raz i przemów do mnie”. Od czasu, kiedy wróciłem ze szpitala, nieustannie czytałem Biblię i w I Liście Jana, w 4 rozdziale przeczytałem: „Umiłowani, nie wierzcie każdemu duchowi, lecz badajcie duchy, czy są od Boga”.

Wiedziałem, że coś zobaczyłem i kiedy się modliłem, ukazało się to ponownie. Wydawało mi, że ktoś zabrał z mojej duszy ciężar o wadze setek kilogramów. Wskoczyłem i pobiegłem do domu – czułem się jak w siódmym niebie. Matka spytała: „Billy, co ci się stało?”. Odpowiedziałem: „Nie wiem, lecz czuję się tak dobrze i lekko”. Nie mogłem usiedzieć w domu. Musiałem wyjść na zewnątrz i biegać.

Było dla mnie jasne, że jeśli Bóg chce, abym głosił, to musi mnie najpierw uzdrowić. Poszedłem zatem do pewnego kościoła, gdzie wiercono w namaszczenie olejkami, i zostałem w jednej chwili uzdrowiony. Zobaczyłem, że uczniowie mieli coś, czego większość kaznodziejów dzisiaj nie ma. Uczniowie

byli ochrzczeni Duchem Świętym i dlatego mogli uzdrawiać chorych i w Jego imieniu czynić potężne cuda. Więc zacząłem się modlić o chrzest Duchem Świętym. Mniej więcej sześć miesięcy później Bóg zaspokoił pragnienie mojego serca. Przemówił do mnie z wielkiej światłości i polecił mi głosić i modlić się za chorych, których On chciał uzdrowić z każdej choroby. Zacząłem więc głosić ewangelię i wykonywać to, co On mi nakazał.

Od czasu do czasu pytano mnie, czy otrzymałem już chrzest Duchem Świętym. To pytanie zawsze wydawało mi się dziwne. Jest rzeczą niemożliwą, aby jakiś dar Ducha Świętego działał sam z siebie, jeśli osoba posiadająca ten dar nie przyjęła także Dawcy.

ROZDZIAŁ 5

SZCZĘŚLIWE MAŁŻEŃSTWO I BRZEMIENNA W SKUTKI DECYZJA

Po nawróceniu i powołaniu do służby rozpoczął się dla niego szczęśliwy okres życia, kiedy Bóg błogosławił tego młodego człowieka i wydawało się, że wszystko idzie dobrze. W swoim rodzinnym mieście, w Jeffersonville, zaczął organizować ewangelizacje namiotowe i jak na młodego, 24-letniego kaznodzieję, który dopiero co wstąpił do tej służby, zostały one uwieńczone niezwykle sukcesem. W jednym nabożeństwie brało udział około 3.000 ludzi, z czego znaczna część się nawróciła i około 130 osób po zakończeniu zgromadzeń przyjęło chrzest. W momencie, kiedy chrzczył siedemnastą osobę, pojawiło się nad nim nadprzyrodzone światło. Cały tłum ludzi zgromadzonych nad brzegiem rzeki Ohio, którzy przyglądali się uroczystości, był świadkiem tego fenomenu.

Tamtej jesieni mieszkańcy Jeffersonville, którzy brali udział w tych zgromadzeniach, wybudowali mu kaplicę, która aż do dziś nosi nazwę „Branham Tabernacle”³. Kilka następných lat było bardzo owocnych, a na nim spoczywało Boże błogosławieństwo. Otrzymał kilka wizji, których sens miał zrozumieć dopiero po latach, kiedy dane mu było poznać całkowite objawienie woli Bożej wobec jego życia.

MAŁŻEŃSTWO

W tym czasie spotkał cnotliwą chrześcijankę o nazwisku Hope Brumbach. Po kilku miesiącach starania się o jej rękę, przyjęła jego oświadczyiny

³ „Kaplica Branhama” [uw. tł.]

i pobrali się. Pozwólmy, aby on sam w prosty, ale jednocześnie pełny dramatyzmu sposób, jak czynił to zza kazalnicy, opowiedział nam o swojej nieśmiałości, o oświadczeniach w formie listu, o małżeństwie i o tym, co działo się później:

Byłem tylko małym, naprawdę nieśmiałym chłopcem ze wsi. Biorąc pod uwagę to, że byłem taki wstydlivy, prawdopodobnie dziwicie się, jak w ogóle doszło do tego, że się ożeniłem. Spotkałem miłą chrześcijankę. Od razu odniosłem wrażenie, że jest wspaniała. Moje wymagania w stosunku do kobiety były takie, żeby nie piła i nie paliła papierosów. Wtedy trudno było znaleźć taką dziewczynę. Dzisiaj jest to jeszcze trudniejsze. Kochałem tę miłą dziewczynę i pragnąłem ją poślubić, lecz nie miałem na tyle odwagi, by ją o to poprosić. Wiedziałem, że muszę to zrobić szybko, bo ona była zbyt fajna, by marnować ze mną swój czas; mogła przecież wybrać kogoś innego. Zarabiałem tylko 20 centów na godzinę⁴, podczas gdy jej ojciec miał kilkaset dolarów na miesiąc. Każdego wieczoru, kiedy zamierzałem ją odwiedzić, mówiłem sobie: „Dzisiaj, jak tam pójde, to ją zapytam”, lecz potem czułem, jakby ogromna kłuska utknęła mi w gardle i dlatego nie mogłem tego uczynić. Nie wiedziałem, co począć. Wiecie, na jaki pomysł w końcu wpadłem? Napisałem jej w liście, czy zechce zostać moją żoną.

List ten był nieco bardziej romantyczny niż tylko to, że zawierał zwrot „Szczerna Pani”. Dałem z siebie wszystko, by napisać dobry list, choć wiem, że i tak był beznadziejny. Rano, kiedy wrzucałem list do skrzynki, uświadomiłem sobie, co się może stać, kiedy wpadnie on w ręce jej matki. Ale z drugiej strony bałem się wręczyć go jej osobiście. W końcu zebrałem się na odwagę i w poniedziałek rano wrzuciłem list do skrzynki. W środę wieczorem miałem się z nią spotkać i zabrać do zboru. Do środy byłem naprawdę nerwowo. W środę wieczorem poszedłem ją odwiedzić. Po drodze wyobrażałem sobie, co się stanie, jeżeli jej matka wyjdzie i powie: „Williamie Branham!” Wiedziałem, że z moją dziewczyną jakoś to załatwię, ale jeżeli chodzi o jej matkę, to już nie byłem tego taki pewny.

W końcu podszedłem do drzwi i spytałem o Hope, bo tak miała na imię. Stała w drzwiach i zapytała: „Wejdiesz na chwilę?”. Odpowiedziałem: „Jeśli nie masz nic przeciwko, usiądę i poczekam na werandzie”. Dobrze się zabezpieczyłem, żeby tylko nie zaprosili mnie do środka. Ona odparła: „W porządku, za chwilę będę gotowa”.

Miałem starego forda, model T, lecz ona powiedziała: „Do zboru jest niedaleko, chodźmy pieszo”. To mnie zaniepokoiło i byłem pewien, że coś się stało.

⁴ Około 5,- pln [uw. tł.]

Poszliśmy do kościoła, lecz ona nic nie mówiła. Tego wieczoru byłem tak nerwowo, że nawet nie słyszałem, o czym kaznodzieja mówił. Wiecie, kobieta potrafi trzymać w napięciu. Po wyjściu ze zboru udaliśmy się w dół ulicą. Była księżycowa noc. Lecz ona wciąż nic nie mówiła. W końcu stwierdziłem, że na pewno nie dostała tego listu. Poczułem się lepiej. Pomyślałem, że pewnie listonosz dostarczył list w inne miejsce i to mnie trochę uspokoiło. Wtedy ona spojrzała na mnie i powiedziała: „Billy, dostałam twój list”. Powiedziałem sam do siebie: „I co ja teraz zrobię?”. Po chwili przerwy zapytałem: „Czy... Czy... Czy go przeczytałaś?”. Ona odpowiedziała: „Uhm”. Trochę ciśnienie mi podskoczyło. Byliśmy już blisko domu. Powiedziałem: „Przeczytałaś cały?”. Odparła: „Uhm”. Byliśmy już na schodach. Nie wiedziałem, czy przypadkiem nie chce mnie wprowadzić do środka, abym porozmawiał z jej matką, więc szybko zapytałem: „Co o tym myślisz?”. Odpowiedziała: „Podobał mi się”.

Nie spytałem wtedy jej matki, ale wiedziałem, że i tak będę musiał porozmawiać o tym przynajmniej z jednym z jej rodziców. Zdecydowałem więc, że zapytam ojca, bo nawet całkiem dobrze się rozumieliśmy. Pewnego wieczoru podszedłem do jego buicka⁵, w którym siedział. Pamiętacie zapewne, że ja miałem starego forda, model T. Zagadnąłem więc do niego: „Wie pan, naprawdę elegancki ten pana wóz”. On odparł: „Tak, ty też masz fajnego forda”. Powiedział: „No cóż, jakby to powiedzieć...”. Spojrzył na mnie i rzekł: „Tak, Billy, ona jest twoja”. O, co za ulga! Lecz odrzekłem: „Ale wie pan, ja nie mogę zapewnić jej takiego życia, jakie ma przy panu. Zarabiam jedyne 20 centów na godzinę, kopiąc rowy, ale pragnę uczynić dla niej wszystko, co tylko w mojej mocy. Chcę być jej wierny i kochać ją z całego serca”. Potem położył rękę na mojej głowie i rzekł: „Billy, wolę, żebyś poślubił ją ty, niż ktokolwiek inny, kogo znam, bo wiem, że będziesz dla niej dobry i będziesz ją kochał”.

Pobraliśmy się i wierzę, że nigdzie na świecie nie było drugiego tak szczęśliwego miejsca jak nasz mały domek. To było wspaniałe. Nie posiadaliśmy wiele mebli. Mieliśmy tylko składane łóżko, stary dywanik, jedną zastawę stołową i stary piec, który kupiłem u handlarza starociami (i wymieniłem w nim ruszt). Lecz, moi drodzy przyjaciele, to był prawdziwy dom. Wolałbym mieszkać w drewnianej budzie i posiadać pokój z Bogiem, aniżeli mieszkać w najlepszym domu, a nie mieć tego pokoju.

Wszystko układało się wspaniale. Moja żona oszczędzała swoje pieniądze, aby sama mogła sobie kupić bawełnianą sukienkę w kratę. Czułem się taki szczęśliwy, kiedy mogłem zrobić coś dla niej. Po dwóch latach pojawił się w naszym domu mały Billy Paul. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem w szpitalu

⁵ Marka samochodu [uw. tł.]

jego krzyk, wiedziałem, że to chłopiec. Powierzyłem go Bogu, zanim jeszcze go zobaczyłem.

UDZIAŁ W ZGROMADZENIU PEŁNEJ EWANGELII

Nieco później miałem już na tyle oszczędności, że stać mnie było na zakup sprzętu rybackiego i na to, by udać się na kilka dni na ryby nad jezioro Pawpaw w Michigan. Ale że pieniędzy nie starczyło mi na długo, musiałem szybko wracać. Kiedy w powrotnej drodze przejeżdżałem przez rzekę Mishawaka, zauważyłem wielki tłum ludzi przybyłych na zgromadzenie. Zainteresowało mnie, co to za ludzie, więc postanowiłem dołączyć do nich. Tak właśnie po raz pierwszy zetknąłem się z zielonoświątkowcami.

Dowiedziałem się, że ci ludzie przybyli tu na konferencję. Byli oni niesłychanie głośni. Wszystko wydawało mi się trochę inne od tego, do czego byłem przyzwyczajony. Bez skrupowania śpiewali: „Ja wiem, to była krew, ja wiem, to była krew”. Potem wszyscy zaczęli klaskać. Zastanawiałem się, co to za ludzie. Wkrótce pewien kaznodzieja wstał i zaczął mówić o chrzcie Duchem Świętym. Im dłużej mówił, tym bardziej byłem przekonany, że jest w tym coś prawdziwego. Zdecydowałem się pozostać tam do następnego dnia. Ponieważ nie stać mnie było na nocleg w hotelu, zaparkowałem na polu kukurydzy i tam przespałem całą noc. Następnego poranka wstałem wcześniej i poszedłem do zboru. Na śniadanie kupiłem sobie kilka bułek i mleko, żeby nie nadwyręzać mojego budżetu. Kiedy wszedłem do zboru, było już zgromadzonych sporo ludzi w oczekiwaniu na poranne nabożeństwo.

Wieczorem wielu kaznodziejów zasiadło na podium. Prowadzący powiedział: „Nie mamy tyle czasu, abyście wszyscy mogli wygłosić tu kazania, dlatego prosimy, by każdy z was wstał i się przedstawił”. Kiedy przysła kolej na mnie, wstałem i przedstawiłem się: „Ewangelista William Branham” i ponownie usiadłem.

Następnego popołudnia kazanie głosił pewien ciemnoskóry mężczyzna. Wyglądał na dość zniedołężniałego i dziwiłem się, że kogoś takiego wybrali na mówcę w tak dużym zgromadzeniu. Głosił na temat: „Gdzie byłeś, kiedy zakładałem podwaliny ziemi, a gwiazdy poranne śpiewały?”. Ten stary jegomość zaczął mówić o rzeczach, które miały miejsce około dziesięć milionów lat przed założeniem świata. Następnie nadmienił o tym, co działo się w niebie, a także po kolei wszystko, co wydarzyło się na ziemi, aż do drugiego przyjścia Chrystusa. Pod koniec kazania był ożywiony jak młody człowiek i kiedy schodził z podium, powiedział: „Tu jest za mało miejsca jak na moje kazanie”. Uświadomiłem sobie, że Bóg obdarzył tego

człowieka czymś, czego ja jeszcze nie miałem. Gdy zaczynał przemawiać, szczerze mu współczułem, lecz kiedy skończył, czułem litość dla samego siebie. Ci ludzie mieli coś, czego ja nie miałem, a czego pragnąłem.

Tego wieczoru poszedłem znowu przespać się w polu kukurydzy. Ponieważ nikt mnie tutaj nie znał, postanowiłem następnego ranka włożyć na siebie stare spodnie w paski z pomarszczonego lnu. Druga para spodni była trochę pognieciona, ponieważ użyłem jej jako poduszki. To był ostatni dzień, kiedy mogłem zostać, ponieważ pieniędzy miałem już tylko na benzynę na drogę powrotną. Przyszedłem do zboru, a ludzie właśnie śpiewali i wykrzykiwali. Pragnąłem chrztu Duchem Świętym, o ile Bóg zechciałby mi go udzielić.

POPROSZONY DO USŁUGI NA ZGROMADZENIU

Kaznodzieja, który prowadził zgromadzenia, wstał i ogłosił: „Właśnie wysłuchaliśmy świadectwa naszego najmłodszego kaznodziei, z kolei drugim najmłodszym jest William Branham z Jeffersonville. Proszę podejść do przodu, kaznodziejo Branham, jeżeli jest pan w budynku”. Wierście mi, byłem przeżony. Spuściłem wzrok i bez ruchu przypatrywałem się moim lnianym spodniom. Tak naprawdę nigdy przedtem nie widziałem mikrofonów i urządzeń nagłaśniających. Oczywiście nie chciałem tam iść głosić przed tymi wszystkimi wielkimi kaznodziejami. Potem zawołano powtórnie: „Czy ktoś wie, gdzie znajduje się kaznodzieja Branham?”. Skuliłem się jeszcze mocniej na moim krześle. Wezwanie powtórzono. Ciemnoskóry mężczyzna, siedzący obok mnie, zwrócił się do mnie: „Może pan wie, gdzie on jest?”. Nie mogłem kłamać, dlatego odrzekłem: „Tak, znam go”. Na to odparł: „To niech go pan przyprowadzi”. Powiedziałem: „Niech pan słucha: To ja jestem bratem Branhamem, ale mam na sobie te lniane spodnie i nie mogę tak wyjść na podium”. Ten mężczyzna odrzekł: „Tych ludzi nie obchodzi, jak jesteś ubrany, ale co posiadasz w sercu”. Poprosiłem jednak: „Proszę, niech pan nikomu nie mówi, że tutaj jestem”. Ten człowiek już mnie wcale nie słuchał, ale zaczął głośno wołać: „Tutaj jest, tutaj!”. Serce mi zamarło, nie wiedziałem, co robić. Ale poprzedniego wieczoru, tam na polu kukurydzy, modliłem się tak: „Panie, jeśli to są ludzie, których zawsze chciałem znaleźć, którzy wydają się tacy szczęśliwi i wolni, to spraw, aby byli mi życzliwi”. Teraz Pan wysłuchał moją prośbę, a ja nie mogłem zdobyć się na odwagę, aby pokazać się przed tym tłumem w lnianych spodniach. Ponieważ wszyscy na mnie patrzyli, musiałem coś zrobić. Wyszedłem na podium. Moja twarz była czerwona jak burak. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem mikrofony. Myślałem sobie: „Co to w ogóle jest?”. Modliłem się: „Panie, jeśli kiedykolwiek komuś pomogłeś, to proszę, pomóż teraz i mi”.

Otworzyłem Biblię, a mój wzrok padł na następujący werset: „Bogacz podniósł swoje oczy w piekle”. Zacząłem mówić na ten temat: „I wtedy on krzyczał. Nie było tam chrześcijan, a on krzyczał. Tam nie było zboru, a on krzyczał. Tam nie było kwiatów, a on krzyczał. Nie było tam Boga i on krzyczał”. Byłem raczej sztywnym kaznodzieją, lecz w miarę jak mówiłem, coś mnie uchwyciło i moc Boża zstąpiła na to zgromadzenie.

PROŚBA BRACI O POPROWADZENIE ZGROMADZEŃ

Po usłudze – a głosiłem jakieś dwie godziny – wyszedłem na świeże powietrze. Pewien kaznodzieja podszedł do mnie. Był to wysoki, smukły jegomość w kowbojkach. Przedstawił się i powiedział: „Jestem z Teksasu i mam tam zbór. Czy mógłbyś przyjechać i poprowadzić dwutygodniowe zgromadzenia?”. Potem podszedł do mnie inny kaznodzieja, z Florydy, i spytał, czy nie przyjechałbym do niego na cały tydzień ewangelizacyjny. Wziąłem kawałek papieru, zapisałem nazwiska i adresy, a parę minut później miałem wystarczająco zaproszeń, by przez cały rok jeździć i prowadzić zgromadzenia przebudzeniowe. Jaki byłem szczęśliwy! Wskoczyłem do mojego małego forda T i pomknąłem z powrotem szosami Indiany. Kiedy dotarłem do domu, moja żona wybiegła mi na spotkanie i objęła mnie ramionami. Gdy na mnie spojrzała, spytała: „Czemu jesteś taki wesoły?”. Odpowiedziałem: „Spotkałem najszczęśliwszą grupę ludzi, jakich w życiu widziałem. Oni są naprawdę szczęśliwi i nie wstydzą się swojej religii. Właściwie ze mną też się coś stało od tamtej chwili. Ci ludzie poprosili mnie, żebym głosił na ich konferencji, a co więcej, otrzymałem kilkanaście zaproszeń do usługi w ich zborach. Pojedziesz ze mną?”. Odpowiedziała: „Kochanie, obiecałam, że pójdę z tobą wszędzie, dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Niechby Bóg błogosławił jej wierne serce.

Potem zdecydowałem się pójść do matki, aby i jej o tym wszystkim opowiedzieć. Gdy tam przyszedłem, powiedziałem: „Mamo, muszę ci coś powiedzieć”. I opowiedziałem jej o tych zaproszeniach. Ona zapytała: „A za co będziesz się utrzymywać?”. Ze wspólnych oszczędności mieliśmy około 17 dolarów⁶, lecz czuliśmy, że Pan się o nas zatroszczy. Potem objęła mnie ramieniem i pobłogosławiła. Ona ciągle modli się za mną. Dodała jeszcze: „Synu, kiedyś, lata wstecz mieliśmy tego rodzaju religię w naszym kościele i wiem, że to jest prawdziwe”.

⁶ Około 480,- pln [uw. tł.]

BRZEMIENNA W SKUTKI DECYZJA

A teraz, przyjaciele, pozwólcie, aby to, co powiem, było dla was przestrogą. Niechby moje błędy zaowocowały waszym błogosławieństwem. Wiedziałem, że to Bóg mnie woła, jednak przyjaciele i krewni ostrzegali mnie przed przyłączeniem się do tego. Niektórzy mówili mi, że ci, których spotkałem, to ludzie drugiej kategorii. Później przekonałem się, a mówię to w całkowitej pokorze, że ci, których oni uważali za „śmieci”, stanowili w rzeczywistości prawdziwą elitę. Mówiono mi także, że podejmując taką decyzję skazuję moją żonę na głód i niedostatek. Inni przypominali mi, że moim obowiązkiem jest pozostać w Jeffersonville i tu troszczyć się o dzieło Pańskie. Posłuchałem ich i ostatecznie zdecydowałem się pozostać. Ani ja, ani moi przyjaciele nie zdawaliśmy sobie sprawy, że osiem miesięcy później rzeka Ohio wystąpi z brzegów i moją rodzinę dotknie nieszczęście tej straszliwej powodzi.

Od momentu mojej decyzji opuściło mnie Boże namaszczenie. Wróciło tak naprawdę dopiero pięć lat później. Mój zbór, który wcześniej coraz bardziej rozkwitał, nagle zaczął więdnąć. Wszystko szło nie tak. Gdy mój zbór coraz bardziej podupadał, nie wiedziałem, co robić. Potem zaczął się dla mnie ciemny okres życia, kiedy to rzeka Ohio wystąpiła z brzegów i pochłonęła mnóstwo istot, a mi zabrała dwie najdroższe na tym świecie istoty.

ROZDZIAŁ 6

WIELKA POWÓDŹ NA RZECE OHIO W 1937 ROKU

Zima 1937 roku była w całym kraju wyjątkowo ostra. Na północnym zachodzie spadło niesamowicie dużo śniegu, który cały krajobraz okrył białym całunem. Ale to wschód dotknęła prawdziwa tragedia. Trwające całe tygodnie nieprzerwane i obfite opady deszczu napełniły wszystkie dopływy wielkiej rzeki Ohio, które odprowadzały wodę z wielkich połaci kraju na zachód od Appalachów. Poziom wody w rzece ciągle się podnosił i znacznie przekroczył stan alarmowy. Zagrożone były wielkie zamieszkałe obszary przy brzegach Ohio. Ludzie obserwowali rzekę ze zgrozą i niepokojem. Nic nie wskazywało na to, by poziom wody, która szukała ujścia w dół dolinę, miał się obniżyć. Z dnia na dzień poziom wód wzrastał. Wzmocniono groble i wały, tymczasem ludność wiedziała, że wystarczy, by rzeka przedarła się w jednym miejscu, a masy wody zmiotą i zaleją rozległe tereny rolnicze wraz z miasteczkami rozciągającymi się wzdłuż rzeki.

Dwa graniczące ze sobą miasta: Louisville w Kentucky i Jeffersonville w Indianie, dzieli rzeka Ohio. Chyba dla żadnego z mieszkańców Jeffersonville to złowieszcze zagrożenie powodziowe nie nadeszło w bardziej nieodpowiednim momencie niż dla Williama Branhama. Jego żona, podczas zakupów po drugiej stronie rzeki, w Louisville, nabawiła się poważnej infekcji płuc. To spowodowało, że brat Branham całą swoją uwagę skupił na jej powrocie do zdrowia. Lecz nagle nadeszła wiadomość, do nich i do innych mieszkańców miasta, że czoło wody sunie w dół dolinę, a wały przeciwpowodziowe, już podmyte przez wodę, prawdopodobnie nie wytrzymają naporu. Chociaż wyglądało na to, że Jeffersonville jest przeznaczone na zagładę, wielu jego mieszkańców pozostało w mieście.

Gdy nastąpiła noc, William Branham był na służbie, pracując w załodze ratowniczej, która kontrolowała burzliwą rzekę. Około północy spełniły się najgorsze obawy. Megafony wzywały wszystkich do opuszczenia miasta. Syreny strażackie wyły przez całą noc. Rodzina Branhamów oraz tysiące innych zmuszeni byli uciekać w popłochu. Ponieważ jego żona była poważnie chora i nie mogła przebywać na zewnątrz w czasie takiej nawałnicy, została przewieziona do szpitala polowego, otwartego przez władze na położonym nieco wyżej terenie.

Z powodu wyziębienia organizmu oboje ich dzieci zachorowało na zapalenie płuc. Ojciec zabrał je do tego samego szpitala, gdzie zostały położone na prowizorycznych łózkach. Ogromna liczba ofiar powodzi czekała na pomoc ciężko w tym czasie pracującego personelu szpitalnego. Budynek szpitalny był w opłakanym stanie, a na domiar złego drzwi co chwilę się otwierały i zamykały. Ludzie wpadali do środka i wybiegali na zewnątrz, krzycząc że ich domostwa pochłonął prąd rzeki. Młody kaznodzieja bardzo chciał pozostać przy swoich najbliższych, lecz wiedział, że musi dołączyć do ekipy ratowniczej, która dzień i noc pracowała jak szalona. Najgorsze było to, że woda wtargnęła z kilku stron i płynęła niepowstrzymanie ulicami miasta, a także przez okoliczne wioski. Otrzymał polecenie, aby udać się na pewną ulicę, gdzie powódź zrywała domy już od fundamentów. Podczas gdy manewrował łódką wśród szalejących fal, jego uwagę przyciągnęła straszna scena: Na balkonie pewnego domu stała matka z dziećmi, które jak szalone machały i krzyczały o pomoc. Chcemy ten chwytający za serce moment pozostawić bratu Branhamowi, aby sam opisał to zdarzenie:

Usłyszałem krzyk, a kiedy spojrzałem, zobaczyłem matkę i jej dzieci stojące na balkonie chwiejącego się domu, uderzanego przez fale. Mogę w zasadzie powiedzieć, że całe moje życie spędziłem nad rzeką, dlatego myślałem, że będę mógł pomóc tej kobiecie, choćby to wiązało się z narażeniem własnego życia. Skierowałem więc łódkę w stronę domu. Kiedy miałem ich wszystkich już w łodzi, ta kobieta o mało nie zemdląca. Cały czas płakała i mówiła coś o swoim niemowlęciu, pomyślałem więc, że pewnie pozostawiła je w domu. Kiedy dowiozłem ich na bardziej bezpieczne miejsce, zawróciłem, lecz było już za późno. Woda płynęła tak gwałtownie, że zostałem porwany przez tworzący się wir. Nigdy nie zapomnę tego uczucia. Tyle spraw przychodziło mi na myśl: jak starałem się prowadzić dobre chrześcijańskie życie, głosić Słowo Boże i robiłem wszystko najlepiej jak tylko potrafiłem. A teraz wydawało się, że wszystko jest przeciwko mnie.

Kiedy odzyskałem panowanie nad łódką i dopłynąłem do brzegu, próbowałem przedostać się do szpitala, który opuściłem cztery godziny wcześniej.

Kiedy w końcu tam dotarłem, dowiedziałem się, że fale wtargnęły do szpitala, a chorzy zostali ewakuowani. Nie wiedziałem, gdzie jest moja żona i nikt nie potrafił mi tego powiedzieć. O, jaki byłem wtedy rozżalony. Pytałem wszędzie, w końcu pewien oficer poinformował mnie, że chorzy zostali przewiezieni pociągiem do Charlestown, miasta położonego około 20 kilometrów od Jeffersonville. Udałem się tam od razu. Jednak wody jakiegoś małego, położonego w pobliżu strumyka, wystąpiły z brzegów i utworzyły pomiędzy moim miastem a Charlestown pas wody szeroki na 8 kilometrów. Domy i zagrody były zabierane przez żywioł. Wiedziałem, że pociąg musiał przejeżdżać właśnie tamtędy. Nie mogłem się od nikogo dowiedzieć, czy zdążył on przejechać przed wylaniem wody, czy też został przez nią splekany z torów.

Z początku nie mogłem się niczego dowiedzieć, lecz potem usłyszałem, że pociąg zdążył przejechać. Wskoczyłem więc do łodzi motorowej i próbowałem płynąć pod prąd, lecz było to ponad moje siły. Woda zatrzymała mnie i zostałem z kilkoma przyjaciółmi unieruchomiony na prawie dwa tygodnie w miejscowości Fort Fulton. Nasz zapas żywności był niewielki, a o mojej żonie i dzieciach nie wiedziałem kompletnie nic.

Jak tylko wody opadły na tyle, że mogłem przedostać się przez nie samochodem, pojechałem na poszukiwanie moich bliskich. Nie wiedziałem, czy moja żona, dzieci, matka i brat jeszcze żyją, czy też poginęli. Wtedy Bóg zaczął mówić do mojego serca i uzmysłowiłem sobie dokładnie, jak czują się ludzie, którzy w takiej chwili jak ta nie mają żadnej nadziei. Następnego dnia przedostałem się przez wody na drugą stronę i rozpocząłem poszukiwania w Charlestown. Jednak nikt tam nic nie wiedział o nadejściu pociągu i nikt nie słyszał nazwiska Branham. Kiedy przygnębiony szedłem ulicą, napotkałem dobrego przyjaciela, pana Haya. Objął mnie ramionami i powiedział: „Billy, jakoś ich znajdziemy”. Poszedłem do dyspozytora kolei i zapytałem, kiedy ten pociąg tamtędy przejeżdżał i dokąd jechał. Ale i on nie mógł mi pomóc. To było dwa tygodnie wcześniej, nie pamiętał już nic na temat tego pociągu, kojarzył tylko, że jechał gdzieś dalej w głąb Indiany. Obok stał maszynista, przerwał nam rozmowę i rzekł: „Przypominam sobie, tam była matka z dwójkiem małych, chorych dzieci. Skierowaliśmy ich do Columbus. Ale, młody człowieku, nie można się tam dostać, bo powódź odcięła wszystkie pociągi”. To była kolejna zła wiadomość.

Jednak i tak byłem zdecydowany ją szukać. Idąc drogą płakałem, a w dłoniach trzymałem kapelusz. Ach, te wspomnienia sprawiają, że muszę na nowo o tym myśleć. Po jakiejś chwili obok mnie zatrzymał się samochód i usłyszałem głos dobrego przyjaciela: „Billy Branham! Wsiadaj. Wiem, kogo szukasz: żonę i dzieci. Są w szpitalu w Columbus. Twoja żona jest bliska śmierci”. „Czy

mogę się jakoś do niej dostać?” – spytałem. Odpowiedział: „Mogę cię tam podwieźć. Znalazłem przejazd bocznymi drózkami i w ten sposób ominiemy wodę”. Jeszcze tej nocy dotarliśmy do Columbus.

LEKARZE NIE DAJĄ SZANS

Pobiegłem do kościoła baptystycznego, który został zamieniony na szpital. Wołałem jej imię i w końcu ją znalazłem. Była prawie nieprzytomna. Pytałem ją o dzieci, które jak się okazało, były bardzo chore i przebywały w domu mojej teściowej. Ukłęknałem przy łóżku polowym, gdzie leżała Hope. Spojrzała na mnie swoimi ciemnymi oczami, które zdradzały ogromne cierpienie, podczas gdy ja ująłem w moje ręce jej bladą, wycieńczoną dłoń i modliłem się, jak umiałem najlepiej. Jednak bez rezultatu. Nie było odpowiedzi. Jej stan się pogorszył. Pewien pielęgniarz spytał mnie: „Czy jest pan przyjacielem doktora Sama Adaira?”. „Tak” – odparłem. „Kaznodziejo, muszę pana poinformować, że pańska żona umiera”. Odpowiedziałem: „Niemożliwe”. „Niestety tak” – odrzekł poważnie i odszedł.

ROZDZIAŁ 7

ROZPACZ I WIZJA NIEBA

Wróciłem do domu i najlepiej jak tylko umiałem, próbowałem oczyścić go ze skutków powodzi. Doktor Adair powiedział, że żonę i dzieci mogę zabrać do domu, więc chciałem, aby było im tu, na ile to możliwe, wygodnie. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby ich uratować. Sprowadziłem specjalistę z Louisville... Sytuacja była beznadziejna, choroba postąpiła już za daleko. Jestem jednak pewien, że wtedy moja żona o tym nie wiedziała. Trzymała się dzielnie przez cały czas. Odwieźliśmy ją z powrotem do szpitala, aby miała właściwą opiekę. Jednak nie dało się nic zrobić. Wykonano jej prześwietlenie płuc i stwierdzono daleko zaawansowaną gruźlicę.

WEZWANY DO UMIERAJĄCEJ ŻONY

Pewnego dnia będąc w pracy dostałem telefon... Pracowałem, aby wyjść z długów. Miałem do spłacenia setki dolarów⁷. Powiedziano mi, że jeżeli chcę się jeszcze zobaczyć z żoną, zanim ona umrze, mam natychmiast przyjechać. Wsiadłem do samochodu i szybko pojechałem do miasta. Wbiegłem po schodach na górę i dalej przez korytarz. Pierwszą osobą, którą tam spotkałem, był mój drogi przyjaciel, doktor Adair. Przez całe życie byliśmy razem, prawie jak bracia. Kiedy na niego spojrzałem, zrozumiałem, że ma dla mnie złe wiadomości. Powiedział: „Obawiam się, że ona odeszła”. Ukrył przy tym swoją twarz i wszedł do małej poczekalni. Trudno było mi się opanować. Poprosiłem go: „Doktorze, wejdź tam ze mną”. „Nie mogę – padła odpowiedź. – Ona była dla mnie jak siostra. Nie mogę tam wejść, Bill”.

⁷ Tysiące pln [uw. tl.]

Podszedłem do jej pokoju sam, ale on poprosił pielęgniarkę, by weszła ze mną. Kiedy zobaczyłem moją żonę, ja również odczułem, że umarła. Miała twarz przykrytą prześcieradłem. Pozostał z niej tylko szkielet... Była tak wychudzona i blada. Och! Wziąłem ją w ramiona i zacząłem nią potrząsać. Wołałem: „Kochanie, odezwij się!... Boże, pozwól jej jeszcze raz coś do mnie powiedzieć!”. Była już prawie po drugiej stronie. Wtem obróciła się i spojrziała w moim kierunku. Otworzyła swoje piękne, łagodne, brązowe oczy. Próbowwała podnieść ramiona, aby mnie objąć, lecz była zbyt słaba. Nachyliłem się nad nią, gdyż odczułem, że chce mi coś powiedzieć. Przyjaciele, to co mi powiedziała, będę pamiętał aż do dnia, kiedy ją znów zobaczę.

HOPE OPISUJE RAJ

Powiedziała: „Byłam prawie w domu, dlaczego mnie wezwałeś z powrotem?”. Odparłem, że nie byłem świadomy tego, iż jej przeszkodziłem. Zaczęła opowiadać mi o raju, z którego ją zawołałem, o pięknych drzewach i kwiatach, śpiewających ptaszkach, o tym, że nie ma tam bólu. W tym momencie pomyślałem, że może nie powinienem był jej wołać... (lecz szczęśliwie jej serce... już od wielu lat się tam raduje). Odzyskała przytomność na kilka chwil, aby opowiedzieć mi, jak anielskie istoty zabierały ją do domu i jak usłyszała w oddali mój głos. Przyjaciele, daleko stąd jest kraj poza rzeką. Być może miliony lat świetlnych stąd, ale jednak on istnieje... My do niego zdążamy.

RÓŻNE WSPOMNIENIA W GODZINIE ŚMIERCI

Opisywała mi, jak cudownie tam jest. Powiedziała: „Kochanie, ty o tym głosiłeś, opowiadałeś o tym, lecz nie masz pojęcia, jak naprawdę tam jest wspaniale”. Chciała tam wrócić. Zastanowiła się przez chwilę i powiedziała: „Chcę ci coś powiedzieć”. Zapytałem: „O co chodzi?”. „Pamiętasz, Billy, jak pewnego razu poszedłeś kupić mi parę pończoch?” (Przypomniałem sobie, jak kiedyś w Fort Wayne ubierała się przed nabożeństwem i potrzebowała parę pończoch). Poprosiła mnie, żebym jej kupił pończochy z całą piętą, standardowego rozmiaru, typu rayon⁸ lub chiffon⁹ – już nie pamiętam dokładnie jakie. Nie znałem się kompletnie na damskiej odzieży, więc idąc ulicą cały czas powtarzałem sobie: „Chiffon, chiffon, chiffon”. Ktoś zawołał

⁸ Grubsze, wykonane z przędzy podobnej do bawełny [uw. tł.]

⁹ Cieńsze, wykonane ze sztucznego jedwabiu (szyfonu) [uw. tł.]

do mnie: „Cześć Billy”. Odpowiedziałem: „Cześć... Chiffon, chiffon, chiffon”. Jednak po drodze natknąłem się na znajomego, który zaczął opowiadać mi o rybach i przez to zapomniałem, o jaki rodzaj pończoch chodziło. Miałem kupić je w sklepie „Penney”, ale znałem dziewczynę, która pracowała w innym, tanim sklepie wielobranżowym i wiedziałem, że ona może mi pomóc. Pobiegłem więc tam. Nazywała się Telma Ford i teraz jest naszą sąsiadką. Poprosiłem ją: „Telmo, chciałem kupić parę skarpet dla Hope”. Ona roześmiała się i rzekła: „Och! Hope nie nosi skarpet tylko pończochy”. „Więc w takim razie poproszę parę pończoch”. Spytała, jakie sobie życzę. Zapytałem: „A jakie rodzaje macie?”. Miałem nadzieję, że wymieni nazwę, którą zapomniałem. Ona zaczęła wyliczać: „Rayon, chiffon itd.”. Niestety wymieniła jako pierwsze nie te, które miałem kupić, ale wydawało mi się, że o te właśnie chodzi. Szybko odparłem: „O, to te!”. Spytała jeszcze: „Naprawdę Hope chciała pończochy typu rayon?”. „Dokładnie o takich mówiła” – odrzekłem. Telma zapakowała je, a kiedy chciałem płacić, okazało się, że kosztują tylko 39 centów¹⁰. Kupiłem więc jeszcze jedną parę.

Po powrocie wręczyłem jej te pończochy i zacząłem się z nią przekomarzać (wiecie, jak to mężczyźni lubią przechwalać się, kiedy uda im się kupić coś po okazyjnej cenie). Powiedziałem jej, że tym razem to ja złapałem taką okazję. To mówiąc, wręczyłem jej pończochy. Ona nic nie powiedziała, lecz zauważyłem, że była nieco zawiedziona. Potem, kiedy dojechaliśmy do Fort Wayne, kupiła jeszcze jedną parę. Była zbyt kochana, aby mi ten błąd wytknąć, ale w godzinie śmierci myślała jeszcze o takich drobiazgach jak te.

OSZCZĘDZAŁA, BY KUPIĆ SWOJEMU MĘŻOWI STRZELBĘ

Życie powoli z niej uchodziło, lecz ciągnęła rozmowę dalej: „Pamiętasz tę strzelbę, którą chciałeś kupić sobie w Louisville, lecz nie było nas na nią stać?” Doskonale to pamiętałem... Ponieważ zawsze lubiłem polować, bardzo chciałem mieć taką strzelbę. „Tak” – powiedziałem poważnie i starałem się ukryć przed nią moje łzy. „Odkładałam moje drobne, aby ci ją kupić. Ja już odchodzę, ale kiedy wrócisz do domu, znajdziesz te pieniądze pod arkuszem papieru na starym kredensie”.

Nie możecie sobie wyobrazić, tego co czułem, kiedy znalazłem te 6 czy 7 dolarów¹¹, które ona tak długo oszczędzała na moją wiatrówkę. Kupiłem ją

¹⁰ 12,- Pln [uw. tł.]

¹¹ Około 200,- pln [uw. tł.]

i mam jeszcze do dzisiaj. Mam zamiar trzymać ją tak długo, jak to tylko możliwe, a potem przekazać ją mojemu synowi.

JEJ OSTATNIE SŁOWA

Przypominam sobie, że później poprosiła mnie, bym nie pozostał wdowcem, lecz poślubił cnotliwą, chrześcijańską dziewczynę, napełnioną Duchem Świętym, która troszczyłaby się o dzieci. Nie chciałem jej tego przyrzec, lecz w końcu zrobiłem to dla niej. W kilka minut później słabym głosem oznajmiła: „Dobrze, teraz już odchodzę”. „Nie mów tak” – powiedziałem. „Teraz nie boję się odejść – rzekła – bo wiem, jak tam jest pięknie”. „Naprawdę odchodzisz, moje kochanie?” – pytałem ze łzami w oczach. „Tak” – odparła. Popatrzyła mi w oczy i powiedziała: „Przyrzekniesz mi, że zawsze będziesz głosił tą wspólną ewangelię?”. Przyrzekłem. Powiedziała jeszcze: „Bill, Bóg się tobą posłuży”. Błogosławione jej serce... Wiele razy zastanawiałem się, czy Bóg daje jej możliwość popatrzeć na nas w dół, jak udajemy się z miejsca na miejsce i staramy się być posłuszni, zgodnie z jej przeczuciem, temu powołaniu, które posłał Bóg. Na koniec powiedziała: „Zawsze byłeś dla mnie dobrym mężem”. Do drobnej pielęgniarki, która stała obok, rzekła: „Mam nadzieję, że ma pani równie dobrego męża jak ten, którego ja miałam”. Moje serce o mało nie pękło, jednak wiedziałem, że ze względu na nią muszę wziąć się w garść. Usiłowałem się uśmiechnąć i powiedziałem: „Moja kochana, kiedy nas opuścisz, pochowamy cię na cmentarzu Walnut Ridge, dopóki Jezus nie przyjdzie. A jeśli bym i ja miał przedtem odejść, to prawdopodobnie będę leżał obok ciebie. Jeśli nie – dodałem – to On znajdzie mnie gdzieś na placu boju”. Jej łagodne, brązowe oczy gaśły, a ja ciągnąłem dalej: „Gdy dojdiesz do nowego Jeruzalem... odszukaj wschodnią bramę i wołaj moje imię... Gdy zobaczysz Abrahama, Izaaka, Jakuba, Pawła, Szczepana i innych wchodzących tam, ja również tam będę, moja kochana”. Pociągnęła mnie ku sobie i pocałowała na pożegnanie. Potem odeszła na spotkanie z Bogiem. I oto jestem tutaj, wciąż się zmagając, pracując, próbując z całych sił dotrzymać danej jej obietnicy.

WIADOMOŚĆ O UMIERAJĄCYM DZIECKU

Kiedy moja żona zmarła, udałem się do domu, by zobaczyć, jak mają się dzieci. Rozpaczliwie szukałem pokoju dla mojej duszy. Udałem się do mojej matki, potem do naszego domu, mojego i Hope, a gdziekolwiek poszedłem, nigdzie nie mogłem znaleźć spokoju. Nigdzie nie mogłem znaleźć odpocznienia. Wielu z was na pewno wie, o czym mówię. W końcu położyłem się do

łóżka i próbowałem zasnąć. Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Pomyślałem: „Co to może być?”. Ktoś zawołał: „Billy, twoje dziecko umiera!”

Nigdy nie zapomnę tej nocy, gdy otrzymałem tę wiadomość. Kiedy ktoś zapukał do drzwi, myślałem: „No, kto to może być?”. Tak jak gdyby tego było mało, że w tym dniu straciłem żonę, to teraz mój przyjaciel przyszedł mnie poinformować, że umiera moja córeczka. Gdy wsiadaliśmy do jego samochodu, aby pojechać do niej, myślałem, że moje życie już się skończyło. Jak mogło coś takiego się wydarzyć?! Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, moje maleństwo było umierające. Przyjechał doktor Sam Adair, by ją zbadać. Powiedział mi, że nie da się już nic zrobić, jednak mimo to zawieźliśmy ją do szpitala. Także lekarz specjalista z Louisville stwierdził, że właściwie nie ma żadnej nadziei. Zaprowadzono mnie do szpitalnego laboratorium i pokazano mi drobnoustroje pobrane z jej kręgosłupa. Miała dziecięce zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, którym zaraziła się od matki. Nie było żadnej nadziei na poprawę. Niewiele czasu pozostało jej na tej ziemi. W żadnych słowach nie da się opisać tego, jak pękało mi serce. Kiedy to się stało, wydawało mi się, że już nie może być gorzej. To wskazuje na to, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

Poszedłem do mojej córeczki, która była w izolatce, w piwnicy. Tam leżało to moje maleństwo. Serce mi pęka, kiedy o tym myślę. To było latem i pracownicy szpitalni nie mogli zapewnić jej właściwej opieki. Gdy wszedłem do pokoju, patrzyłem na nią, a ona usiłowała patrzeć w moją stronę. Była kochana, pulchna i już całkiem dobrze odchowana. Jednak to biedne małe stworzonko leżało całe w skurczach, wywołanych przez dziecięce zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Jedną nóżkę miała podniesioną do góry, a rączkę trzymała wyciągniętą nieruchomo. Na skutek ciągłych spazmów jej druga nóżka poruszała się w górę i w dół. Och, co za żalony widok!

Uklęknąłem przy łóżku i zacząłem się modlić. Wołałem: „O Boże, proszę, nie zabieraj mi mojego dziecka!”. Wiedziałem, że popełniłem poważny błąd, że nie zostawiłem wszystkiego i nie zająłem się pracą ewangelizacyjną. Wierzę, że Boży dar chciał się wtedy przeze mnie objawić, lecz ja zaniedbałem to. Upadłem na ziemię i zacząłem się modlić, prosić, wołać, aby Bóg zachował ją przy życiu. Wydawało mi się, że jakaś ciemna zasłona wisi pomiędzy mną a niebem. Odchodziła. Podniosłem się, spojrzałem na nią i powiedziałem: „Sharon, nie poznajesz tatusia?”. Naprawdę wierzę, iż ona wiedziała, że jestem przy niej. Wydawało się, że stara się pomachać do mnie ręką. Jej usta drżały, jakby zaraz miała zacząć płakać. To było wstrząsające. Była w takiej agonii, że jej oczka zaczęły zezować. Za każdym razem, kiedy spotykam zezowate dziecko, przypomina mi się ten moment i moja córeczka, której oczka zezowały z powodu tak okropnego bólu. Wy, którzy macie dzieci, rozumiecie, jak się wtedy czułem.

WSPÓLNY POGRZEB MATKI I DZIECKA

Położyłem na nią ręce i modliłem się. Ale po niedługim czasie aniołowie przyszli i zabrali moje ukochane maleństwo, by dołączyło do swojej matki. Pograżony w smutku i wyczerpany wróciłem do domu. Dwa dni później pogrzebaliśmy ją w ramionach matki. Pamiętam, jak ze złamanym sercem i przerażony stałem nad grobem. Na ich pogrzebie przemawiał brat Smith, kaznodzieja metodystyczny z mojego miasta. O, jak ja się tam czułem! To było nie do zniesienia! Szumiące na wietrze liście drzew przypominały mi tę oto starą pieśń:

*Błogi i wieczny po drugiej stronie rzeki jest kraj,
Który zwą: wiecznej radości raj.
Tylko wiara zaprowadzi nas na ten drugi brzeg,
Gdzie po ziemskim znoju może wejść człowiek,
Gdzie nieśmiertelni zamieszkują po czasy wieczne
I gdzie złote dzwony odezwą się dla nas rozliczne.*

Wiem, że ich grób pewnego dnia się otworzy, bo tam w Jerozolimie także znajduje się pusty grób. Wiem, że zostanie otwarty, gdyż moi bliscy wierzyli w Jezusa Chrystusa jako zmartwychwstałego Odkupiciela.

Wróciłem do pracy i robiłem wszystko, co tylko mogłem, by zapłacić ogromne rachunki i spłacić długi, które miałem. Nie zapomnę, jak pewnego poranka, na drodze nr 150 niedaleko New Albany, odczytywałem stan licznika na słupie wysokiego napięcia. Nucilem sobie pod nosem: „Tam na wzgórzu stał stary, szorstki krzyż, wielkiej hańby i cierpień znak”. Słońce mocno świeciło tego poranka i słup rzucał cień na pobliski pagórek. Światło padało pod takim kątem, że pozioma poprzeczka na szczycie słupa i moje własne ciało przyklepione do niego za pomocą pasa bezpieczeństwa, rzucały cień. Znowu powrócił do mnie obraz krzyża!

PRZYBITY I ZROZPACZONY Z POWODU ŚMIERCI SWOICH BLISKICH

Chciałem umrzeć, by być razem z moimi bliskimi. Życie nie miało już dla mnie żadnej wartości. Ci, którzy byli sensem mojego życia, znajdowali się na tamtym świecie. Bez nich moje złamane serce nie potrafiło sprostać dalszej walce. Myślę, że w ten sposób Bóg chciał zacząć używać Swój dar... On miał plan, który musiał się urzeczywistnić. Jestem pewien, że potrzebny mi był każdy smutek i każda troska, aby doprowadzić mnie do miejsca, w którym On mógł się mną posłużyć. Bóg wie, co jest najlepsze.

Zeskoczyłem z tego słupa, oblany potem. Cały drżałem. Dokończyłem szybko swoją pracę i pojechałem do domu. Wszedłem do domu, rozpaczliwie szukając czegoś, co pomogłoby mi zapomnieć o moim smutku. Ale co mógł zaproferować mi pusty dom? Dom, który wyglądał jeszcze tak samo jak w chwili, gdy ona go opuściła. Wszystko, na co spojrzałem, przypominało mi o Hope. Kiedy tak bez celu chodziłem po domu, mój wzrok padł na dostarczoną pocztę. Na jednej z kopert przeczytałem: „Panna Sharon Rose Branham”. Moje serce na nowo zostało zranione. Był to list z banku, w którym mojemu dziecku przysłano mały czek. Bank wypłacił jej małe oszczędności. Myślę, że było tego około 1 dolara i 80 centów¹². Ojej! Zacząłem płakać i uklęknąłem na podłodze. Byłem przybity, wszystko wydawało mi się tak ciężkie, wręcz nie do zniesienia. Gdy tak klęczałem, pomyślałem: „Panie, jeśli Ty mi nie pomożesz, to nie wiem, co mam robić”.

GŁĘBOKI SEN I WIZJA NIEBA

Nagle ze zmęczenia zapadłem w głęboki sen... (Była to długo oczekiwana chwila ulgi). Podczas gdy spałem, śniło mi się, że znajduję się na Zachodzie (Zachód kochałem od zawsze). Miałem na nogach buty, a na głowie duży kowbojski kapelusz. Przechodziłem obok starego krytego wozu. Jedno koło było połamane, a ja gwizdałem sobie tę piosenkę: „Koło wozu jest złamane...”. Nagle przestraszyło mnie pojawienie się pięknej około osiemnastoletniej dziewczyny. Stała tam jak anioł, w białych szatach, jej piękne blond włosy lekko powiewały, a oczy promieniały.

Powiedziałem: „Dzień dobry, panienko” i chciałem iść dalej. Lecz ona rzekła: „Witaj tatusiu!”. Zdziwiony i zmieszany odwróciłem się, a ona znów powiedziała: „Witaj tatusiu!”. Odpowiedziałem: „Proszę mi wybaczyć... Niestety nie rozumiem. Jak mógłbym być ojcem panienki? Jak to? Panienka jest prawie w moim wieku. To musi być jakieś nieporozumienie”. „Tatusiu, ty nie wiesz, gdzie jesteś – odparła. – Tam na ziemi byłam twoją małą Sharon”. Odrzekłem: „To nie możliwe!”. Ona znowu powiedziała: „Ależ tak, na ziemi byłam twoją Sharon”. „Ale ty byłaś przecież jeszcze niemowlakiem” – powiedziałem. Wtedy przypomniała mi coś: „Tatusiu, nie pamiętasz, jak nauczałeś o nieśmiertelności?”. Odpowiedziałem: „No tak, pamiętam, że o tym głosiłem. To dlatego właśnie jesteś tu jako dorosła?”. „Tatusiu, a gdzie jest Billy Paul?” – zapytała. (To jest mój synek). Powiedziałem jej, że chwilę wcześniej był przy mnie. Potem dodała: „Mama czeka na ciebie, tatusiu, a ja zostanę tu

¹² Około 60,- pln [uw. tł.]

i poczekam na Billy Paula”. „Gdzie mama?” – spytałem. Ona odpowiedziała: „Spójrz na prawo, tatusiu” – i popatrzyłem w tym kierunku. O, przypominało to snopy światła wychodzące spoza góry. Pomiędzy zielonymi pagórkami, kwiatami i drzewami rozsiane były piękne pałace. Żaden język nie opisze tej malowniczej sceny, którą zobaczyłem. Sharon wskazała na jeden z tych okazałych domów i powiedziała mi, bym tam wszedł i że to jest mój dom, gdzie czeka na mnie matka. „Mój dom? – spytałem zmieszany. – Przecież nigdy nie miałem domu”. „Widzisz, tatusiu, a teraz go masz. Idź tam do środka, a ja tutaj poczekam na mojego brata”.

SPOTKANIE Z ŻONĄ

Podążyłem ścieżką, która prowadziła do mojego domu. Gdy doszedłem do jej końca, moja żona wyszła mi naprzeciw. Była przepięknie ubrana na białą, a ciemne włosy opadały na jej ramiona. Nie jestem w stanie wyrazić, co czułem, widząc ją ponownie. Prosiłem, aby mi to wszystko wytłumaczyła, gdyż nie mogłem zrozumieć, jak to było możliwe. Rozmawialiśmy ze sobą jak dawniej. Powiedziałem, że z naszej małej dziewczynki wyrosła piękna młoda panna. Ona przytaknęła, ale w dalszym ciągu nie byłem w stanie tego pojąć. Rzekła: „Wiem, że nie możesz tego zrozumieć, bo ziemskich rzeczy nie da się porównać z tymi tutaj. To jest niebo”. „A w dalszym ciągu nie rozumiem, skąd wziął się ten piękny dom. Czy on jest twój?”. „Tak – odparła – to nasz wieczny dom”. „Mimo to nie mogę pojąć, dlaczego znalazłem się na tym miejscu?”. Odparła łagodnie: „Po tym całym wysiłku, znoju i trudach, które na ziemi przechodziłeś, wróciłeś wreszcie do domu, by odpocząć. Usiądźmy razem”.

Odwrociłem się i zobaczyłem duży fotel przygotowany dla mnie... Był to fotel Morrisa¹³. Spojrzałem na niego, a następnie na Hope. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Wiem, o czym teraz myślisz”.

Chodziło o to, że kiedy się pobraliśmy, nie mieliśmy żadnych mebli, ani właściwie niczego specjalnego w naszym małym mieszkaniu, oprócz starego składanego łóżka, które nam ktoś dał, pieca, za który zapłaciłem dolara i 25 centów¹⁴ i do którego musiałem jeszcze dokupić ruszta. Oprócz tego posiadaliśmy jeszcze stare skórzane przykrycie, bardzo zużyte, z kilkoma dziurami, oraz kawałek wykładziny na podłodze w przedpokoju. Jednak potrafiłiśmy się cieszyć z tego i byliśmy razem szczęśliwi, gdyż łączyła nas prawdziwa miłość.

¹³ Rodzaj głębokiego fotela z regulowaną wysokością oparcia [uw. tł.]

¹⁴ Około 40,- pln [uw. tł.]

Niemniej jednak moim marzeniem było mieć fotel Morrisa. Codziennie ciężko pracowałem, a wieczorami głosiłem kazania. Wracalem późno w nocy i marzył mi się taki fotel, w którym mógłbym odpocząć. Pewnego dnia zdecydowaliśmy, że go kupimy. Pojechalismy więc do miasta po drugiej stronie rzeki i obejrzelismy parę foteli tego typu. Ten, który kupilismy, był zielony. Nigdy go nie zapomnę. Kosztował mniej więcej 15 dolarów¹⁵. Musiałem wpłacić trzy dolary zaliczki, a potem co tydzień spłacać po jednym dolarze. Udało mi się spłacić 8 czy 10 dolarów. Dalej nie byłem w stanie. Nie zapłaciłem kolejnych rat przez dwa czy trzy tygodnie, bowiem brakowało nam pieniędzy. Wiecie jak to jest, kiedy trudno powiązać koniec z końcem. Pewnego dnia powiedziałem żonie: „Skarbie, będziesz musiała ich poinformować, żeby zabrali fotel, ponieważ mamy już dwie lub trzy zaległe raty do spłacenia. Przysłali nam już upomnienie, lecz nie jestem w stanie dokonać następnej wpłaty. Wiesz, że musimy zapłacić jeszcze inne rachunki. Będziemy musieli jakoś sobie poradzić bez fotela”. Odpowiedziała: „Och, nie chcę go oddawać”. Zatrzymaliśmy go więc jeszcze na dzień czy dwa. Przypominam sobie ten wieczór, kiedy po moim powrocie do domu fotela już nie było. Wtedy Hope była dla mnie niezwykle miła, upiekła mi placek z wiśniami i robiła wszystko, co tylko mogła, aby poprawić mi humor i żebym o tym nie myślał. Pamiętam dobrze, kiedy wszedłem do pokoju, by usiąść wygodnie, a fotela już nie było. Popłakaliśmy się trochę przy tym. Hope była taka kochana.

Podczas kiedy we śnie tak przede mną stała, rzekła: „Chyba pamiętasz, co się stało z naszym fotelem... Tego już ci nie wezmą... On już jest w całości spłacony. Usiądź i odpocznij sobie”.

Nie muszę dodawać, że Bóg dał mi siłę, którą potrzebowałem do dalszej pielgrzymki. Głosiłem i pracowałem w różnych miejscach, aż w końcu zostałem strażnikiem leśnym stanu Indiana. Wtedy też otrzymałem dar uzdrawiania chorych. Był to 1946 rok. Bóg błogosławił mi i obdarzał mnie hojnie, za co jedynie Jemu mogłem dziękować w pokorze. Przez kilka lat musiałem być dla mojego synka zarówno ojcem jak i matką. Później Pan dał mi miłą, skromną towarzyszkę życia i teraz urodziła nam się córeczka.

¹⁵ Około 500,- pln [uw. tł.]

ROZDZIAŁ 8

NIEZWYKŁE WYDARZENIA POPRZEDZAJĄCE WIZYTĘ ANIOŁA

Wielkimi krokami zbliżał się czas, kiedy Bóg miał zacząć objawiać się Williamowi Branhamowi w takiej mierze, że miało to mieć wielki wpływ nie tylko na jego własną usługę, lecz i na cały chrześcijański świat. Miał to być znak, któremu wprawdzie niektórzy się sprzeciwiali, jednak tysiące ludzi wysławiało za to Boga. Inni otrzymali inspirację, która zaowocowała stokrotnym plonem w ich usłudze.

Wspomnieliśmy już o wielu wydarzeniach, które miały miejsce, zanim Williamowi Branhamowi pojawił się anioł. Można by opisać wiele niezwykle interesujących zdarzeń, jednak czas i miejsce ograniczają nas, tak że możemy opisać zaledwie kilka z nich. O tym, co się działo wcześniej, można dowiedzieć się również z wizji, opisanych pod koniec tej książki. Jednak było pewne wydarzenie, bardzo wyjątkowe, a ponieważ brat Branham wspominał już o nim kilkakrotnie, przytoczymy całą historię. Ciekawe, że kiedy śledzi się historię biblijne, można zauważyć dziwny fakt, iż przywódcy kościołni nagminnie mieli problemy z rozpoznaniem mężów Bożych, zaś demony czyniły to momentalnie. Pierwszy cud w usłudze Chrystusa, zapisany w Ewangelii Marka, opisuje niezwykle świadectwo, które wyszło z ust złego ducha. Jezus powrócił do Nazaretu, by głosić ewangelię w swoim rodzinnym mieście. Ludziom, którzy dalecy byli od tego, by rozpoznać, kim był ten Mężczyzna pośród nich, wcale nie podobała się rzekoma zmiana z cieśli w proroka. Lecz bardzo szybko to, czego nie chcieli uznać, zostało potwierdzone w ich synagodze przez człowieka opętanego przez demona. Kiedy zobaczył Jezusa zawołał: „Wiem, kim Ty jesteś, Święty Boży”. Podobnie legion demonów,

przebywający w maniaku z Gadary, zawołał do Jezusa donośnym głosem: „Co my z Tobą mamy, Jezusie, Synu Najwyższego”.

Co więcej, kiedy apostoł Paweł rozpoczynał swoją pracę misyjną w Europie, w Filipii zamiast przyjąć go jako proroka, wtrącono go do więzienia i zakuto w dyby. Lecz duch wieszczki natychmiast rozpoznał, kim był Paweł i Syłas, i zawołał: „Ci mężowie są sługami Najwyższego i przyszli nam głosić drogę zbawienia”.

Nic więc dziwnego, że dar przydzielony Williamowi Branhamowi został rozpoznany przez jasnovidzów i wróżbitów, zanim nawet on sam poznał cel tego daru. Pewnego dnia, kiedy przechodził koło kobiety – astrologa, ta zawołała go do siebie i zaczęła z nim rozmawiać. Powiedziała: „Wiesz, że urodziłeś się pod pewnym znakiem i masz dar od Boga?”. Myśli o podobnych zdarzeniach długo go trapiły, aż wreszcie to zrozumiał. Brat Branham – tak samo jak Chrystus czy Paweł, którzy nie przyjmowali ani nie przedkładali świadectwa demonów jako dowodu, lecz wręcz przeciwnie: nakazywali im milczeć – nie popiera pod żadnym względem tak zwanej pseudonaukowej astrologii i wróżbiarstwa, mimo że czasem poświadczają one prawdziwość daru Bożego. Bóg ma wiele sposobów, by poprzeć dowodami i potwierdzić Swoje usługi bez tego, by miał być zależny od dowodów dostarczanych przez demony. Biblia oczywiście stanowczo zabrania dzieciom Bożym zasięgać wyroczeni z takich źródeł (Księga Izajasza 47,13–14).

Jak już zostało wspomniane, brat Branham po swoim nawróceniu został kaznodzieją baptystycznym, ordynowanym do służby przez dr. Roya Davisa z Jeffersonville, i zaczął aktywnie udzielać się w tym mieście. Pod koniec pewnego wielkiego zgromadzenia namiotowego chrzczył ludzi w rzece Ohio, podczas gdy na brzegu zebrane były wielkie tłumy. Około 130 osób wyraziło pragnienie chrztu. Był to upalny czerwcowy dzień. Kiedy brat Branham chrzczył 17. osobę, usłyszał cichy głos, który przemówił do niego: „Spójrz w górę!”. Te słowa zostały powtórzone trzykrotnie. Gdy spojrzął, zobaczył na niebie jasną gwiazdę. Także zgromadzeni spojrzeli w górę i wielu z nich ujrzało tę samą gwiazdę. Niektórzy upadli nieprzytomni, inni krzyczeli, jeszcze inni zaczęli uciekać. Potem gwiazda zniknęła w chmurach. To wydarzenie spotkało się z takim zainteresowaniem, że w lokalnej gazecie ukazał się o tym artykuł.

Innym razem brat Branham usługiwał przez trzy wieczory w pewnym dużym mieście. Pierwszą osobą w kolejce modlitwy było małe dziecko, które z powodu paraliżu dziecięcego miało wykrzywione stopy i chodziło na palcach. Nagle poczuł, jakby ktoś zaświecił wprost na niego bardzo ostre światło. Zdziwiony nieuprzejmym zachowaniem dozorczy, który najwidoczniej skierował w jego stronę reflektor, otworzył oczy i zobaczył przed sobą jasną gwiazdę. Wracając pamięcią do tego wydarzenia, powiedział: „Albo upuściłem to

dziecko, albo samo wyskoczyło z moich ramion... Nie wiedziałem, co się dzieje – cały mój system nerwowy był sparaliżowany. Kiedy to dziecko dotknęło podłogi, jego stopy wyprostowały się i po raz pierwszy w życiu mogło normalnie zejść z podium. W czasie tego zgromadzenia miało miejsce jeszcze wiele niezwykłych rzeczy i mnóstwo ludzi oddało swoje serce Panu”.

Od czasu do czasu w życiu Williama Branhama miały miejsce podobne wydarzenia. Przez pewien czas nie był posłuszny głosowi Bożemu, by iść z usługą uwolnienia. Dlatego w jego życiu nastał ciemny okres, który już opisaliśmy, kiedy to stracił żonę i dziecko, kiedy przychodziło cierpienie za cierpieniem. W końcu jednak doszedł do punktu, gdzie zdecydował się, że wyda całe swoje życie Bogu i uczyni wszystko, cokolwiek On zażąda. To był okres, w którym przeżył najbardziej niezwykłą w swoim życiu wizytę, kiedy anioł w formie osoby przyszedł do niego i dał mu polecenie od Najwyższego. Historię tego przeżycia, stanowiącego punkt kulminacyjny, opowie nam sam brat Branham w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ 9

ANIOŁ POSŁANY Z OBECNOŚCI BOGA

Niezwykła wizyta, którą anioł złożył bratu Branhamowi, wywołała nie-
małe zdumienie zarówno wśród Bożych dzieci jak i wśród niewierzą-
cych. Pomimo że niektórzy odrzucają nadprzyrodzony aspekt tej usługi,
zresztą tak samo jak za czasów Chrystusa, jednak przytłaczająca większość
uczestników zgromadzeń Branhama jest głęboko przekonana o prawdziwo-
ści odwiedzin tego anioła.

Tak się składa, że Bóg jak dotąd obierał różne i czasem bardzo tajemnicze
sposoby objawiania się Swoim sługom, którzy powołani byli do szczególnych
zadań. Mojżeszowi, wybawcy Izraela, objawił się w płonącym krzaku. Dzie-
ci Izraela oglądały Go w słupie ognia w nocy, a za dania w obłoku. Samuel
słyszał Go nocą jako wołający go głos. W przypadku Eliasza był to cichy,
łagodny głos. Abrahamowi ukazał się w ciele teofanii, w formie człowieka.
Pawłowi i Jego umiłowanemu uczniowi, Janowi, objawił się w Swoim zmar-
twychwstaniu. Jednak chyba najczęstszą formą nadprzyrodzonego objawia-
nia się, widoczną przez całą Biblię, są odwiedziny anioła. Abraham, Mojżesz,
Jozue, Gedeon, Paweł, Dawid, prorocy, Zachariasz, Maria, pasterze i aposto-
łowie to tylko kilka przykładów tych, którym ukazali się aniołowie. Kiedy
mówimy o nadprzyrodzonych odwiedzinach, w większości przypadków nie
były to tylko wizje, lecz rzeczywiste zjawienie się anielskiej istoty. Dlatego też
ukazanie się tego anioła Williamowi Branhamowi nie jest faktem pozbawio-
nym biblijnego precedensu.

Rzeczywiście, to że aniołowie są posłani, aby służyć ludziom, całkowicie
zgadza się ze Słowem Bożym. Powszechnie mówi się o tym, że przynajmniej

w pewnym stopniu do kościoła zostały przywrócone dary Ducha. Ale co z darem rozróżniania duchów? Wielu wyszło z założenia, że ten dar służy jedynie do rozróżniania złych duchów. Wprawdzie służy on do zdemaskowania złych mocy, jednak musimy pamiętać, że jest więcej dobrych duchów aniżeli złych. A co z aniołami? W którym wymiarze pełnią swoją służbę? List do Hebrajczyków 1,14 daje nam jasną odpowiedź: „Czy nie są oni wszyscy służebnymi duchami, posyłanymi do pełnienia służby gwoli tych, którzy mają dostąpić zbawienia?”.

SŁUŻBA ANIOŁÓW WŚRÓD LUDU BOŻEGO

Chociaż na co dzień nie widzimy aniołów, jednak wiemy z Biblii, że towarzyszą one Bożym dzieciom przez większość czasu. Gdybyśmy rzeczywiście byli świadomi tego, że niebiańskie istoty są blisko nas, dzień w dzień obserwują nasze zachowanie i prawdopodobnie nasze myśli, nasze życie nie pozostałoby takie same. Nie może być inaczej, bo w Ewangelii Mateusza 18,10, a także w Psalmie 34, 8 jest napisane: „Anioł Pański zakłada obóz wokół tych, którzy się Go boją, i ratuje ich”. Moglibyśmy zacytować jeszcze wiele miejsc Biblii, które mówią o ziemskiej służbie aniołów, lecz nie jest to konieczne. Niezaprzeczalne jest to, że właściwie wszyscy badacze Biblii wierzą i nauczają o prawdziwości ich służby. Można więc zapytać, dlaczego aniołów nie widuje się częściej. Najwyraźniej potrzebujemy wyżej wspomnianego daru, który by pozwolił naszym przytępionym zmysłom zajrzeć za zasłonę i zobaczyć tak doskonale istoty jakimi są aniołowie. Elizeusz widocznie miał ten dar i wiemy z Biblii, że modlił się o to, by oczy jego sługi zostały otwarte, tak by mógł również zobaczyć te niebiańskie zastępy.

„Elizeusz modlił się tymi słowami: Panie, otwórz jego oczy, aby przejrzał. I otworzył Pan oczy sługi, i przejrzał, a oto góra pełna była koni i wozów ognistych wokół Elizeusza” (2 Księga Królewska 6, 17).

Wiemy o niezliczonych przypadkach, gdzie ludzie, krótko przed swoim odejściem z tego świata, widzieli aniołów czekających na nich. Zgodnie ze słowami Jezusa właśnie do obowiązków istot anielskich należy przeniesienie ludzkiego ducha z rozpadającego się, glinianego przybytku wprost do raj (Ewangelia Łukasza 16, 22). Wydaje się, że im bardziej zawodzą nasze zmysły ciała, tym bardziej pobudzone są zmysły ducha, pozwalając oglądać rzeczy, o których nie śniło się zwykłym śmiertelnikom.

POSELSTWO ANIOŁA DO BRATA BRANHAMA

Podczas pierwszej takiej wizyty brat Branham rozmawiał z aniołem jakieś pół godziny. Należałoby zaznaczyć tutaj, iż ponownie przenosimy się do czasów biblijnych, gdzie z pewnością coraz więcej nadprzyrodzonych objawień będzie miało miejsce. Jest coś, co ma zasadnicze znaczenie dla tego typu wizyt: anioł Pański nie objawi niczego, co nie miałyby stuprocentowego pokrycia w Słowie. Naturalnie nie wolno nam postawić objawienia jakiegos anioła ponad Słowo Boże, ponieważ sam szatan pojawia się jako anioł światłości. Jednak człowiek duchowy nie ma się czego obawiać, gdyż szybko rozpozna złego ducha. Szatan jest ojcem nieprawdy, notorycznym kłamcą i nie jest w stanie długo wytrzymać bez tego, by skłamać lub powiedzieć coś, co przekreśli, zniekształci, zaprzeczy, doda lub odejmie ze Słowa. Już w swojej pierwszej rozmowie z ludzką istotą, Ewą, wypowiedział wierutne kłamstwo. Następstwem odwiedzin anioła u brata Branhama była niesłabnąca fala przebudzeń, która powstała i dalej rozchodzi się po całym świecie. Teraz brat Branham osobiście, własnymi słowami opíše nam, jak anioł spotkał się z nim, jak z nim rozmawiał i powiedział mu, na czym będzie polegać praca, do której Pan go powołuje:

Muszę wam opowiedzieć o aniele i o otrzymaniu tego daru. Nigdy nie zapomnę dnia 7 maja 1946 roku. Wiosna w Indianie, gdzie pracowałem jako strażnik leśny, jest piękna. Właśnie wróciłem do domu na obiad. Poszedłem za dom odłożyć strzelbę, gdy nadszedł mój dobry przyjaciel i brat pianisty z mojego zboru, Prod Wiseman, i zapytał, czy nie pojechałbym z nim po południu do Madison. Powiedziałem, że nie dam rady, bo muszę jeszcze spatrolować jeden obszar. Potem kiedy spacerowałem wokół domu i przechodziłem pod wielkim klonem, zdawało się, że cała korona drzewa się rozpada. Coś, jakby gwałtowny, wiejący wiatr, wyszedł z tego drzewa... Podbiegli do mnie... Moja żona wystraszona wybiegła z domu i zapytała, co się stało. Próbuując dojść do siebie, usiadłem i powiedział jej, że po dwudziestu kilku latach świadomości tego dziwnego uczucia, nadszedł czas, bym dowiedział się, o co chodzi. Doszedłem do punktu krytycznego w swoim życiu! Pożegnałem się z żoną i dzieckiem i powiedziałem, że jeżeli nie powrócę w ciągu paru dni, to prawdopodobnie nie wrócę już nigdy.

Tego popołudnia poszukałem sobie ustronne miejsce, by móc czytać Biblię i modlić się. Modliłem się tak żarliwie, że cała dusza wrywała się ze mnie. Krzyczałem do Boga... Skłoniłem twarz ku ziemi, potem znowu patrzyłem w górę do Boga i wołałem: „Jeśli Ty wybaczysz mi to, co uczyniłem, postaram się wykonywać moje obowiązki lepiej... Przykro mi, że przez wszystkie te lata zaniedbywałem pracę, którą mi powierzyłeś... Czy zechcesz do mnie

przemówić w jakiś sposób? Jeżeli mi nie pomożesz, nie dam rady iść dalej”.

Tej nocy około godziny jedenastej skończyłem się modlić i usiadłem, kiedy zauważyłem w pokoju migocące światło. Myślałem, że ktoś zbliża się z latarką, wyjrzałem więc przez okno, lecz nie było nikogo. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak światło rozlewa się po podłodze. Wiem, że wyda się wam to dziwne, zresztą tak samo, jak mi wówczas. Patrzyłem na to światło i coraz bardziej się denerwowałem. Wstałem z krzesła, ale kiedy spojrzałem do góry, zobaczyłem wiszącą tam wielką gwiazdę. Nie była to taka zwykła pięcioramienna gwiazda, lecz bardziej coś w rodzaju ognistej kuli albo światła padającego na podłogę. Nagle usłyszałem, jak ktoś stąpa po podłodze, co przstraszyło mnie jeszcze bardziej. Wiedziałem, że nikt oprócz mnie tamtędy nie chodził. Nagle zobaczyłem, jak ze światła wynurzyły się stopy mężczyzny. Szedł w moim kierunku, a było to tak realne, jakbyście to wy się zbliżali do mnie. Ten odziany w białą szatę mężczyzna mógł ważyć około 90 kilogramów. Miał gładką twarz bez zarostu i ciemne włosy sięgające do ramion. Miał też ciemną cerę i bardzo przyjemny wyraz twarzy. Przybliżył się i nasze oczy się spotkały. Widząc przerażenie malujące się na mojej twarzy, rzekł: „Nie bój się. Jestem posłany z obecności Wszechmogącego Boga, aby ci oznajmić, że twoje osobliwe życie i niezrozumiałe drogi mają pewien cel. Mają ci pokazać, że Bóg posyła cię, abyś zaniósł dar Boskiego uzdrowienia dla ludów ziemi. JEŚLI BĘDZIESZ SZCZERY I NAKŁONISZ LUDZI, ABY CI WIERZYLI, WTEDY NIC NIE OSTOI SIĘ PRZED TWOJĄ MODLITWĄ, NAWET RAK”. Tego, jak się czułem, nie da się wyrazić słowami. Wyjawił mi wiele rzeczy, których nie mogę tutaj, z braku miejsca, opowiedzieć. Powiedział mi, jak dzięki wibracjom w mojej dłoni będę zdolny rozpoznawać choroby. Potem się oddalił, lecz od tego czasu widziałem go jeszcze kilkakrotnie. W ciągu następnych sześciu miesięcy zjawiał się jeszcze raz czy dwa, by rozmawiać ze mną. Kilkakrotnie pojawił się też w obecności innych. Nie wiem, kim on jest. Wiem tylko, że jest posłańcem Bożym do mnie.

Rzecz jasna, zacząłem się modlić za chorych. Nie twierdzę, że zastępuję lekarzy... Wiem, że lekarze potrafią wspomagać naturę, lecz są tylko ludźmi. A Bóg jest Wszechmogący. Zbyt dużo spraw wydarzyło się podczas tych miesięcy, by można je wszystkie wyliczyć. Lecz Bóg raz po raz potwierdzał słowa anioła. Głusi, niemi, ślepi i chorzy na najrozmaitsze choroby byli uzdrawiani i do dziś spisano już tysiące świadectw. Sam z siebie nie mam mocy, by to czynić... Dopóki nie poczuję Jego obecności, jestem bezsilny. Wielu uczestników moich zgromadzeń wie, że zza kazalnicy powiedziałem im, na co chorują i jakie są ich grzechy. Drogi Czytelniku, nie zrozum błędnie tego, co próbuję ci przekazać, choć czynię to w tak nędzny, nieudolny sposób. Mówię to po to, abyś lepiej zrozumiał, jak możesz skorzystać z Bożego daru. On powiedział

mi, abym był szczerzy i przyprowadził ludzi do wiary, co też staram się czynić. Bóg zawsze ma kogoś albo coś, przez co działa. Ja jestem tylko jednym z jego narzędzi. Żaden człowiek nie może sobie przypisać zasługi za dokonanie cudu. Ja również jestem śmiertelnikiem. Nie wiem, jak długo jeszcze Bóg pozwoli mi to czynić, lecz przez Jego łaskę pragnę do końca życia służyć Mu najlepiej, jak mogę, usługując Jego ludowi.

Podczas tych niezwykłych odwiedzin anioła zostało przekazane bratu Branhamowi jeszcze parę innych spraw, o których od czasu do czasu wspominał w swoich kazaniach. Jedna z nich dotyczyła dwóch znaków, które były mu dane. Jak już wcześniej wspomniano, pierwszy z nich to dar w jego lewej ręce. Dzięki Bożej mocy mógł rozpoznawać, odkrywać choroby, na które cierpieli ludzie. Ten nadprzyrodzony znak miał służyć do zbudowania wiary wśród zgromadzonych. Potem miał otrzymać jeszcze drugi znak, aby ludzie, jeśli by nie uwierzyli pierwszemu znakowi, to uwierzyliby temu drugiemu. Przypomina nam to historię o Mojżeszu, któremu również zostały dane dwa znaki, aby ludzie, gdyby nie uwierzyli pierwszemu, to uwierzyliby drugiemu (II Księga Mojżeszowa 4,1–3).

Zgodnie z tym, co mówił anioł, drugi znak miał być darem, który pozwalałby bratu Branhamowi rozpoznawać myśli i rzeczy, które ktoś uczynił w przeszłości. Czasami nawet miała mu być objawiona jakaś tajemnica czy sprawa, o której wiedział tylko ten człowiek, który pragnął uzdrowienia, po to tylko, by podbudować jego wiarę. Warto tu dodać, że żaden grzech, który jest pod krwią, nie może być odkryty, ale ukrywane i niewyznane sprawy są wyprowadzane na światło przez ten dar i zazwyczaj przyprowadza to daną osobę do natychmiastowej pokuty. Obserwowaliśmy działanie obu tych znaków i możemy z całą pewnością powiedzieć, że manifestują się one w tak doskonały sposób, jak jeszcze nigdy w przypadku żadnej ludzkiej istoty. Pierwszy znak zaczął się przejawiać od razu po odwiedzinach anioła. Natomiast drugi z nich zmanifestował się w służbie brata Branhama stosunkowo niedawno.

Kiedy anioł mówił o tych darach, powiedział ciekawą rzecz, że w niebie myśli mówią głośniejszą niż słowa na ziemi. Co za mocne napomnienie i jak ważną rzeczą jest, abyśmy wszyscy byli przed Bogiem absolutnie szczerzy, prowadząc zrównoważone, przyzwoite życie w bojaźni Bożej.

Anioł powiedział też, że Jezus już niedługo przyjdzie, a to polecenie jest znakiem bliskości Jego przyjścia i jeśli brat Branham pozostanie wierny temu wezwaniu, to rezultaty jego posłuszeństwa dotrą na cały świat i zatrząsą narodami. Na koniec anioł oznajmił, że przy pomocy tych znaków Bóg zwoła Swoją lud w jedność Ducha, tak że stanie się on jednym sercem i będzie jednej myśli.

O wizycie anioła i jej następstwach będzie jeszcze mowa w kolejnych rozdziałach tej książki. Dalsze świadectwa składać będą ludzie ze zboru brata Branhama.

ROZDZIAŁ 10

POCZĄTEK NOWEJ USŁUGI

Po wizycie anioła brat Branham wrócił do domu. W niedzielę wieczorem głosił w swojej kaplicy w Jeffersonville. Ludzie z jego zboru wierzyli mu i kochali go. To właśnie oni zrelacjonują nam rozwijające się szybko wydarzenia, które wkrótce wyniosły brata Branhama na pozycję ogólnokrajowego kaznodziei.

Brat Branham w ciągu ostatniego roku, który spędził z nami, otrzymał wiele wizji, jakie potwierdziły się wprost przed naszymi oczami. Jednak o tym, że podczas odwiedzin anioła otrzymał szczególny dar uzdrawiania, powiedział nam dopiero na kilka dni przed wyjazdem do St. Louis. Nasz zbór w Jeffersonville wierzy, że William Branham to Boży prorok.

Jedną z najwspanialszych jego cech jest pokora. Znamy go już od czasów szkolnych i możemy potwierdzić, że zawsze prowadził czyste, cnotliwe i spokojne życie, że zawsze poniekąd różnił się od innych. Wielu tutejszych ludzi śledziło z uwagą wydarzenia, przez które Bóg objawiał tajemnice mniej lub bardziej zakryte od czasów apostołów.

Kiedy po swoim nawróceniu zaczął tutaj usługiwać, rozbiliśmy dla niego duży namiot. Ludzie przyjeżdżali z różnych stron. Na pierwszą kampanię ewangelizacyjną zjechało się około trzech tysięcy osób, by słuchać jego historii o Jezusie z Nazaretu. Już wtedy zdawaliśmy sobie sprawę, że Bóg obdarował go czymś niezwykłym, ale po prostu nie wiedzieliśmy, co to było. W początkach jego służby towarzyszyło mu wiele znaków i cudów, co mogli zrozumieć jedynie ludzie napełnieni Duchem. Ciągłe jesteśmy pod wrażeniem rezultatów tej usługi i rosnącego z dnia na dzień wpływu, jaki ona wywiera na całym świecie.

Był niedzielny wieczór 1946 roku, dzień pamięci poległych w czasie wojny, kiedy przemawiając w kaplicy mówił nam o spotkaniu z aniołem, który powiedział mu o darze uzdrawiania i że zaniesie ten dar do wszystkich narodów, że tysiące ludzi będzie przychodziło do niego po uzdrowienie i będzie stał w przepelnionych audytoriach przed tysięcznymi tłumami ludzi.

Dla kogoś, kto nie jest duchowy, wydawało się to absolutnie niemożliwe, by ten chłopak, prosty robotnik, biedny wieśniak, w dodatku bez wykształcenia, mógł posiadać taki dar. Ale my widzieliśmy już wypełnienie wielu wizji, które otrzymał. Kiedy opowiadał o tej wizycie, mówił z dużym przekonaniem i nie bał się podzielić swoim przeżyciem z innymi. Wiedzieliśmy, że z pewnością także to się wypełni. Dowiedzieliśmy się również, że anioł mu powiedział, iż wielu ludzi go nie zrozumie, mimo że będzie zdolny rozpoznawać w sposób nadnaturalny choroby, a jeśli pozostanie pokornym, to będzie nawet czytał myśli ludzkich serc i będzie w stanie powiedzieć, co uczynili w przeszłości. W dalszych słowach anioł oznajmił mu, że to Duch Chrystusowy działa przez niego i on już od urodzenia był do tego celu powołany, by oznajmić nam, że żyjemy w czasach ostatecznych i że właśnie to jest znak czasów ostatecznych, a Bóg poprzez ten dar doprowadzi Swój lud do jedności Ducha.

Wiedzieliśmy, że te znaki były biblijne i przypomnieliśmy sobie to, jak Duch spoczął na Jezusie Chrystusie i Ten powiedział Natanaelowi, że widział go pod drzewem figowym, zanim jeszcze Filip go zawołał. Przez ten znak Natanael rozpoznał, że Jezus jest Synem Bożym i Mesjaszem Izraela. Tak samo, kiedy Chrystus powiedział samarytance o jej pięciu mężach, pobiegła ona do miasta wołając: „Chodźcie, zobaczcie Człowieka, który powiedział mi o wszystkich rzeczach, jakie popełniłam. Czy to nie jest Chrystus?”. Również Mojżesz, ten wielki wybawiciel dzieci izraelskich, był powołany przez Boga i urodził się w szczególnych okolicznościach. Szatan starał się go zniszczyć, lecz potem, w przeddzień wyswobodzenia Izraela, Mojżesz otrzymał dwa znaki, żeby oni mogli rozpoznać, że został on posłany przez Boga. Anioł powiedział bratu Branhamowi, że otrzymał te znaki, by ludzie uwierzyli w Jezusa Chrystusa, Tego, którego tak miłował. Kolejnym powodem, czemu te znaki zostały mu darowane, było to, by zjednoczyć Kościół, który jest podzielony przez wyznania wiary i denominacje. Rzeczywiście, brat Branham odczuwa wielkie brzemie za swoimi braćmi, którzy są między sobą podzieleni. Wierzy, że Bóg doprowadzi wszystkich członków Swojego Kościoła do jedności Ducha, a potem Jezus przyjdzie po Swój Kościół.

Wierzmy, że życie naszego brata można porównać do życia Mojżesza. Nasz brat jest bardzo skromny i nie twierdzi, że jest kimś wielkim. Nigdy nie szuka dla siebie chwały, ale we wszystkim wskazuje na Jezusa Chrystusa, Tego, który go zbawił i powołał.

TELEGRAM PODCZAS ZGROMADZENIA

Następnej niedzieli wieczorem, po wizycie anioła, kiedy brat Branham przemawiał w kaplicy w Jeffersonville, ktoś wręczył mu telegram. Wysłano go z St. Louis i proszono w nim, by pilnie przybył i modlił się o umierającą dziewczynkę, która nazywała się Betty Daugherty. Wiadomość o tym, co się tutaj działo, dotarła już do St. Louis i dlatego proszono go o tę wizytę. Ponieważ pracował codziennie i zarabiał tylko tyle, że ledwie wystarczało mu na życie i nie miał środków na podróż, zebraliśmy dla niego ofiarę. Pieniądzy uzbierało się tyle, że wystarczyło akurat na podróż pociągiem w obie strony. Brat Branham pożyczył od jednego z braci garnitur, od drugiego płaszcz i tuż przed północą odprowadziliśmy go na dworzec w Louisville, w Kentucky, skąd udał się do St. Louis.

UZDROWIENIE BETTY DAUGHERTY

Przez całą drogę wydawał się być spokojny – wiedział, że Bóg go nie zawiedzie. Na stacji czekał już kaznodzieja Daugherty, miejscowy pastor, który prosił go o przybycie do swojej córeczki. Leżała ona umierająca na nieznaną chorobę. Sprowadzono najlepszych lekarzy z miasta, lecz żaden nie mógł rozpoznać choroby. Brat Daugherty powiedział zmęczonym głosem: „Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, tak samo nasi lekarze. Ciągłe się modliliśmy, a tak samo kaznodzieje. W zborach modlono się i poszczono. Nic nie pomogło”. Potem brat Branham z ojcem dziecka weszli do domu, gdzie leżała umierająca. Tam przywitali go matka i dziadek dziewczynki. W domu było także wielu przyjaciół, którzy trwali nieustannie w modlitwie. Spojrzał na ten wzruszający widok, a zmęczeni rodzice popatrzyli na niego z taką szczerością, jakby chcieli powiedzieć: „Czy nie mógłbyś nam pomóc?”. Łzy zaczęły spływać mu po policzkach, kiedy z wolna podchodził do łóżka. Co to był za smutny obraz! Mała, kędzierzawa dziewczynka – sama skóra i kości. Drapała się po twarzy jak zwierzątko i krzyczała na całe gardło. Była cała zachrypnięta, bo ciągnęło się to już od trzech miesięcy. Brat Branham uklęknął w pokoju i pomodlił się z obecnymi. Nie wyglądało jednak na to, żeby dziecku polepszyło się po tej modlitwie.

Wtedy brat Branham poprosił o zaciszne miejsce, gdzie mógłby pomodlić się i dowiedzieć, co Jezus Chrystus chce, aby uczynił. Był świadomy tego, że sam z siebie nic zrobić nie może. Przypomnijcie sobie to, co jest napisane w piątym rozdziale Ewangelii Jana, gdy przy sadzawce Betezda Jezus uzdrowił jednego chromego człowieka, a ominął tłumy ślepych, chromych i kulawych. Powiedział wtedy Żydom: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam

wam, nie może Syn sam od siebie nic czynić, tylko to, co widzi, że Ojciec czyni. Co bowiem On czyni, to samo i Syn czyni”. Podobnie jest w przypadku usługi naszego brata. Często widzi w wizji, co ma uczynić. Najpierw Bóg mu to pokazuje, a on jedynie wykonuje to, co w niej zobaczył.

UWOLNIENIE

Zaprowadzili go do kościoła. Pastor Daugherty, jego ojciec i brat Branham modlili się tam przez około trzy godziny. Potem wrócili do domu, gdzie wszystko było bez zmian. Brat Branham udał się do pokoju i wstawiał się za dzieckiem. Potem chodził po ulicy tam i z powrotem, aż w końcu usiadł w zaparkowanym w pobliżu samochodzie pastora. Po chwili drzwi samochodu otworzyły się, brat Branham wysiadł i wszedł do domu, tym razem z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Coś się wydarzyło. W drzwiach wejściowych spotkał ojca i dziadka, którzy też od razu poznali po jego wyrazie twarzy, że coś się stało. Zapytał ich: „Czy wierzycie, że jestem sługą Bożym?”. „Tak” – zawołała cała rodzina. „Róbcie zatem to, co wam powiem, i nie wątpcie!”. Do matki zaś powiedział: „Przynies miskę czystej wody i białą ścierkę. Wasze dziecko będzie żyło, bo Bóg posłał do mnie anioła, który mi to oznajmił”.

W czasie gdy matka przygotowywała wodę, brat Branham poprosił ojca i dziadka, by uklękli przy łóżku – jeden z prawej, drugi z lewej strony. Kiedy matka wróciła, poprosił ją, aby potarła wilgotną szmatką twarz, następnie ręce, a potem stopy dziecka, podczas gdy brat Branham pogrążony był w modlitwie. Potem powiedział: „Ojcze, uczyniłem tak, jak mi pokazałeś w wizji. W imieniu Jezusa Chrystusa, Twego Syna, ogłaszam, że to dziecko jest uzdrowione”. Natychmiast zły duch opuścił dziewczynkę. Teraz jest normalnym, zdrowym dzieckiem i mieszka w tej samej okolicy. Ludzie z całego miasta, gdy się o tym dowiedzieli, przybyli tłumnie, by się za nimi modlił, lecz on się wycofał. Obiecał, że w późniejszym czasie znowu przyjdzie, co też uczynił kilka tygodni później.

ŚWIADECTWO OJCA, KAZNODZIEI ROBERTA DAUGHERTY

Nasza mała dziewczynka, Betty, była przez trzy miesiące chora. Badało ją dwóch wybitnych lekarzy i żaden z nich nie był w stanie zdiagnozować choroby. Modliło się też za naszą córkę wielu znanych duchownych z miasta i okolicy. Z dzieckiem było jednak coraz gorzej. Potem sprowadziliśmy pewnego człowieka z Jeffersonville w stanie Indiana, kaznodzieję Williama Branhama, który posiada Boży dar uzdrawiania. Brat Bill, jak go nazywają,

przyjechał natychmiast. Po kilku godzinach modlitwy oznajmił nam, że Pan pokazał mu w wizji, co należy uczynić z dzieckiem. Wyglądała już jak sama skóra i kości, do tego dostawała drgawek, jakby miała porażenie. Brat Branham zapytał nas, czy ufamy Bogu i czy posłusznie wykonamy to, co On nam poleci. Po modlitwie i wezwaniu imienia Jezusa, nasza mała córeczka została natychmiast uzdrowiona. To wydarzyło się mniej więcej dziesięć miesięcy temu. Mała Betty cieszy się teraz doskonałym zdrowiem i szybko przybiera na wadze. Z radością odpowiem na każde pytanie odnośnie jej uzdrowienia lub jakiegokolwiek uzdrowienia, które miało miejsce podczas zgromadzeń przebudzeniowych w 1946 r. w St. Louis.

Kaznodzieja Robert Daugherty
2009 Gano Ave
St. Louis, Missouri

ROZDZIAŁ 11

PIERWSZA KAMPANIA UZDROWIENIOWA W ST. LOUIS, MISSOURI

14 czerwca 1946 roku brat Branham ze swoją rodziną i dwiema siostrami z jego zboru w Jeffersonville pojechali do St. Louis, aby tam rozpocząć swoją pierwszą kampanię uzdrowieniową. Był piękny poranek, a wszyscy przez całą drogę śpiewali chrześcijańskie pieśni.

O godzinie czwartej dotarli do miasta. Stanęli na jednym końcu masywnego Mostu McArthura na rzece Mississippi, gdzie mieli spotkać się z kaznodzieją Daughertym. Stał tam już jego samochód, cały oblepiony ogłoszeniami dotyczącymi tego zbliżającego się zgromadzenia rozbudzeniowego. Niedługo potem zjawił się brat Daugherty i zabrał ich do swojego domu. Cała rodzina przywitała gości, razem z małą Betty, która parę dni wcześniej została uzdrowiona. Wieczorem wszyscy poszli do dużego namiotu, gdzie brat Branham miał głosić. Kiedy mówił zgromadzonym, co Bóg dla niego uczynił, wszyscy przysłuchiwali się z wyraźnym zainteresowaniem i uwagą. Tego wieczoru w kolejce modlitewnej było osiemnaście osób. Znalazł się wśród nich mężczyzna, który od lat był kaleką. Po tym, jak brat Branham pomodlił się w imieniu Jezusa Chrystusa, podniósł się i klaszcząc w dłonie chodził wokoło bez czyjejkolwiek pomocy. Uzdrowiony został również ślepy mężczyzna, a kilku głuchym został przywrócony słuch.

Następnego ranka poproszono brata Branhama, by poszedł modlić się za chorych na oddział psychiatryczny w szpitalu w St. Louis. Pewna umyślowo chora kobieta została całkowicie uzdrowiona i po niedługim czasie

wypuszczono ją ze szpitala. Stamtąd udali się do Granite w Illinois, dokąd wezwwała ich kobieta chora na raka, która ważyła około 37 kilogramów. Po modlitwie Bóg dotknął się jej ciała i lekarze kazali jej się ubrać i iść do domu. W kolejnym domu, który odwiedzili, była kobieta, która od roku miała porażenie prawej strony ciała. Brat Branham pomodlił się, a potem kazał jej wstać w imieniu Jezusa Chrystusa. Usłyszała, podniosła swoją prawą rękę nad głowę i wstała o własnych siłach. Potem chodziła po sali tam i z powrotem, klaszcząc w dłonie. Odzyskała też całkowicie utracony głos i znowu mogła mówić.

Kiedy tego wieczoru powrócili do namiotu, był on już całkowicie przepełniony. Wiele osób stało na zewnątrz, moknąc w deszczu, jeszcze inni siedzieli w zaparkowanych nieopodal samochodach. Nabożeństwo znowu było pobłogosławione i miało tam miejsce wiele uzdrowień.

Zgromadzenia trwały przez kilka kolejnych wieczorów i ciągle następowały cudowne uzdrowienia. Deszcz padał bardzo obficie, lecz nawet to nie było w stanie powstrzymać ludzi przed uczestnictwem w tych zgromadzeniach. Przynosili ze sobą stare gazety i nakrywali nimi mokre siedzenia. Postarano się też o więcej krzeseł, lecz i te w okamgnieniu zostały zajęte, tak że jeszcze wielu zgromadzonych musiało stać.

W niedzielę wieczorem do przodu wyszedł pewien ciemnoskóry pastor, by prosić o modlitwę. Był całkowicie niewidomy, a wielu ze zgromadzonych go znało. Po modlitwie, gdy brat Branham zdjął opaskę z jego oczu, mężczyzna zawołał: „Kaznodziejo, widzę pańską rękę!”. Potem spojrział w górę i zobaczył na suficie lampy. Znowu zaczął krzyczeć: „Chwała Panu! Potrafię policzyć wszystkie światła w pomieszczeniu i widzę uchwyty, na których są powieszono”. Ludzie zaczęli oddawać Bogu chwałę, gdyż wielu z nich wiedziało, że ten ciemnoskóry kaznodzieja był niewidomy od mniej więcej dwudziestu lat.

Tego samego wieczoru pewna kobieta sprzeciwiała się wołaniu Ducha Bożego. Kiedy opuściła zgromadzenie, nie uszła nawet kilku kroków, bo nagle dostała ataku serca i upadła nieprzytomna na chodniku przy pewnej restauracji. Brat Branham wyszedł i pomodlił się za nią. Kiedy wstała, przyznała się, że w swoim sercu przeciwstawiała się Bożemu wołaniu.

Pierwotnie zgromadzenia miały trwać parę dni, lecz kilkunastu miejscowych kaznodziejów usilnie prosiło go, by pozostał jeszcze dłużej i kontynuował zgromadzenia. Po tym jak spędził trochę czasu na kolanach, prosząc Boga o Jego prowadzenie, powiedział, że jeżeli Pan pozwoli, to pozostanie w mieście. Zainteresowanie zgromadzeniami rosło z wieczora na wieczór. Zjawiała się też policja, by pomóc w utrzymaniu porządku.

Wciąż napływały świadectwa o uzdrowieniach. Jedną z pierwszych osób, za którą się w tej kampanii modlono, była drobna siedemdziesięcioletnia

kobieta, która miała na nosie raka wielkości małego jajka. Nie minął tydzień, kiedy wróciła, aby złożyć świadectwo, że guz znikł. Wielu innych opuściło te zgromadzenia z podobnymi świadectwami. Szczególne wrażenie zrobiło świadectwo małej Betty Daugherty, która teraz była okazem zdrowia. W kolejkę modlitwy znalazł się kaznodzieja, który nie potrafił podnieść swoich rąk do góry. Po modlitwie chwalił Boga z uniesionymi rękami. Podczas tych zgromadzeń zostało też uzdrowionych wielu głuchoniemych. Powtarzali przed zgromadzonymi słowa, które do nich mówiono, potwierdzając przez to, że słyszą. Pewna kobieta wielbiła Boga, bo mogła już poruszać się bez aparatu ortopedycznego. Inna, która cierpiała na artretyzm i szczękocisk, też została natychmiast uzdrowiona. Potrafiła teraz bez żadnego wysiłku otwierać i zamykać usta. Uzdrowienia po prostu tak się mnożyły, że nie sposób ich wszystkich zliczyć.

Ponieważ liczba tych, za których się modlono, każdego wieczoru wzrastała, brat Branham był zmuszony niejednokrotnie modlić się nawet do godziny drugiej w nocy. Praktycznie, podczas następnych wielu miesięcy musiał się do tego przyzwyczaić. Miał takie współczucie wobec chorych, że było mu trudno zostawić tych potrzebujących ludzi.

Kampania trwała do 25 czerwca. Następnego ranka powrócił do Jeffersonville. Tam zaraz otrzymał telegram od rodziców małej dziewczynki, którzy pisali, że ich córka jest w bardzo ciężkim stanie. Kiedy brat Branham zjawił się w sali szpitalnej i pomodlił się za nią, Jezus dotknął się jej ciała, a ona ubrała się i poszła zupełnie zdrowa do domu.

Po niedługim czasie brat Branham powrócił do St. Louis, by przemawiać na wieczornym zgromadzeniu w Kiel Auditorium. W tym wielkim gmachu zebrało się około dwunastu tysięcy osób, aby go słuchać.

ROZDZIAŁ 12

NADZWYCZAJNE WYDARZENIA PODCZAS ZGROMADZEŃ BRATA BRANHAMA, JAKIE MIAŁY MIEJSCE PO WIZYCIE ANIOŁA

Bezpośrednio po wyżej wspomnianych wydarzeniach, służbie brata Branhamy zaczęły towarzyszyć wielkie znaki i potężne dzieła Boże. W przeciągu trzech miesięcy miało miejsce tak wiele niecodziennych zdarzeń, że można by nimi zapisać kilka ksiązek. Niepojęte, jak cała ta sprawa mogła w tak krótkim czasie zyskać taki rozgłos. Nie minęło nawet pół roku, a ludzie przyjeżdżali czy przysyłali listy nawet z zagranicy. Niektórzy przyjeżdżali do Jeffersonville wskutek wizji, wypytując o kogoś o takim nazwisku. Ludzie z miasteczka kierowali ich do kaplicy, a oni po zgromadzeniach opowiadali przepelnieni radością o tym, co się tam wydarzyło. Przytoczymy parę godnych uwagi wydarzeń, które miały miejsce w ciągu kilku następnych miesięcy:

WSKRZESZENIE ZMARŁEGO

Latem brat Branham został zaproszony do Jonesboro w Arkansas, do „The Bible Hour Tabernacle”, gdzie pastorem jest Richard Reed. W zgromadzeniach wzięło udział około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, którzy zjechali się z dwudziestu ośmiu stanów oraz Meksyku. Spali w namiotach, samochodach ciężarowych, przyczepach kampingowych, a niektórzy nawet

w samochodach osobowych. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów nie było już żadnych wolnych miejsc w hotelach. Podczas ostatniego wieczornego zgromadzenia, kiedy ewangelista szedł właśnie na podium, a tysiące osób tłoczyło się wewnątrz i wokół budynku, nagle jakiś kierowca karetki pogotowia zaczął krzyczeć i energicznie wymachiwać rękami, by zwrócić na siebie uwagę. Wołał: „Bracie Branham, moja pacjentka zmarła, czy mógłbyś do niej podejść?”. Ktoś zawołał: „Między nim a parkingiem dla karettek jest około dwa tysiące osób. On nie będzie w stanie przejść!”. Wtedy czterech dobrze zbudowanych mężczyzn przecisnęło się do przodu, aby wydostać z tłumu brata Branhama. Ten widok tłoczących się ludzi, którzy chcieli się do niego zbliżyć, był wzruszający.

Ewangelista dotarł do kolumny karettek pogotowia i zobaczył w jednym z ambulansów klęczącego starszego mężczyznę w połatanych ogrodniczkach. W rękach trzymał stary, porwany kapelusz, pozszywany sznurkiem. Powiedział: „Bracie Branham, moja matka odeszła”. Mąż Boży zbliżył się do tej leżącej bez ruchu postaci i chwycił ją za rękę. Jej oczy były nieruchome, leżała sztywna i nie oddychała. Brat Branham zwrócił się do mężczyzny i postawił diagnozę: „Ona ma raka”. Ten człowiek odrzekł: „Dokładnie tak” i klęcząc na podłodze zaczął krzyczeć: „O Boże, daj mi moją matkę z powrotem!”. Potem na chwilę w karetce zapanowała cisza.

Później było słycać głos modlitwy brata Branhama: „Wszzechmogący Boże, Autorze wiecznego życia, Dawco wszystkich dobrych darów, proszę Cię w imieniu Twojego drogiego i umiłowanego Syna Jezusa Chrystusa, daj z powrotem życie tej kobiecie!”. Nagle jej zwiotczała dłoń zaczęła się naprężać w dłoni brata Branhama, a napięta skóra na czole zaczęła się marszczyć. Potem usiadła, przy odrobinie pomocy ze strony brata Branhama. Jej zdumiony syn, gdy zobaczył, co się stało, objął ją ramionami i zawołał: „Matko, dzięki Bogu, znowu jesteś przy mnie!”. Brat Branham skierował się do drzwi karetki, ale kierowca go powstrzymał. „Proszę pana, na zewnątrz stoi tyle ludzi, że nie da się otworzyć tych drzwi” – powiedział. Potem zakrył płaszczem okno, by nikt nie widział, jak wychodzi, a następnie wskazał mu drugie wyjście z karetki.

NIEWIDOMA DZIEWCZYŃKA, KTÓRA ZGUBIŁA SWEGO OJCA

Gdy dotarł z powrotem do parkingu, gdzie pomimo mżawki było pełno ludzi, zaczął przeciskać się przez ten zwarty tłum, jednak nikt nie zwracał na niego uwagi, bo też nikt go nie rozpoznawał. Tak w ciągu dnia jak i w nocy kaplica była przepełniona. Nikt nie wychodził na zewnątrz, chyba

że koniecznie musiał pójść po coś do jedzenia lub w innej pilnej sprawie. Nagle usłyszał pełen przerażenia krzyk: „Tatusiu, tatusiu!”. Gdy się rozejrzył, zauważył niewidomą ciemnoskórą dziewczynkę, która przeciskała się przez tłum. Zgubiła ojca i nikt nie chciał jej pomóc w jego odnalezieniu. Ten żalony widok poruszył serce ewangelisty. Stał tak, by ona przechodząc dotknęła się go. „Proszę mi wybaczyć – prosiła, gdy poczuła, że kogoś potrąciła. – Jestem ślepa, zgubiłam ojca i nie mogę odnaleźć drogi do autobusu”. „Skąd jesteś?” – spytał brat Branham. „Z Memphis” – odparła. „Co tutaj robisz?” – pytał dalej. „Przyszłam, by spotkać się z uzdrowicielem” – odparła. „Skąd się o nim dowiedziałaś?”. „Włączyłam dziś rano radio i usłyszałam, jak ludzie niemi i głusi od urodzenia mówili. Wypowiadał się tam człowiek, który jest z Missouri i przez dwanaście lat pobierał rentę dla niewidomych, a teraz potrafi czytać Biblię. Ja straciłam wzrok jako mała dziewczynka, a moją ślepotę spowodowała katarakta. Lekarz mówił, że ona owinęła całkowicie mój nerw oczny. Operacje mogłyby tylko pogorszyć mój stan. Więc teraz jedyną moją nadzieją jest spotkać uzdrowiciela, a potem Bóg mnie uzdrowi. Powiedziano mi, że to jest ostatni wieczór z usługą uzdrawiania, a ja nawet nie potrafię dostać się bliżej budynku. Teraz jeszcze w tłumie zgubiłam tatę. Czy nie mógłby pan pomóc mi dostać się do autobusu?”

Oczywiście ta dziewczynka, ponieważ była niewidoma, nie wiedziała, z kim rozmawia, a ludzie, którzy obok nich stali, też go wcześniej nie widzieli. Dlatego zastanawiali się, co to za człowiek i dlaczego tyle czasu poświęca tej ciemnoskórej dziewczynce. Brat Branham chciał teraz sprawdzić jej wiarę, dlatego powiedział: „Czy wierzysz w to, co słyszałaś, podczas gdy dzisiaj mamy tylu dobrych lekarzy?”. „Ależ tak – odrzekła. – Jednak lekarze nie byli w stanie mi pomóc, a ja wierzę, że historia o aniele, który odwiedził brata Branhama, jest prawdziwa. Jeśli tylko zaprowadzi mnie pan tam, gdzie on przebywa, to ja już wtedy sama odnajdę ojca”.

To już było za wiele dla brata Branhama. Skłonił swoją głowę, a łzy płynęły mu po policzkach. Potem podniósł się i powiedział: „A może to ja jestem tym człowiekiem, którego poszukujesz?”. Wtedy chwyciła go za brzeg marynarki i zaczęła krzyczeć: „To pan jest tym uzdrowicielem?!” i z płaczem prosiła: „Niech pan mnie nie omija, niech pan się nade mną zlituje!”. Zupełnie przypominało to niewidomą Fanny Crosby, która napisała te słowa:

*Nie omijaj mnie, o Zbawco, z serca proszę Cię,
Łaską wieluś już obdarzył, nie omijaj mnie.*

Naturalnie usłyszała o innych niewidomych osobach, które zostały uzdrowione, więc przyszła z wiarą, że i ona otrzyma z powrotem swój wzrok, jeśli tylko dotrze do brata Branhama. Ewangelista powiedział jednak: „Ja nie

jestem uzdrowicielem. Jestem bratem Branhamem, ale to Jezus Chrystus jest twoim uzdrowicielem!” Potem poprosił ją, by skłoniła głowę, i zaczął się modlić:

„Panie, jakieś tysiąc dziewięćset lat temu ulicami Jerozolimy Ktoś niósł stary, szorstki krzyż. Ten który go niósł, zostawiał krwawe ślady. Jego słabe ciało, w drodze na Golgotę, upadało pod ciężarem krzyża. Wtedy podszedł Szymon z Cyreny i pomógł Mu nieść ten krzyż. A dzisiaj, Panie, stoi tu jedno z dzieci Szymona, które stąpa chwiejnie w ciemnościach. Jestem pewien, że Ty to zrozumiesz”.

W tym momencie dziewczynka zaczęła krzyczeć: „Byłam ślepa, a teraz widzę!”. Mężczyźni, którzy przyszedli po brata Branhama, byli niedaleko. W jasnym świetle wszyscy ludzie poznali teraz, że ten młody mężczyzna to brat Branham. Kiedy podbiegli do niego, miało miejsce jeszcze jedno chwytające za serce zdarzenie. Pewien stary człowiek, który podpierał się kulami z powodu wykręconej nogi i przyglądał się całemu widowisku, nagle głośno zawołał: „Bracie Branham, ja pana znam. Już osiem godzin stoję tutaj w deszczu. Niech pan się nade mną zlituje!”.

„Czy wierzy pan i czy uznaje mnie pan za sługę Bożego?” – zapytał go. „O, tak” – odpowiedział. „Zatem jest pan uzdrowiony w imieniu Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. Może pan odrzucić swoje kule”. Natychmiast jego krzywa kończyna wyprostowała się, a on z wielkiej radości zaczął podskakiwać i krzyczeć, tak iż zwrócił na siebie uwagę wszystkich. Ludzie zaczęli się tłoczyć, by chociaż dotknąć się jego ubrania.

Do tej pory brat Branham otrzymywał bardzo niskie wynagrodzenie. Rzadko również zbierano dla niego ofiarę w jego własnym zborze. Na utrzymanie własnej rodziny zarabiał jako strażnik leśny. Stare ubranie, które miał na sobie, było zużyte i połatane. Zauważył, że jedna kieszeń była rozerwana, a sposób w jaki ją zacerował, pozostawiał wiele do życzenia. Trzymał więc prawą rękę na tej kieszeni i podawał lewą rękę, gdy witał się z innymi kaznodziejami. Jednak tego wieczoru ludzie nie zwracali uwagi na jego sfatygowane ubranie. Krzyczeli, tłoczyli się i usiłowali dotknąć właśnie tego zużytego już ubrania brata Branhama, a ci, którym się to udało, byli uzdrawiani. Przypomina nam to dni Jezusa, kiedy to wiara słuchaczy była tak duża, że każdy, kto dotknął się Jego szaty, był natychmiast uzdrowiony.

SZCZEGÓLNY INCYDENT W CAMDEN, ARKANSAS

Kilka dni po tym spotkaniu brat Branham udał się do Camden w Arkansas, by mieć tam zgromadzenie. Kiedy właśnie mówił ludziom o swoim powołaniu i służbie, do sali przenikło nagle jasne, połyskujące światło,

które zatrzymało się nad jego głową. Pewien fotograf, który właśnie się tam znajdował, zrobił zdjęcie, na którym widać było właśnie to światło! Gdyby nie setki osób obecnych w tej sali, którzy potwierdzili to nadnaturalne zjawisko, to ktoś mógłby przypuszczać, że zdjęcie było retuszowane. W czasie tego zgromadzenia wiele osób zostało uzdrowionych i przyprowadzonych do Chrystusa.

Następnego dnia, kiedy grupa mężczyzn odprowadzała brata Branhama z budynku do samochodu, ciągle jeszcze setki ludzi napierało, by dotknąć się jego ubrania. Ponad tłumem nagle rozległ się głos: „Zmiłuj się nade mną, mężu Boży!”. Nieco dalej zauważono posiwiatego, niewidomego ciemnoskórego człowieka, którego prowadziła żona. Pełen głębokiej czci trzymał w ręku kapelusz. Brat Branham powiedział cicho: „Zaprowadźcie mnie do niego”. Jeden z mężczyzn zawołał: „Bracie Branham, ty jesteś na południu, nie opuszczaj białych ludzi, aby iść do Murzynów”. Brat Branham odparł, że to Duch Boży powiedział mu, aby podejść do tego człowieka. Gdy zbliżał się do niego, mężczyźni otoczyli go rękami, aby mógł tam dotrzeć. Jego żona powiedziała do niego: „Kaznodzieja do ciebie idzie, bądź już cicho!”.

Ten człowiek podniósł swoje obie słabe, drżące dłonie i dotknął nimi twarzy brata Branhama, pytając: „Czy pan jest kaznodzieją Branhamem? Przez całe moje życie nic o panu nie słyszałem, aż do wczorajszego wieczoru. Miałem dobrą, starą matkę, która zmarła przed wieloma laty. Ona także miała religię w swoim sercu. Nigdy w życiu mnie nie okłamała. Jestem niewidomy już od wielu lat, ale wczorajszej nocy wydawało mi się, że ona stoi przy moim łóżku i mówi: ‘Kochany synu, jedź do Camden w Arkansas. Tam znajdziesz służbę Bożego o nazwisku Branham. Odzyskasz swój wzrok. Panie kaznodziejo, natychmiast wstałem, ubrałem się, wsiałem z żoną do autobusu i tak przejechaliśmy ponad 160 km”.

Brat Branham wysłuchał tej historii, podniósł w górę oczy przepięknie łzami i modlił się: „Ojcze, dziękuję Ci, że masz miłosierdzie dla tego niewidomego”. Potem dotknął dłońmi jego oczu i powiedział: „Otwórz swoje oczy, Jezus Chrystus cię uzdrowił!”. I oto ten człowiek przejrzał!

Miało miejsce jeszcze wiele takich podobnych sytuacji, kiedy Duch Boży informował brata Branhama o jakiejś osobie, która od lat była obłożnie chora. Gdy się to działo, to wszyscy, do których przychodził prorok, chcieli być uwolnieni od choroby. Wielu z tych ludzi przychodziło potem wielokrotnie na jego zgromadzenia, by świadczyć, że mają się już dobrze.

Pewnego dnia w Santa Rosa, w Kalifornii, przybył na zgromadzenie jakiś mężczyzna, który poprosił brata Branhama o przeliterowanie mu swego nazwiska. Kiedy ten to uczynił, ów mężczyzna pokazał mu skrawek pożółkłego papieru i powiedział: „To jest to, matko!”. Mówił dalej, że przybył ze zboru

zielonoświątkowego i twierdził, że przed 22 laty, kiedy modlił się z żoną, Duch Święty powiedział przez niego: „Mój sługa, William Branham, przyjdzie na to Zachodnie Wybrzeże i przyniesie Boży dar uzdrawiania w tych czasach ostatecznych”. Oni wierzyli, że to było prorocstwo, które otrzymali. A gdy usłyszeli nazwisko brata Branhama, odszukali tę kartkę, gdzie było zapisane to stare prorocstwo.

ROZDZIAŁ 13

KRÓTKIE RELACJE ZE ZGROMADZEŃ BRATA BRANHAMA

Brat Jack Moore:

„Bóg, by dokonywać Swych cudów, działa w tajemniczy sposób. Stawia Swoje stopy na morzu i objawia się w burzy” – Tak pisał Cooper o tym cudownym stanie Louisiana, gdzie kiedyś, jak okiem sięgnąć, rozciągał się las, i gdzie rosły wspaniałe, okazałe sosny, nie mające sobie równych na całym świecie. Jeden z pierwszych ewangelistów zielonoświątkowych napisał książeczkę pt. „Przyjście Jezusa i sąd przed Białym Tronem”. W książce tej opisuje wrażenia, jakie wywołały na nim rytmiczne tony kołysanych przez wiatr, wiecznie zielonych sosen, których szum przypominał pięknie brzmiące śpiewane psalmy. Mówi, że jedynie ci, którzy kiedyś zwrócili uwagę na tę muzykę, będą w stanie zrozumieć, że jemu wydawało się, iż sosny śpiewały: „On przyjdzie wnet, On przyjdzie wnet”. Ten stary ewangelista złożył swoją broń, jak wielu wcześniejszych bojowników wiary. Niech jego dzielna dusza spoczywa w pokoju. Drzew również nie ma, a ich głosy zanikły, jednak poselstwo ich śpiewu żyje nadal: „Jego przyjście jest bliższe, aniżeli wtedy, kiedy uwierzyliśmy”. Wieje inny wiatr przez kraj.

*Wiatr pełen łaski i mocy wieje,
Przypominając najwspanialsze stworzenia dzieje,
Kiedy to Bóg z czułością tchnął na grudkę gliny
I dotarły o stworzeniu człowieka nowiny.*

Wiatr jest symbolem Ducha Świętego, który w dniu Pięćdziesiątnicy zstąpił w postaci gwałtownego, szumiącego wiatru. Ci ludzie na nowo zostali ożywieni tchnieniem Bożym. Tak samo i dzisiaj, przez działanie Ducha Świętego, wielu zostanie zbudzonych ze śmiertelnego snu.

„Kim jest człowiek, że o nim pamiętasz?” – mówi psalmista. Wskutek grzechu ludzkość popadła na pewien czas w żalospny stan duchowej nędzy, poza wszelką nadzieją na wybawienie... Aż przyszedł Jezus. Teraz jest On nadzieją Swego ludu i mocą Izraela. Człowiek, po tym jak zostanie przez Niego całkowicie przywrócony, będzie zajmował miejsce wyższe niż aniołowie i archaniołowie. Dlatego dzisiaj niektórzy ludzie są w szczególny sposób używani przez Ducha Świętego, aby pijane miasta naszej rozkwitającej Ameryki były świadome Boga. Powinniśmy skupić całą naszą uwagę na tym z nich, który był wyjątkowo umiłowany przez Boga i którym On posłużył się we wspaniałym sposobie: na Williamie Branhamie.

PIERWSZE SPOTKANIE BRATA MOORE'A Z KAZNODZIEJĄ BRANHAMEM

Brakuje nam słów, aby opisać wszystko, co przeżyliśmy razem z tym miłym bratem od czasu naszego pierwszego spotkania, które miało miejsce przed trzema laty. Chociaż już wcześniej marzyliśmy, by pewnego dnia zetknąć się z takimi rzeczami jak te, jednak wyglądało na to, że wciąż śpimy, nie zdawaliśmy sobie bowiem sprawy z tych porywających biblijnych wydarzeń, jakie miały miejsce w naszym sąsiednim, północnym stanie, dopóki paru naszych braci nie udało się na zgromadzenia brata Branhama w Arkansas i dopóki nie opowiedzieli oni o tych niesamowitych rzeczach, które tam widzieli. Brzmiało to bardzo dobrze, choć nie opowiedzieli nam nawet połowy z tego, co naprawdę tam się działo. Niespodziewanie jednak spotkał nas zaszczyt przeżycia niektórych z takich cudownych zdarzeń. Zgodnie z Bożym planem ten ewangelista został do nas posłany, abyśmy i my mogli być pobłogosławieni poprzez udział w jego poruszającej usłudze.

Docierały do nas fascynujące opowieści o tym niezwykle prostym człowieku i jego darze. Jak byliśmy w stanie sobie to wszystko wyobrazić? Ktoś z entuzjazmem opowiadał o wibracjach na jego dłoni, którymi się posługiwał, by rozpoznać rodzaj choroby i określić miejsce i część organizmu, jaka została zaatakowana. Drugi wspominał o jego natchnionych kazaniach, mimo że mówił o sobie, iż nie jest kaznodzieją. Niektórzy twierdzili nawet, że widzieli guzy raka, które w kilka godzin po jego modlitwie zniknęły z ciała chorych. Jeszcze inni w gorących słowach opisywali, jak głuche i nieme przedtem

dzieci mówiły do mikrofonu, jak kalecy krzyczeli i tańczyli po uzdrowieniu, a niekończące się kolejki modlitwy malały tylko wtedy, gdy ewangelista padał już z wyczerpania i wyprowadzano go z tego hałaśliwego tłumu. Opowiadali też o niezliczonej liczbie słuchaczy, którzy godzinami stali z głowami pochylonymi, pełni szacunku, i o atmosferze pełnej ciszy, przerywaną jedynie przez jęki cierpiących lub spokojny i poważny głos modlącego się kaznodziei, czy też łagodne dźwięki pieśni „Tylko Mu wierz”. Słysząc też było częste wybuchy uwielbienia, gdy miało miejsce jakieś uzdrowienie. Pewna kobieta, która podążała za jego zgromadzeniami, przemierzając w ten sposób setki mil, powiedziała, że kiedy patrzy na brata Branhama, to wcale nie widzi człowieka lecz Jezusa. Ze łzami usiłowała opisać pokorę, miłosierdzie i łagodność tego wyjątkowego charakteru. Wszyscy byli zgodni w jednym, że kiedy człowiek spotkał się z bratem Branhamem, nie mógł pozostać taki sam. Mimo to nie byliśmy przygotowani na to, co nas w rzeczywistości miało spotkać. Czy nie było to zbyt fantastyczne, by miało okazać się prawdą?... A jednak była to prawda niezaprzeczalna, o czym niebawem mieliśmy się przekonać.

Pośród wielu emocji, które towarzyszyły pierwszemu, niedzielnemu wieczorowi, kiedy głosił u nas brat Branham, dominowało chyba zdumienie i zaskoczenie, gdyż pomimo tego, że bardzo wcześnie przybyliśmy do naszej przestronnej kaplicy, do środka dostaliśmy się z ogromnym trudem, gdyż była ona już wypełniona po brzegi. Czegóż podobnego nie widzieliśmy nigdy wcześniej w pierwszy wieczór jakiegokolwiek serii zgromadzeń... Trudno jednak się dziwić, było to przecież zgromadzenie brata Branhama! Tego dnia nieprzerwany sznur samochodów ciągnął przez pagórki Arkansas i w dół dolinami Louisiany, torując drogę prorokowi dwudziestego wieku, którego modlitwy sprawiały, że choroby ustępowały, rozbite wcześniej domy pojedczyły się, pijani ojcowie pokutowali, marnotrawni synowie wracali, wrogie sobie kościoły składały broń i zawierały pokój, a letni chrześcijanie na nowo rozpalali się w ogniu pierwszej miłości. Na spotkania z kaznodzieją zarezerwowaliśmy obszerną salę szkolną, którą jednak musieliśmy opuścić już po dwóch wieczorach z powodu siejących spustoszenie tłumów ludzi, którzy okupowali budynek nawet podczas zajęć szkolnych. Zmuszeni więc byliśmy opuścić gmach szkoły i wrócić do zboru. Tylko przez pięć chwalebnych dni i wieczorów mieliśmy przywilej korzystania z usługi brata Branhama. Było to jednak dla nas jak przedsmak nieba, a skutki tych niezapomnianych dni są odczuwalne aż po dzień dzisiejszy. Ludzie stali się pokorni i łagodni, ponieważ wiedzieli, że Jezus z Nazaretu przez Swego sługę stanął na ich drodze. Podczas tych paru dni nieświadomie przenieśliśmy się w czasie wstecz i dołączyliśmy do pełnego podziwu tłumu, który posuwał się wzdłuż brudnych ścieżek Galilei, wierni skromnemu Cieśli, poddani Temu, który twierdził, że

jest Mesjaszem Izraela. W czasie naszego wizjonerskiego pochodu dotarliśmy na miejsce grobów, skąd wybiegł nagi opętany, który głośno krzycząc i sycząc przeciwstawił się obecności Chrystusa, lecz chwilę później ubrany i o zdrowych zmysłach siedział u Jego stóp. Znajdowaliśmy się wśród tłumu tłoczącego się wokół Jezusa, kiedy Ten zadał to pytanie: „Kto się Mnie dotknął?”. Widzieliśmy, jak mała, drżąca kobieta upadła Mu do stóp i przed wszystkimi przyznała się, z jakiego powodu szarpnęła brzeg Jego szaty, i jak od razu została uzdrowiona. Następnie szliśmy za Nim do domu Jaira i byliśmy świadkami zmartwychwstania jego córki... Słyszeliśmy wyraźne słowa wychodzące z ust głuchoniemego dziecka, po tym jak Mistrz dotknął jego języka, a gdy widzieliśmy kulawego mężczyznę skaczącego z radości, radowaliśmy się wraz z nim... Szukaliśmy sobie miejsca na wybrzeżu razem z pozostałymi pięćmi tysiącami mężczyzn, którzy młot i kowadło odłożyli na bok i pozamykali drzwi swoich sklepów, by resztę dnia spędzić na uważnym słuchaniu wspaniałych nauk Bożego Filozofa... Płakaliśmy razem z kobietami, kiedy patrzyliśmy w Jego twarz. Dostrzegaliśmy w niej bowiem smutek i żal, które świadczyły o złamanym sercu. Doświadczyliśmy Jego życzliwego wzroku, który ogrzał nasze wnętrza i zmiękczył nasze dusze. Tak, biblijne czasy powróciły. Był tu człowiek, który manifestował to, o czym do tej pory tylko mówiliśmy w kazaniach.

Nie mówię tego po to, by kogoś wywyżżyć, ale po to, by dokładnie wyjaśnić, skąd się wziął nasz wielki szacunek dla brata Branhama. Jego służba, jak od tamtej pory żadna inna, przybliżyła nas do naszego umiłowanego Pana, zaznajomiła nas bardziej z Jego żywymi dziełami, z Jego charakterem i bóstwem. I co lepszego można by powiedzieć o ludzkiej istocie?

NOWE DOŚWIADCZENIE

Gdy widzieliśmy te wszystkie triumfy wiary, zapragnęliśmy, by choć w niewielki sposób pomóc temu ewangeliście, na tyle na ile będziemy w stanie. Któż bowiem mógłby spokojnie patrzeć, jak do kolejki modlitwy przynoszą kalekie czy cierpiące dziecko i nie byłby tym widokiem poruszony do tego stopnia, by obudziło się w nim pragnienie, aby udać się na koniec świata, gdyby tylko mogłoby to pomóc?

Zostawiliśmy zatem zbór, przyjaciół, bliskich i nasze domy, by zaofiarować pomoc tej spektakularnej służbie. Rozpoczęliśmy od San Antonio w Teksasie, gdzie podczas tych wspaniałych dni w teatrze San Pedro setki ludzi, za którymi się modlono, otrzymało uwolnienie. Święci przeżywali przebudzenie, a grzesznicy się nawracali. Nigdy nie zapomnimy tych wszystkich

wzruszających scen. Można bez wahania powiedzieć, że gdziekolwiek brat Branham się pojawiał, zdobywał serca ludzi. Niezwykle wzruszające były chwile pożegnań ewangelisty z jego przyjaciółmi. Nie zapomnimy studentów Międzynarodowej Szkoły Biblijnej, którzy wraz ze swym przewodniczącym, bratem Coote, pomagali pastorowi, który sponsorował te zgromadzenia, naszemu drogiemu bratu Striblingowi, i wszyscy przywiązali się bardzo do brata Branhama. Dlatego też było im trudno się rozstać. To są właśnie jedne z tych smutnych chwil, których w niebie nie będzie: rozłąki i pożegnania.

WAŻNE, PRZEKAZANE W DUCHU POSELSTWO

Jeśli spojrzymy wstecz na tamte zgromadzenia, to możemy wskazać dwa szczególne wydarzenia. W mojej pamięci mocno wyrył się obraz mężczyzny w średnim wieku, niewidomego od trzydziestu lat, idącego po omacku w kolejce modlitwy. Kiedy znalazł się w pobliżu brata Branhama, słyszałem jak powiedział: „Czuję, że moje oczy się rozgrzewają!”. Po modlitwie kazano mu spojrzeć i po raz pierwszy od swego dzieciństwa powiedział: „Widzę światło!”. Na długo zapamiętam wyraz jego twarzy, gdy tak stał przez kilka minut i z pełnym szczęścia uśmiechem patrzył przed siebie.

Drugim pamiętnym wydarzeniem było poselstwo przekazane w Duchu, a potem wyłożone, które nas głęboko wzruszyło. Brzmiało ono niemal identycznie, jak dwa inne poselstwa na dwóch różnych zgromadzeniach brata Branhama. Tym samym było to doskonałe świadectwo autentyczności tej namaszczonej służby. To poselstwo było przyniesione z taką mocą, że wydawało się nam pozaziemskie. Jego sednem były słowa, że jak Jan Chrzciciel poprzedził pierwsze przyjście Jezusa, tak samo Pan posyła tego ewangelistę, a także innych takich jak on, aby uchwycić ludzi i przygotować ich na Jego drugie przyjście. Kilka miesięcy później usłyszeliśmy znowu takie samo poselstwo, wypowiedziane na dużym zgromadzeniu brata Branhama w Tulsa w stanie Oklahoma. Poselstwo to zostało przyniesione przez siostrę Annę Schrader, później bardzo przez nas cenioną. Te słowa mocno dotknęły naszych serc.

EWANGELISTA NA ZACHODNIM WYBRZEŻU

Następne zgromadzenie, w którym braliśmy udział, odbyło się w Phoenix, w Arizonie. Tu spotkaliśmy po raz pierwszy naszego przyjaciela i drogiego brata Johna Sharritta, wyśmienitego biznesmena, który później miał zostać członkiem grupy ewangelistów. Zgromadzenia w Phoenix były naprawdę duże i miało tam miejsce wiele znaków i cudów w imieniu Jezusa. W powrotnej

drodze z wybrzeża zatrzymaliśmy się znowu w Phoenix, z naszymi hiszpańskimi braćmi, gdzie kolejka modlitwy nie miała końca. To było coś! A jak reagowali na służbę naszego brata ci, którzy wychowani byli po katolicku! Brat Branham bez przerwy przez osiem godzin modlił się za nich.

Ze stolicy Arizony jechaliśmy dalej na zachód do Los Angeles i Long Beach. Nabożeństwa rozpoczęły się w pięknym kościele w Monterrey Park, który od samego początku był już przepełniony. Następnie przenieśliśmy się do miejskiej hali w Long Beach. Ogłoszono, że nabożeństwo rozpocznie się o godzinie siódmej wieczorem. Już późnym popołudniem ze wszystkich stron zaczęli zjeżdżać się chorzy, ludzie kalecy oraz umyślowo chorzy (także tacy w kaftanach bezpieczeństwa), podczas gdy jeszcze inna grupa w tym samym pomieszczeniu miała swoje nabożeństwo. Kaznodziei, który tam usługiwał, ulżyło, kiedy dowiedział się, że to wiara kogoś innego ma być przetestowana. Wielu wówczas znalazło wyzwolenie i wielu zostało uratowanych. Po krótkim pobycie w Oakland miały miejsce błogosławione zgromadzenia w stolicy wielkiego stanu Kalifornia, w Sacramento. Tu też rozpoczyna się nowy rozdział naszej historii. Podczas gdy reszta naszego towarzystwa jechała z Oakland do Sacramento, wsiałem do samolotu, by w Ashland (Oregon) odwiedzić naszego miłego, długoletniego przyjaciela Gordona Lindsaya, gdyż chciałem opowiedzieć mu o tym, co Bóg czynił. On przeprowadzał właśnie w swoim kościele w Ashland zgromadzenie przebudzeniowe. Lecz co?... Od razu uwierzył moim relacjom, przerwał na krótko swoje zgromadzenia i pojechał z żoną, z grupą swoich ewangelistów i ze mną przez dziką północ Kalifornii do Sacramento. Chcieliśmy wszyscy uczestniczyć w zgromadzeniach brata Branhama. Bez wątpienia był to początek całkowitej zmiany w jego życiu, a w konsekwencji prawdopodobnie również w życiu wielu ludzi. To on właśnie został później wydawcą czasopisma „Głos Uzdrawienia”, które dotarło do dziesiątek tysięcy ludzi, podczas gdy do tej pory miał do czynienia tylko z duszami swojego własnego zboru.

Następną miejscowością, w której się zatrzymaliśmy, było piękne miasteczko Santa Rosa, gdzie traktowano nas prawie jak aniołów. Niech Bóg pobłogosławi tych miłych, pokornych świętych, których imiona zapisane są w Księdze Życia.

Relacjami ze zgromadzenia we Fresno też można by zapełnić niejedną stronicę. Nie da się zapomnieć widoku ludzi czekających przez cały dzień na przybycie brata Branhama. We Fresno mieliśmy być tylko przez jeden wieczór, co zostało w tym lokalnym zborze ogłoszone kilka dni przed naszym przybyciem. Kiedy nastał ten dzień, ludzie od rana zaczęli się schodzić do zboru na wieczorne nabożeństwo. Już przed południem budynek był przepełniony i trzeba było dostawić tego wieczoru jeszcze dwa namioty. Wszędzie wokół

było pełno ludzi. Przypominało to miejsce Pisma z Ewangelii Marka czy Łukasza, gdzie jest powiedziane, że tłok był tak duży, iż ludzie nawzajem się tratowali. Pod koniec zajęto się także chorymi. Była trzecia nad ranem, kiedy bardzo spóźnieni przybyliśmy do domu naszych miłych przyjaciół, którzy czekali na nas z kolacją.

Z Fresno podróżowaliśmy z powrotem na wschód do Phoenix i do rezerwatu Indian. Słowa „rezerwat Indian” wywołują w nas pewne wspomnienia. Dramatyczne sceny i wydarzenia, które miały miejsce wśród tubylców pewnego zabobonnego plemienia, wypełniłyby całą książkę. Życzyłbym wszystkim moim Czytelnikom, by tamtego wieczoru mogli być ze mną wśród tego hałasującego zboru, by mogli obserwować całkowite przeistoczenie się tego kolorowego morza brązowych twarzy, o wyglądzie powątpiewającej ciekawości i przerażenia, w wesołe, pełne podziwu oblicza. Niech ich serca będą błogosławione! Mimo, że są oni pierwotnymi Amerykanami, obawiam się jednak, że niestety zostali zaniedbani i odsunięci na bok. Dlatego dzisiaj większość z nich żyje w nędzy, chorobach i pogaństwie.

Na zawsze pozostanie nam w pamięci królewska gościnność tamtejszej miłej, małej misjonarki. Stoi tam ona jak dzielny żołnierz pod ostrzałem. Odważnie przeciwstawia się przekazywanym z pokolenia na pokolenie diabelskim zabobonom współplemieńców i tamtejszego czarownika, podając im żywego, miłującego Chrystusa, Lekarza dla wszystkich ułomnych, słabych i potrzebujących pomocy. Radością był dla nas fakt, że mogliśmy jej pomóc, przybywając tu z człowiekiem, którego żywa wiara w Boga sprawiała cuda, jakie mogli oglądać. Indianin bowiem, żeby uwierzyć, musi widzieć, a właśnie to się tam wydarzyło.

Zbór był przepelniony, a wiele ludzi stało na zewnątrz, dlatego ewangelista z tłumaczem stali na schodach prowadzących do zboru. Mieliśmy do czynienia z ludźmi, którzy nie byli do końca ufni, jednak szybko utworzyła się kolejka modlitwy i manifestowała się Boża moc uzdrowienia.

Zarówno my jak i oni mieliśmy przywilej uczestniczyć w pewnego rodzaju pokazie wiary... Kolejne cuda działały się wprost przed naszymi oczami. Zamaniestowanie zaledwie kilku z nich wystarczyło zupełnie, aby Indianie zostali przekonani. Nagle zauważyliśmy pewne zamieszanie wśród zebranych, bowiem niektórzy z nich zaczęli opuszczać swoje miejsca i oddalać się... Dopiero później zrozumieliśmy, dlaczego tak postąpili. Oni udali się do domów po swoich bliskich, po czym dołączyli z powrotem na koniec kolejki. Widzieć oznaczało dla czerwonoskórego wierzyć. Dlatego więc opuszczali swoje miejsca, by przyprowadzić z chat pozostałych chorych i kalekich właśnie tam, gdzie spotkali się z tym nadnaturalnym zjawiskiem. Chciałbym tu

wspomnieć pewną starszą kobietę, która o laskach, wykonanych z kijów od miotły, kuśtykając doszła do kolejki modlitwy. Gdy tylko dotarła do ewangelisty, nie czekając nawet na modlitwę, oddała mu laski, wyprostowała się i odeszła. Co za prosta i dziecięca wiara!

W KANADZIE

Następne kilka tygodni spędziliśmy w domu. Potem spotkaliśmy się wszyscy razem w Saskatoon w prowincji Saskatchewan, gdzie cieszyliśmy się społecznością z naszymi kanadyjskimi braćmi o równie wartościowej wierze.

Poprzez Prince Albert, gdzie zatrzymaliśmy się tylko na jedno nabożeństwo, podróżowaliśmy dalej do Edmonton w Albercie, wielkiego miasta położonego na południowym krańcu Autostrady Alcan. Tutaj kilka dni spędziliśmy w Ice Arena, która była w stanie pomieścić od 5.000 do 6.000 osób. Dopiero wieczność objawi to, co tam się działo. Zaraz potem jechaliśmy do Calgary przez dwa parki narodowe: Jasper i Banff, gdzie oglądaliśmy wspaniałe krajobrazy, które, jak nam wiadomo, nie mają sobie równych na całym kontynencie. Zgromadzenie w Calgary było przez Pana potężnie pobłogosławione. Jak na tak duże zgromadzenia wszystko było tam świetnie przygotowane. Odbyły się one w największym budynku miasta i podczas każdego nabożeństwa uzdrowieniowego wypełnione było po brzegi. Miało tam miejsce wiele znaków i cudów w imieniu Jezusa.

Przypominam sobie taką chwilę, kiedy to w kolejce modlitwy setki osób przychodziło do ewangelisty, aby się za nich modlił. Zauważyłem przy tym pewną kobietę, która miała silnego zęza. Kiedy nasz brat położył na nią rękę i modlił się za nią z zamkniętymi oczami, poprosił zgromadzonych, by podnieśli głowy i spojrzeli na tę kobietę, zanim on sam otworzy oczy i stwierdzi, że jej oczy patrzą prosto. Jakub powiedział przecież, że to modlitwa wiary uzdrowi chorego, a nie tylko sama modlitwa.

NA FLORYDZIE

W styczniu 1948 roku postanowiliśmy opuścić naszą mroźną ojczyznę i udać się z pielgrzymką na południe do zimowego raj, czyli do Miami na Florydzie. Oczywiście nie uczyniliśmy tego, by zrobić sobie zimowe wakacje, jak całe rzesze hałaśliwych ludzi, którzy trwonili pieniądze na konne i psie wyścigi, luksusowe zabawy na plaży i inne grzeszne hulanki. Zrobiliśmy to po to, by służyć potrzebującym mieszkańcom tego pięknego zakątka, którzy zeszli się ze wszystkich stron i utworzyli naprawdę zróżnicowane audytorium.

Przybyli prawie z każdego stanu, a wielu nawet spoza Stanów Zjednoczonych. Przywieźli ze sobą chorych, którzy byli jednymi z najbardziej przykrych przykładów ludzkiego cierpienia, jakie dotąd widzieliśmy. Nie wszyscy oczywiście, ale bardzo wielu z nich wróciło do domu uzdrowionych.

Mieliśmy też okazję spotkać tu Avaka, młodego chrześcijanina z Armenii, który w swojej ojczyźnie był powołany i namaszczony podobnie jak tutaj brat Branham. Pewnego wieczoru właśnie podczas tej kampanii Niebiosa wyjątkowo się do nas uśmiechały, gdy Pan pozwolił nam spotkać się z kaznodzieją F. F. Bosworthem. Był on jednym z pierwszych, który pracował w służbie uzdrowieniowej, był weteranem, o którym już wiele lat wcześniej słyszeliśmy i czytaliśmy. Dla brata Boswortha i brata Branhama była to „miłość od pierwszego wejrzenia”, tak samo z resztą jak dla nas wszystkich. Właśnie ten kaznodzieja, ku wielkiej naszej radości, rozpoczął później pracę w naszej grupie ewangelistów.

Kiedy spoglądam wstecz, z pamięci wyłania się wiele wspaniałych obrazów i wspomnień z tych wspólnie spędzonych chwil... Nie chodzi tylko o wspaniałości natury, które oglądaliśmy w tamtych malowniczych stronach, podczas podróży na wybrzeże, a potem przez Tamiami Trail, ale i o te wszystkie cenne godziny spędzone w społeczności z naszym drogim bratem Branhamem, moją żoną, córką Anną Jeanne i jej przyjaciółką Juanitą. Co za przedsmak nieba! Ucztowaliśmy przy Słowie, kiedy nasz brat wykladał nam jego wspaniałości. Siostry płakały, gdy porównywał tajemnice i trudy ziemskiego życia ze wspaniałościami nieba; potem on sam płakał, kiedy słuchał, jak one śpiewały pieśni o Jezusie i o niebie. To był człowiek, który równocześnie żył w niebie i na ziemi. Posiadał po drugiej stronie skarby, które odrywały jego myśli od tych nędznych ziemskich spraw daleko do doskonałej niebiańskiej rzeczywistości. Wydawało się, że jego słowa porwą ze sobą w te niebiańskie miejsca także jego towarzyszy. Nigdy dotąd niebo nie było nam tak bliskie, jak wtedy gdy śpiewaliśmy tę pieśń:

*Czeka na mnie szczęśliwe jutro,
Tam gdzie bramy z pereł otwierają się szeroko.
Kiedy przekroczyć tę dolinę trosk,
Zamieszkać tam po drugiej stronie.
Pewnego dnia porzucę, co śmiertelne,
Lecz tylko Bóg wie, kiedy i gdzie.
Wieczny pokój będzie mym udziałem,
Na wzgórzach Syjonu będę żył.
Kiedyś moja praca się zakończy,
Moja wędrówka przeminie*

*I ból rozstania zostanie uleczony,
Nie będzie tam wzdychania ani płaczu...*

Nie mogliśmy głębiej odczuć miłości Bożej, niż wtedy, kiedy to rytmiczny szum fal wielkiego Atlantyku akompaniował do melodii tej pieśni:

*Choćby ocean – atramentem, nieboskłon – pergaminu zwojem,
Żdźbło trawy każde – zwinnym piórem, pisarzem – cały ludzki ród;
Aby opisać miłość Bożą, ocean wysechłby wnet,
A zwój nie byłby w stanie objąć, choć krańców nieba by sięgł.
Miłości Boża, wielkaś Ty, któż zbadać głębię Twą śmie?
Aniołów śpiew i świętych Twych na wieki będzie Ci brzmieć.*

Nie spodziewaliśmy się wtedy, że w tak bliskim czasie naszemu bratu pisane będzie przejść przez dolinę cienia śmierci, że nie będzie w stanie dźwigać już tego ciężaru, który doprowadził go do granic fizycznej wytrzymałości, i że wspomnienia tamtych dni przyniosą mu taką pociechę podczas wielomiesięcznych bojów ze zszarpanymi nerwami i depresją. Tego wieczoru długo siedzieliśmy, patrząc w otchłań słonych wód białogrzywych bałwanów, które znikwały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, a wieczorna bryza niosła harmonijny dziewczęcy śpiew:

*Życie zachodzi niczym słońce,
Za nami cienie nocy, a ja już czekam końca tego dnia.
Lecz gdzieś daleko jest ciągle żywy błękit,
Nadzieja przebija się świecąc,
A wiara patrzy ponad zachód słońca
I widzi brzask wiecznego dnia.*

Czy brat Branham mógł wiedzieć, że zbliża się czas, kiedy wśród jego umiłowanych i przyjaciół rozejdzie się wieść, że słońce jego krótkiego życia szybko zachodzi? Myślę, że na swój sposób musiał wiedzieć, bo przecież sam często mówił o swoim odejściu.

WIELKIE ZGROMADZENIA W MIEJSCOWOŚCI PENSACOLA

Wiosną 1948 roku odbyły się jedne z największych do tej pory zgromadzeń, do których należały też te w mieście Pensacola na Florydzie. Chętnie wracamy myślami do tych chwil. Wiele energii zostało włożone w ich przygotowanie. Różne grupy połączyły się razem w celu zorganizowania tej kampanii, w tym wszystkie znane nam lokalne kościoły Pełnej Ewangelii, pod przewodnictwem naszego miłego brata Welcha. W odpowiednim miejscu rozłożono

potężny namiot. Zgromadzeni ludzie pochodzili nie tylko z okolicznych miast, ale także z odległych stanów, takich jak Michigan. Nawet niepogoda i nawałnica, która powaliła namiot, nie powstrzymały ludzi od tego, by przeżyli tych pięć dni w niebiańskiej atmosferze.

W niedzielne popołudnie miało miejsce spektakularne widowisko. Podaliśmy do wiadomości, że odbędzie się specjalne nabożeństwo dla tych, którzy jeszcze nie są zbawieni. Kiedy brat Branham skończył opowiadać historię swojego życia, blisko półtora tysiąca osób, ze skrucą w sercu i łzami na policzkach, odpowiedziało na wezwanie i zadeklarowało się, że chcą być chrześcijanami. Chyba tylko anioł protokolant wie, czy kiedykolwiek wcześniej coś podobnego miało miejsce. Zostało uzdrowionych wielu ludzi, którzy nigdy wcześniej nie zetknęli się z bratem Branhamem. Ogromna wiara nappełniła to zgromadzenie i manifestowała się nawet potem, kiedy już wyprowadzono z sali całkiem wyczerpanego ewangelistę. Około dwudziestu czy dwudziestu pięciu miejscowych usługujących, zapominając o różnicach zdań i uprzedzeniach, modliło się za ludzi w niekończących się kolejkach, za setkami ludzi szukających uzdrowienia. Co za dzień!

Zanim opuściliśmy zgromadzenie razem z tymi wszystkimi miłymi wspomnieniami, rano, w dniu naszego odjazdu, miało jeszcze miejsce pewne zdarzenie. W pewnej chwili podszedł do mnie mężczyzna, który szukał pomocy dla swojej małej córeczki... (Od miesięcy było wiadomo, że ewangelista musi przerwać ewangelizację, by odpocząć i przyjść do siebie i że należy oszczędzać go przed pojedynczymi przypadkami osób szukających pomocy) Odczuwaliśmy jednak, że ten wypadek jest szczególny, więc zaprowadziliśmy go do naszego brata. Tej historii nigdy nie zapomnimy... Ze łzami spływającymi po policzkach opowiadał, jak wziął z domu dziecka tę małą, śliczną dziewczynkę, w wieku około siedmiu lat. Jej umysł nie rozwijał się normalnie, dlatego była niedorozwinięta. Kiedy widziałem miłość i litość tego ojca w stosunku do swojego przybranego dziecka, skojarzyłem to zaraz z innym obrazem. Pomyślałem o tym, jak to my zostaliśmy adoptowani do rodziny Ojca Niebieskiego, pomimo że także byliśmy niedorozwinięci, w tym duchowym zakresie. Dlatego też On ma dla nas nieskończone współczucie i litość. Po krótkiej przerwie spotkaliśmy się podczas kampanii w miejskiej hali w Kansas City. Tu po raz pierwszy zobaczyliśmy się z bratem Oralem Robertsem, który teraz jest bardzo aktywny i z dużym powodzeniem modli się za chorych.

Z Kansas City pojechaliśmy na kilka dni do Sedalii w Missouri. Chociaż w pewnym momencie nasz ewangelista niemal zemdłał z wyczerpania, Bóg pobłogosławił tam masy chorych i cierpiących.

Zapowiedziane spotkanie w Masonic Auditorium w Elgin, w stanie Illinois, trwało kilka dni i przyniosło wielkie poruszenie w Fox River Valley, jakiego tamtejsi ludzie prawdopodobnie nigdy wcześniej nie przeżyli. Po zakończeniu zgromadzeń widzieliśmy, że brat Branham jest bardzo wycieńczony i że trzeba mu dać chwilę wytchnienia, bo inaczej z pewnością wkrótce polegnie w tym boju dla Jezusa. Pożegnaliśmy przyjaciół z Elgin i udaliśmy się w kierunku ciepłego i gościnnego Południa, nie zdając sobie sprawy, że przez wiele następnych miesięcy nie zobaczymy naszego umiłowanego ewangelisty, bowiem na długi czas jego kosztowna służba i życie miało niemal zgasnąć.

Lecz dzięki Bogu z radością możemy powiedzieć, że w chwili pisania tej książki zakończyliśmy właśnie największe zgromadzenie przebudzeniowe w historii naszego kościoła, z ewangelistą Williamem Branhamem. Jest on teraz zdrowszym, mocniejszym i bardziej obdarowanym ewangelistą aniżeli przedtem, z silniejszą wiarą i namaszczeniem do głoszenia ewangelii. Oby Bóg zachował go w wierze i sile, aż jego śmiertelne słońce zajdzie albo wzniesie się Słońce Sprawiedliwości nad Ameryką, która została zbudzona z drzemki i gnuśności.

ROZDZIAŁ 14

AUTOR, GORDON LINDSAY, O BRACIE BRANHAMIE

By zapewnić ciągłość wydarzeń, wydaje się konieczne, aby teraz wyjaśnić, w jaki sposób autor pojawia się w historii brata Branhama. Wiele lat wcześniej poznaliśmy się z bratem Jackiem Moore'em (który napisał poprzedni rozdział), kiedy prowadziłem zgromadzenia przebudzeniowe dla jego teścia, kaznodziei G. C. Louta, który był wówczas pastorem pewnego kościoła w Shreveport, w Louisianie. Bardzo się wtedy z bratem Moore'em zaprzyjaźniliśmy. Jego przedsiębiorstwo budowlane z biegiem lat coraz bardziej rozkwitało, aż stało się jednym z największych w okolicy. Mimo rozwijającego się interesu, nie był nim jednak na tyle zajęty, by nie odczuć duchowej potrzeby swego miasta. Zbór, do którego uczęszczał, podczas Wielkiego Kryzysu stracił swój budynek, a sama społeczność rozproszyła się. W końcu zdecydował się wraz ze swoimi współnikami rozpocząć nową, niezależną budowę na peryferiach miasta. Temu nowemu zborowi nadali miłą nazwę: „Kaplica Życia”. Od tego czasu dzieło to niesłychanie się rozrosło i w krótkim czasie zbudowano nowy, piękny budynek „Kaplicy Życia” w pobliżu centrum miasta, który został poświęcony przez samego brata Branhama.

W międzyczasie zostałem pastorem pewnego kościoła w Ashland, w stanie Oregon, który, ku naszej radości, rozkwitł i stał się dobrze prosperującym zborom. Mieliśmy właśnie wielkie zgromadzenie przebudzeniowe, prowadzone przez ewangelistę J. E. Stilesa, podczas którego około pięćdziesięciu osób przyjęło chrzest Duchem Świętym. Odniesiliśmy wówczas wrażenie, że niedługo – choć nie mogliśmy określić kiedy – Bóg daruje temu zborowi potężną usługę, której towarzyszyć będą wielkie znaki i cuda oraz nadnaturalne

wydarzenia. W rzeczywistości kilka lat wcześniej Bóg pokazał nam to przez Ducha proroctwa.

Była to więc Boża opatrność, gdy 24 marca 1947 roku, pod koniec tygodnia ewangelizacyjnego brata Stilesa, otrzymaliśmy list od brata Jacka Moore'a, który pisał:

Drogi Bracie Gordonie,

Wiem, że ten list Cię zaskoczy, zwłaszcza że piszę z Oakland w Kalifornii, ale wydarzyło się coś ważnego. Mieliśmy tutaj pewnego kaznodzieję baptystycznego, brata Branhama z Jeffersonville w Indianie. On posiada Ducha Świętego i podczas modlitwy za chorych odnosi sukcesy na tak wielką skalę, jak nigdy dotąd. W Shreveport, w Louisianie, mieliśmy zgromadzenia jakich jeszcze nie było. Brat Young Brown i ja przyjechaliśmy tutaj razem z nim, by pomóc mu w zgromadzeniach, które tu zaplanował. Nie znaleźliśmy dostatecznie dużego budynku, który mógłby pomieścić tłumy, jakie się tutaj zebrały. Wczoraj wieczorem odbyło się nasze pierwsze spotkanie. W budynku było tak tłoczno, że nawet wszystkie miejsca stojące były zajęte. Zostaniemy tutaj do dwudziestego piątego, a potem pojedziemy na trzy dni do Sacramento. Będziemy zatem w tej okolicy kilkanaście dni i cieszyłbym się bardzo, gdybym mógł się z Tobą zobaczyć. Byłbym też ogromnie rad, gdybyś zechciał zobaczyć, co ten brat tutaj czyni.

Z poważaniem,
Jack Moore

Czytaliśmy ten list kilka razy, powoli, z mieszanymi uczuciami, a potem poszliśmy do brata Stilesa, żeby przeczytać mu ten list. Byliśmy zgodni w tym, że powinniśmy pojechać do Sacramento i baczenie obserwować tą osobliwą służbę ewangelisty, o której pisał mi mój przyjaciel. Następnego dnia brat Jack Moore osobiście przybył do Ashland samolotem, by nas odwiedzić. Nazajutrz, już razem, byliśmy w drodze do odległego o 480 kilometrów Sacramento. Kiedy tam dotarliśmy, zbor, w którym miało się odbyć zgromadzenie, mimo iż znajdował się na skraju miasta, był prawie pełny.

Wieczorne nabożeństwo, w którym uczestniczyliśmy, było zupełnie inne aniżeli te wszystkie, jakie do tej pory mieliśmy. Nigdy przedtem nie słyszeliśmy o takim kaznodziei, który modliłby się za głuchoniemych i niewidomych, a oni w jednej chwili byliby uzdrawiani. Ostatnią osobą, za którą modlono się tego wieczoru, była mała zezowata dziewczynka. Zauważyłem je, matkę z córką, kiedy siedziały z boku ze smutkiem na twarzy, ponieważ było zbyt wielu cierpiących w kolejce i wyglądało na to, że ewangelista nigdy do nich nie dotrze. Nadszedł czas, by zakończyć zgromadzenie, a jeszcze tylu oczekujących na modlitwę znajdowało się w kolejce. Ewangelista przygotowywał się

do wyjścia i zaczął schodzić po schodach z podwyższenia, kiedy obejrzał się raz jeszcze, a zobaczywszy tę dziewczynkę, poczuł w sercu głębokie współczucie. Chwyił ją, położył swoje ręce na jej oczy i krótko się pomodlił. Kiedy dziewczynka spojrzała, jej oczy były zupełnie w porządku.

SPOTKANIE Z WILLIAMEM BRANHAMEM

Następnego poranka mieliśmy przyjemność spotkać się z bratem Branhamem. To, co słyszeliśmy poprzedniego wieczoru, i to co oglądały nasze oczy, oraz wrażenia, jakie odnieśliśmy przy spotkaniu z nim, przekonały nas, że mamy do czynienia z człowiekiem, który mimo swojej pokory i skromności przebił się do Bożych sfer i któremu powierzona została służba przewyższająca wszystko, co do tej pory doświadczyliśmy. Była to prosta wiara odnosząca niezwykle sukcesy. Już od dawna czuliśmy, że ten rodzaj wiary będzie niezbędnym, by sprowadzić przebudzenie, o którym wiedzieliśmy, że – zgodnie z Bożą wolą – musi poprzedzić powtórne przyjście Chrystusa.

Podczas naszego spotkania z bratem Branhamem dowiedzieliśmy się, że brat Moore już mu o mnie opowiadał i ten z niecierpliwością oczekiwał spotkania ze mną. Brat Moore, jako świadek niezwyklej mocy służby tego ewangelisty zobaczył, że ta usługa może przynieść korzyści dla całego ludu Bożego. Zgadzało się to w zasadzie z tym, co anioł przekazał bratu Branhamowi, że jego usługa miała być dla wszystkich ludzi. Ponieważ byliśmy znani w kręgach zborów Pełnej Ewangelii, było rzeczą zrozumiałą dla brata Branhama i brata Moore'a, że ja jestem tym człowiekiem, który przedstawi go kaznodziejom reprezentującym te grupy. Brat Branham był gotów przyjąć nasze zaproszenie na północ. Miał następnej jesieni przybyć do Oregon i graniczących z nim stanów, by przeprowadzić tam kampanie ewangelizacyjne.

Do Ashland wróciliśmy z przekonaniem, że Bóg był z nami i że usługa brata Branhama dotrze do wielkich tłumów. Zaczęliśmy się rozglądać za możliwością zaaranżowania dla niego kilku kampanii na północnym zachodzie.

Naszym pragnieniem jednak było to, by przed rozpoczęciem kampanii na północno – zachodnich terenach, mieć jeszcze kilka zgromadzeń z bratem Branhamem. Nasz zbor udzielił nam zgody na wyjazd do Tulsa w Oklahomie, by tam uczestniczyć w mającej się odbyć kampanii. Zbor jednogłośnie zgodził się na wyjazd, jednak wszyscy tego poranka byli cisi i pełni powagi, jakby przeczuwali, że już dłużej nie będę chciał pełnić funkcji ich pastora. W czerwcu 1947 roku pojechaliśmy do Shreveport w Louisianie. Brat Moore czekał na nas i już dalej wraz z innymi pojechaliśmy na północ do Tulsa. Tamtego wieczoru znowu mieliśmy okazję obserwować służbę tego człowieka. Zbor był przepelniony i jak zwykle wydarzyło się wiele cudownych

rzeczy. Kolejka modlitwy była tak długa, że nabożeństwo przeciągnęło się do godziny drugiej nad ranem. Tak właśnie wyglądał cały poprzedni rok. Jaka szkoda – myśleliśmy – że przy tylu milionach cierpiących tak niewielu posiada władzę nad demonami i chorobami i że ten niepozorny brat musi modlić się za chorych aż do zupełnego wyczerpania.

Do tej pory wspólnych kampanii grup Pełnej Ewangelii było niewiele. Różnice w nauce oraz inne względy powodowały, że te grupy były wobec siebie podejrzliwie nastawione. Wiedzieliśmy zatem, że możliwość uzyskania błogosławieństwa dla wszystkich istnieje jedynie wówczas, gdy zgromadzenia te organizowane będą na podłożu czysto ewangelizacyjnym, a wszyscy uczestnicy będą zgodni w tym, aby nie toczyć sporów na kontrowersyjne tematy, lecz wspólnie złączą siły, by podać ludziom prawdziwą ewangelię wyzwolenia. Czy mogło się to urzeczywistnić? Uważaliśmy, że jest to możliwe. Brat Branham z entuzjazmem odniósł się do tej propozycji, bo od czasu odwiedzin anioła zjednoczenie wszystkich wierzących leżało mu głęboko na sercu. Zanim opuściliśmy miejscowość Tulsa, plan następnych, jesiennych zgromadzeń na zachodzie był już ustalony.

Dwa miesiące później udaliśmy się na Główną Radę Zborów do Grand Rapids w Michigan. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze w Calgary w Kanadzie, gdzie brat Branham usługiwał przez siedem dni. Mieliśmy okazję pomagać mu przy usługiwaniu w kolejce modlitwy, a przy okazji mogliśmy bliżej zapoznać się z jego służbą. Raz byliśmy świadkami, jak brat Branham rozmawiał z człowiekiem leżącym na łóżku polowym. Na początku nie było żadnej reakcji ze strony tego chorego. Jego żona, która stała obok, wytłumaczyła, że jej mąż nie tylko jest zżarty przez raka i umierający, ale do tego jeszcze jest głuchy i dlatego nie rozumie, co się do niego mówi. Brat Branham stwierdził, że chory musi najpierw odzyskać słuch, aby móc go potem poinstruować, jak przyjąć uzdrowienie z choroby raka. Modlitwa trwała tylko chwilę. Nagle ten człowiek odzyskał słuch! Wielkie łzy spływały mu po twarzy, która dotąd przez cały wieczór nie miała wyrazu i była bez ruchu. Z głębokim zainteresowaniem przysłuchiwał się temu, co kaznodzieja mówił mu o uwolnieniu z raka.

Innym przypadkiem było uzdrowienie głuchoniemego dziecka. Po modlitwie oczywiście chłopak słyszał. Jego twarz wyrażała zdumienie z powodu słyszanych dźwięków, co przekonało każdego, że ten duch głuchoty został wypędzony. Następnego wieczoru znowu zobaczyłem uszczęśliwioną matkę tego chłopca, która opowiadała nam, że jej syn nauczył się już kilku słów. (W innym miejscu w tej książce znajduje się artykuł prasowy o zgromadzeniu w Calgary).

BOŻY CEL POWOŁANIA WILLIAMA BRANHAMA DO SŁUŻBY

Opuściliśmy Calgary z kilkoma przyjaciółmi i pojechaliśmy dalej na wschód. Kilka dni później zatrzymaliśmy się w Oberlin, w Ohio, na uniwersytecie Oberlin College, założonym przez Charlesa G. Finneya. Ten wielki mąż Boży jest pochowany na cmentarzu blisko Oberlin. Zmarł tutaj około 75 lat temu po wyjątkowo owocnej służbie, jaka w historii ewangelizacji rzadko się zdarza. Finney z trudem rozpoznalby dzisiejsze Oberlin. Wspaniałe budynki zdradzają materialny dobrobyt, lecz ewangelia, którą głosił przed blisko dwoma pokoleniami, ma obecnie niewielu obrońców. Niszcząca plaga modernizmu i socjalnej ewangelii wzięły górę. Dzisiejsze Oberlin nie byłoby zadowolone, gdyby Finney powrócił i głosił swoje potężne kazania w salach tego supernowoczesnego uniwersytetu.

Pytaliśmy samych siebie, co się stało, że w przeciągu zaledwie dwóch pokoleń nastąpił taki zupełny rozkład. Przypomnieliśmy sobie jednak czasy Jozuego. Izrael służył Panu w czasie, kiedy żył Jozue oraz przez wszystkie dni życia starszych, którzy przeżyli Jozuego i którzy „ogłądali wszystkie wielkie dzieła, jakich Pan dokonał dla Izraela [...] i nastąpiło po nich inne pokolenie, które nie znało Pana, ani tego, co On uczynił dla Izraela, zaczęli synowie izraelscy czynić zło w oczach Pana i służyli Baalom” (Księga Sędziów 2,7–11).

PORÓWNANIE Z GEDEONEM

To było to. Wiadomym było, że wiara w Boga nie może być przenoszona z pokolenia na pokolenie bez nowych manifestacji mocy Bożej. Generacja, która nastąpiła po Jozuem miała swoich kapłanów, lecz widocznie nie wiedzieli oni nic o mocy Bożej. Głównym następstwem ich służby pozbawionej mocy było to, że „każdy czynił to, co w jego oczach było właściwe” (Księga Sędziów 17,6). Jednak zawsze znajdują się tacy jak Gedeon, którzy na przekór przekonującym wyjaśnieniom diabła, że dni cudów przeminęły, nie dadzą temu posłuchu. Kiedy ukazał mu się anioł i powiedział: „Pan z tobą, mężu waleczny”, Gedeon odparł: „Jeżeli Pan jest z nami, to dlaczego spotkało nas to wszystko? Gdzie są wszystkie jego cuda, o których opowiadali nam nasi ojcowie, mówiąc: Czyż nie Pan wywiódł nas z Egiptu? Teraz zaś porzucił nas Pan i wydał nas w rękę Midiańczyków” (Księga Sędziów 6,12–13). Gedeon nie był jak religijni przywódcy naszych dni, którzy zadowolają się całkowicie ewangelią pozbawioną cudów, a ich brak w swojej służbie tłumaczą tym, że „dni cudów przeminęły” i że wołą Bożą teraz jest, by chrześcijanie byli nękani przez choroby. Gedeon nie dał sobie niczego wmówić, spojrzął prawdzie w oczy. Powiedział, że jeśli Bóg jest z nimi, to chce wiedzieć, gdzie są

Jego cuda. Zauważcie, że anioł nie powiedział: „Gedeonie, nie bądź w gorącej wodzie kąpany, dni cudów przeminęły”. On uszanował wiarę Gedeona i od razu dokonał cudu na jego oczach. Kiedy bowiem dotknął przygotowanej przez Gedeona ofiary „ze skały wystąpił ogień trawiąc mięso i niekwaszony chleb”.

Anioł Pański rzeczywiście polecił Gedeonowi: „Idź w tej mocy twojej i wybaw Izraela z ręki Midiańczyków. Przecież to Ja cię posyłam”. Kiedy Duch Boży zstąpił na tego męża wiary, stał się innym człowiekiem, a cały Izrael wkrótce miał otrzymać wyzwolenie przez potężną, nadnaturalną moc.

Interesujące jest to, iż Gedeon, chociaż wierzył, że jeśli Bóg rzeczywiście jest między nimi, to dni cudów nie przeminęły, jednak był dość zaskoczony, kiedy anioł dał mu polecenie, by stanął jako wódz na czele Izraela. Nie był skłonny uwierzyć, żeby to był dobry wybór, nie tylko dlatego, że jego rodzina była biedna, ale że i on sam był najmniej znaczący w domu swego ojca. Jednak droga Boża często wygląda tak, że pierwszy jest ostatnim, a ostatni jest pierwszym. Po tym jak Bóg pobłogosławił Gedeona zwycięstwem, on wciąż był pokorny i odrzucił propozycję, by zostać władcą Izraela. Gedeon odpowiedział ludowi: „Pan będzie panował nad wami”. To on przywrócił zgodę pomiędzy swymi zazdrosnymi braćmi, a przez wiele następnych lat w kraju panował pokój i cisza.

Historia Gedeona przypomina życie Williama Branhama. Obaj mężowie urodzili się w bardzo biednych rodzinach i żaden z nich nie miał ambicji, żeby zostać kimś wielkim. Obu objawił się anioł i dał pewne polecenie. Obydwaj wierzyli, że dni cudów jeszcze nie przeminęły, jeśli Bóg jest ze swoim ludem. Obaj mężowie otrzymali szczególną porcję Ducha i wzgardzili tym, by zostać władcami nad Bożym dziedzictwem. Jak jeden tak i drugi starali się doprowadzić lud Boży do jedności. Bóg dał Gedeonowi, dowódcy bardzo małej armii, zwycięstwo nad potężną armią wroga. Tak samo brat Branham, bez wsparcia ze strony jakiegokolwiek organizacji i będąc w posiadaniu niewielu naturalnych zdolności wyruszył, posłuszny powołaniu, by służyć darem otrzymanym od Boga. Ludzie przybywali tłumnie, by go słuchać, dlatego że wielu było na miejscu uwalnianych z dolegliwości wroga. Gedeon cierpiał z powodu sprzeciwu zazdrosnych braci i ich cielesnego usposobienia. Ten sam przypadek dotyczy brata Branhama. Obaj mężowie wykazywali się wyrozumiałością i cierpliwością wobec tych, którzy się im sprzeciwiali. Bóg ich obu potwierdził w swoim czasie.

Istnieje również wyraźne podobieństwo pomiędzy czasem, w którym żył Gedeon, a naszym. Poprzednia generacja była świadkiem powstania ruchu Pełnej Ewangelii, któremu towarzyszyło wiele znaków i cudów. Lecz teraz powstało nowe pokolenie i wielu młodych ludzi, pomimo tego, że słyszeli

o dziełach minionych dni, to osobiście nikt z nich nie był świadkiem cudu. Wiele kościołów przejawiało tendencję do szukania namiastki mocy Bożej oraz do sprowadzenia jej do czysto ludzkiego poziomu praktyki religijnej.

W podróży powrotnej do Oregon nagle nas olśniło, że manifestacja mocy Bożej jest jedyną odpowiedzią na pytanie: „W jaki sposób można w przeciągu tak krótkiego okresu czasu, który pozostał przed przyjściem Chrystusa, dotrzeć do tej generacji z poselstwem ewangelii?”

ROZDZIAŁ 15

BRAT BRANHAM NA PÓŁNOCNYM ZACHODZIE

Nastal czas, by rozpocząć zgromadzenia na północnym zachodzie. W dalszym ciągu spoczywała na nas odpowiedzialność prowadzenia zboru w miejscowości Ashland. Na szczęście w tym czasie do naszego zboru przybyła grupa ewangelistów z Lome Fox Evangelistic i zgromadzenia te okazały się jednymi z najwspanialszych, jakie Ashland kiedykolwiek doświadczyło. Wykorzystywaliśmy każdą chwilę wolnego czasu na planowanie kampanii Branhama, która miała rozpocząć się w Vancouver, w Kanadzie, a potem na południu Stanów. Zgromadzenia sponsorowali pastory trzech głównych zborów miasta: kaznodzieja Walter McAllister, kaznodzieja W. J. Ern Baxter i kaznodzieja Clarence Hall. Powodzenie tych zgromadzeń zawdzięcza się przede wszystkim dobrej pracy organizacyjnej lokalnej grupy. Kaznodzieja Baxter, który w późniejszym czasie stał się członkiem grupy brata Branhama, napisał o tych kampaniach następujące sprawozdanie:

Podczas tej bardzo krótkiej, bo trwającej tylko cztery dni, kampanii z udziałem kaznodziei Williama Branhama, która objęła całe miasto, dożywano chwil nieopisanej chwały. Jak w innych miastach, tak i w Vancouver, największa sala w mieście nie była w stanie pomieścić przybyłych tłumów ludzi, którzy czekali na usługę naszego brata. Wydawało się dosłownie, że wszystkie okoliczne miasta i wsie zupełnie się wyludniły i udały do Vancouver, aż całe to miasto znalazło się pod duchowym wpływem tysięcy wierzących i modlących się ludzi. Przybyły tam także delegacje kaznodziejów z różnych miast, którzy przyjechali, by zaprosić brata Branhama i upewnić się, że zjawi się on również na ich polu pracy. W tym czasie trwał akurat strajk transportowców,

obejmujący wszystkich pracowników autobusów i tramwajów, przez co tysiące ludzi zostało odciętych od zgromadzeń.

Tuż przed nabożeństwami w Vancouver odbyły się trzy masowe zgromadzenia modlitwne i trzy duże nabożeństwa. Od samego początku, gdy tylko rozpoczęto rozmowy odnośnie przyjazdu brata Branhama do Vancouver, wśród tamtejszych kaznodziejów panował duch jedności i współpracy. Atmosfera harmonii i życzliwości jeszcze się wzmocniła podczas tych zgromadzeń i w dużej mierze trwa do teraz, co przejawia się w spotkaniach zaprzyjaźnionych grup i wspólnych zgromadzeniach. Zauważyliśmy, że nie tylko tu, ale też i w innych miastach było to charakterystyczną cechą służby brata Branhama. Była to odpowiedź na rozpaczliwą potrzebę.

Miejscowi bracia usługujący zwracali uwagę na świadectwa uzdrowień i ich cudowne skutki, do których dochodziło w czasie modlitwy za sprawą działania Ducha Świętego. Byłoby rzeczą niemożliwą zebrać wszystkie świadectwa o każdym uzdrowieniu, ponieważ jeden musiałby mówić o zezowatych oczach, które zaczęły równo patrzeć, inny o ludziach przykutych do łóżka, którzy powstali, o głuchych, którzy zaczęli słyszeć, lub o niemych, którzy zaczęli mówić. A któż podjąłby się zliczenia tych niezwykłych świadectw o tym, jak byli uzdrawiani ludzie z rakami, guzami czy wolami. Byłoby to niewykonalne, a gdyby nawet ktoś pokusił się o zebranie tego wszystkiego, to okazałoby się, że to zaledwie początek. Dopiero kiedy staniemy przed Dawcą wszystkich dobrych i doskonałych darów, wtedy zapis każdego z tych uzdrowień zostanie odczytany.

Mimo utrudnień komunikacyjnych olbrzymie audytorium, mające kilka tysięcy miejsc siedzących, każdego wieczoru było pełne. W ostatnim dniu już o godzinie piątej po południu pozamykano wszystkie drzwi. Wydawało się oczywiste, że niewielu było takich, którzy kiedykolwiek byli zdolni zrobić tyle dobrego, ile brat Branham w ciągu tych czterech dni w Vancouver. Wielu kaznodziejów, którzy brali udział w tych zgromadzeniach, wracali pełni entuzjazmu do swych zborów, głęboko poruszeni przez tę wyjątkową demonstrację mocy Bożej.

Następne zgromadzenie miało miejsce w mieście Portland, w stanie Oregon, a rozpoczęło się w rocznicę zakończenia I wojny światowej. Nabożeństwa odbywały się w różnych salach, lecz nie znaleziono odpowiedniego budynku, który pomieściłby tak licznie przybyłe masy ludzi. Na ostatnie trzy wieczory wynajęto Miejską Aulę, lecz nawet w ostatni wieczór była ona przepełniona. W nabożeństwach brało udział setki kaznodziejów. W tym czasie nie odbywały się żadne zgromadzenia zborów Pełnej Ewangelii poza tymi, które miały miejsce w auli. Relacje z tych zgromadzeń, dotyczące dramatycznego

wyzwania, które zostało rzucone człowiekowi opanowanemu przez demona, zamieszczone zostały w pierwszym rozdziale książki.

Z Portland udaliśmy się do Salem. Olbrzymia sala – zbrojownia, wypełniona była po brzegi, razem z przylegającymi do niej małymi pomieszczeniami wyposażonymi w głośniki. Kaznodzieja Walter Fredrick, przewodniczący miejscowego zarządu, powiedział:

Pragniemy oddać Bogu chwałę i cześć także z Salem w stanie Oregon za Jego pełne mocy nawiedzenie naszych zebrań, które prowadził brat Branham. Zgromadzili się tutaj ludzie zarówno ze Stanów, jak i z Kanady. Nigdy dotąd nie zanotowano w historii naszego miasta, by takie tłumy zgromadziły się na jednym miejscu z powodu zgromadzeń religijnych. Salem było poruszone i stało się bardziej wyczulone na obecność Boga. Miało tu miejsce wiele cudownych uzdrowień i wciąż można jeszcze słyszeć świadectwa o uwolnieniu.

Brat Branham pojechał z Salem do naszego rodzinnego miasta, do Ashland, gdzie miejscowa zbrojownia z 1.200 miejscami siedzącymi była wypełniona po brzegi. W następnym tygodniu wszyscy udaliśmy się do Boise, gdzie w największej auli w mieście miała miejsce potężna trzydniowa kampania.

Podczas tych czternastodniowych nabożeństw, które zostały ogłoszone tylko w niewielu gazetach, mniej więcej siedemdziesiąt tysięcy osób słyszało ewangelię o uzdrowieniu, z których co najmniej tysiąc stanowili kaznodzieje. Trzeba dodać, że w trakcie tych zgromadzeń brat Branham był niezmiernie wycieńczony. Często na niedzielę próbował dostać się do Phoenix w Arizonie, gdzie w Shrine Auditorium prowadził popołudniowe nabożeństwa. Czasem nie sypiał całymi nocami. Pewnego razu jego samolot przez kilka godzin krążył nad lotniskiem, które było spowite gęstą mgłą. Sukcesy tych zgromadzeń były uderzające, tym bardziej gdy pomyślimy, że ewangelista usługiwał ponad swoje siły i w dodatku w ciężkich warunkach, które fizycznie zupełnie go wyczerpały. Zatrzaszczyliśmy się o to, by w przyszłości nie organizowano dla niego więcej nabożeństw, aniżeli mógłby podołać. Wiedzieliśmy też, że brat Branham potrzebuje dłuższej przerwy na odpoczynek.

ROZDZIAŁ 16

POCZĄTKI „GŁOSU UZDROWIENIA”

Pod koniec kampanii w Boise brat Branham wyraził zadowolenie z rezultatu, które przyniosły zgromadzenia na północnym zachodzie, i powiedział, że czuje prowadzenie od Pana, aby nabożeństwa odbywały się tak jak wcześniej, na podłożu czysto ewangelizacyjnym. Poprosił mnie więc, abym udał się do Shreveport w Luizjanie i porozmawiał z bratem Moore'em o możliwości zorganizowania dalszych kampanii na podobnych zasadach jak dotychczas. Nie umiałem odmówić, więc zgodziłem się pojechać. Mój zbór znowu okazał się bardzo wyrozumiały i udzielił mi zgody na wyjazd. W zamian za to, na czas mojej nieobecności, udało im się zaprosić pewnego ewangelistę o imieniu Velmer Gardner, dzięki usłudze którego kościół poczynił wielkie postępy. Ponadto brat Gardner został niezwykle zainspirowany po zgromadzeniach, które później odbyły się w Eugene i niedługo potem jego kampaniom zaczęła towarzyszyć nowa usługa uzdrowień i cudów.

Coraz częściej zastanawiałem się, czy mam na stałe odpuścić zbór i zaangażować się w pracę, na którą, jak się wydawało, Bóg tak jasno wskazywał, czy też nie. Decyzja, by opuścić swoich bliskich, a szczególnie zbór, który na moich własnych oczach wyrósł z małej, walczącej o przetrwanie grupki na mocne i pełne entuzjazmu zgromadzenie, okazała się trudniejsza niż myślałem. Wydawało się, że Bóg mnie w tym prowadzi, jednak w dalszym ciągu zwlekałem. W końcu Bóg przemówił do mnie bezpośrednio podczas modlitwy i powiedział mi, bym nie wątpił, tylko szedł naprzód, a Pan poprowadzi mnie krok po kroku w mojej części tego wielkiego dzieła, które On rozpoczął w tym kraju. Od kiedy podjąłem tę decyzję, nigdy nie miałem powodu, aby wątpić, że to Bóg poprowadził mnie do tego.

Niedługo po Nowym Roku, znalazłem się w Shreveport, w Luizjanie, by omówić te sprawy z moim dobrym przyjacielem, bratem Jackiem Moorem. Wspólnie z Youngiem Brownem udaliśmy się do Jeffersonville w stanie Indiana, gdzie brat Branham odpoczywał przez parę dni u siebie w domu. Ucieszył się z naszego przyjazdu i wspólnie przeżyliśmy wspaniałe chwile społeczności. Mieliśmy kilka kwestii do przedyskutowania, jak na przykład tą, że poprzednio wszystkie informacje o zgromadzeniach brata Branhama były zamieszczane w czasopiśmie edytowanym przez miłego chrześcijanina z Teksasu. Wiązał się z tym pewien problem. Brat Branham uświadamiał sobie, że po zgromadzeniach na północnym zachodzie kraju jego kampanie doszły do takiego punktu, iż zgromadzały wierzących z wielu grup i denominacji. Dlatego właśnie czasopismo, które by publikowało informacje o zgromadzeniach, z pewnością znalazłoby się w domach tych wszystkich różnych grup. Jeżeli kampanie miały w dalszym ciągu zachować charakter ewangelizacyjny, to oczywiście czasopismo musiałoby być wydawane na podobnych zasadach. Uzgodniliśmy, iż wyślemy wiadomość do wyżej wspomnianego brata z propozycją, że jeżeli zgodzi się, aby jego magazyn był w pełni międzydenominacyjny, wtedy brat Branham w dalszym ciągu będzie posługiwał się jego czasopismem jako swoją oficjalną publikacją.

Wieczorem, żegnając się, powierzyliśmy tę sprawę Bogu. Gdy następnego poranka ponownie spotkaliśmy się z bratem Branhamem, wydawało się, iż w międzyczasie dowiedział się o czymś, co dało mu niczym niezmaconą pewność i pokój. Powiedział, że tej nocy usłyszał coś z nieba. Uważnie słuchaliśmy tego, co nam mówił, a w ciągu kolejnych paru miesięcy mieliśmy być świadkami wypełnienia się tego, co powiedział.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Brat, o którym wspominaliśmy wcześniej, powiadomił nas, że nie jest w stanie wydawać swojego czasopisma jako zupełnie międzydenominacyjnego, tak jak zasugerowaliśmy. W ten sposób narodził się pomysł publikacji czasopisma „Głos Uzdrawienia”, a mi przypadło w udziale stać się jego redaktorem naczelnym. Już w czasie jego powstawania, jedną z naszych zasad było to, że nie będziemy w nim poruszać spraw kontrowersyjnych związanych z doktryną, które mogłyby doprowadzić do nieporozumień i zamieszania w szeregach Pełnej Ewangelii. Naszym celem było obwieścić poselstwo Wielkiego Polecenia, dźwięk Bożej ostatniej trąby dla zgubionych, uzdrowienie dla ludu Bożego, a ostatecznie doprowadzić ich do jedności w duchu i gotowości na przyjście Chrystusa. Ta zasada była i będzie zachowana aż Jezus przyjdzie.

W tamtym czasie „Głos Uzdrawienia” relacjonował jedynie zgromadzenia brata Branhama. Później, z powodu wycieńczenia, musiał on opuścić pole misyjne na dosyć długo, więc z Bożym prowadzeniem i za zgodą brata Branhama

nasze czasopismo stało się oficjalnym organem publikującym relacje z największych służb uzdrowieniowych Ameryki, oczywiście włączając w to usługę brata Branhama. Ciekawe, że wielu braci, o których kampaniach uzdrowieniowych pisaliśmy w naszym czasopiśmie, poświadczają fakt, że inspiracja i ich powołanie do tego rodzaju służby rozpoczęło się od chwili, kiedy uczestniczyli w zgromadzeniach brata Branhama. Niech Bogu płynie za to chwała.

KAMPANIE NA FLORYDZIE

Uzgodniono, że grupa Branhama spotka się w celu przeprowadzenia szesniodniowej kampanii w Miami na Florydzie w pierwszej połowie 1948 r. Tymczasem rozeszła się dziwna pogłoska o śmierci brata Branhama. Wiadomość ta pojawiła się zaraz po Nowym Roku i ciągle była żywa. Historyjka ta była przekazywana z ust do ust, wzdłuż i wszerz, na obszarze całego kraju. Robiliśmy wszystko, by przekonać ludzi, że to nie jest prawda. Wciąż jednak pisali, telegrafowali i telefonowali do nas ludzie wzburzeni tą wiadomością, prosząc o jej potwierdzenie. Od momentu powstania plotki o śmierci ewangelisty, ta fałszywa wiadomość coraz bardziej się utrwałała (data jego śmierci była co jakiś czas przesuwana w czasie), aż do momentu wydania czasopisma „Głos Uzdrowienia” w kwietniu 1948 roku. Był to typowy przykład siły szerzenia się nieprawdy. Nie mogliśmy nawet znaleźć źródła tej plotki, ale w przeciwieństwie do wielu innych nie była ona sama w sobie złośliwa. Nie ma wątpliwości co do tego, że nieustanna praca naszego brata, który godzinami do późnej nocy modlił się za chorych, osłabiła go do tego stopnia, że jego zmęczenie było zauważalne nawet dla słuchaczy. Bóg jednak nie zakończył jeszcze pracy ze swoim sługą. I jakkolwiek prawdą było, że brat Branham miesiącami walczył z dolegliwościami swego ciała, to jednak został przeznaczony do tego, by wyjść z tej próby jako zwycięzca, dając tym samym początek służbie większej niż jakakolwiek wcześniej.

W Miami ustawiono namiot daleko na przedmieściu. Ogłoszenie o rozpoczęciu ewangelizacji dano na krótko przed pierwszym zgromadzeniem. Nie poczyniono nawet żadnych kroków, by zapewnić sobie wsparcie tamtejszych kościołów. Niemal każde inne zgromadzenia w takich okolicznościach skazane byłyby na niepowodzenie. Mimo to wiadomość rozeszła się i namiot napełnił się ludźmi do ostatniego miejsca. W ciągu tych kilku dni wydarzyło się też wiele zdumiewających i niezwykłych cudów, tak że kiedy w niedzielę po południu ewangelista zrobił wezwanie do ołtarza, setki mężczyzn i kobiet podeszło do przodu, by oddać swe życie Chrystusowi.

Podczas naszego pobytu w Miami brat Branham spotkał znanego ewangelistę, F. F. Boswortha. Brat Bosworth prowadził w latach dwudziestych

kampanie uzdrowieniowej o wielkim zasięgu. Na jego zgromadzeniach w Ottawie, w Kanadzie, uczestniczyła największa liczba osób, jaka kiedykolwiek zebrała się pod jednym dachem. Około 12.000 osób przyszło wówczas do Pana po zbawienie i ratunek. Wiele takich kampanii odbyło się w całej Ameryce i Kanadzie i od czasu do czasu gazety zamieszczały artykuły o cudach, które im towarzyszyły. Oczywiście zgromadzenie z bratem Bosworthem było dla całej naszej ekipy bardzo interesującym wydarzeniem. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem tego miłego i napełnionego bojażnią Bożą brata, który w tak wyjątkowy sposób był używany przez Boga. Brat Bosworth uczestniczył w kilku nabożeństwach, potem zaś oświadczył, że chociaż Bóg dał możliwość organizowania zgromadzeń na szeroką skalę, to jednak nie przeżył jeszcze nigdy takiej kampanii, w której już od pierwszych spotkań działo się tak wiele cudów, jak to miało miejsce na zgromadzeniach brata Branhama. Często całymi tygodniami musiał pracować nad tym, by wiara słuchaczy została wzmocniona na tyle, aby zobaczyć cuda, jakie w zgromadzeniach brata Branhama działy się już pierwszego wieczoru. Poproszono więc brata Boswortha, by przemawiał podczas jednego z nabożeństw w Miami. Potem miał też możliwość, by podróżować wraz z całą naszą ekipą od miasta Pensacola po inne miejscowości na północy, gdzie brat Branham był umówiony na spotkania.

Brat Branham cieszył się bardzo z pobytu w Miami nie tylko z powodu sukcesu kampanii, ale też dlatego, że podzwrotnikowy klimat jest tam zimą bardzo przyjemny. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, widać było bogactwo, przepych i luksus, lecz i tutaj, podobnie jak w innych miastach, spotkać można było te same smutne historie dotyczące chorób i cierpień, które dotyczyły wszystkich, nie czyniąc różnicy pomiędzy domami biednych a bogatych. Z Miami dalej pojechaliśmy na północ. Miłe ciepło południa Florydy pozostało za nami, a my ponownie zetknęliśmy się z mroźną zimą, która panowała wtedy mocną ręką nad większą częścią lądu Ameryki.

PENSACOLA

Poczyniliśmy przygotowania do kolejnej kampanii, która tym razem miała odbyć się w mieście Pensacola. Różne zbory Pełnej Ewangelii zgodziły się udzielić nam wsparcia w tej kampanii, która miała rozpocząć się w drugiej połowie marca. W międzyczasie brat Branham udał się na kilkutygodniowy odpoczynek; pojechał do Phoenix w Arizonie. Reszta ekipy miała do załatwienia wiele spraw, co też wymagało trochę czasu. Jednak w ustalonym czasie, około miesiąca później, wszyscy z ekipy, wraz z bratem Branhamem, spotkali się w Pensacola, by rozpocząć zgromadzenia. Miała to być jedna

z najciekawszych kampanii. Oczywiście nie obyło się bez problemów, dlatego że od zatoki powiał silny wiatr i porwał namiot, niszcząc go nieco. W czasie gdy naprawiano namiot, jedno nabożeństwo musiało się odbyć na miejskiej arenie. Jednak wkrótce pod fachowym kierownictwem kaznodziei D. L. We- lcha, jednego ze współpracujących pastorów, namiot zreperowano i następne nabożeństwa odbywały się już bez przeszkód w naszej „płóciennej katedrze”.

NIEZAPOMNIANE NABOŻEŃSTWO

Punktem szczytowym kampanii było niezapomniane nabożeństwo, które odbyło się w niedzielę po południu. Wielki namiot wypełniony był słuchaczami, a wiele osób stało jeszcze na zewnątrz, kiedy brat Branham zaczął opowiadać historię swego życia. Zawsze, gdy nasz brat relacjonuje swoje przeżycia, to nie tylko je opowiada, ale przede wszystkim przeżywa je na nowo, a wszyscy przeżywają je razem z nim. Zgromadzeni przez półtorej godziny z największym zainteresowaniem przysłuchiwali się opowiadaniu o jego biedzie i niedostatku, nawróceniu się oraz o działaniu Boga w jego życiu. Wszyscy słuchali o tragicznych wydarzeniach i wraz z nim przeżywali jego zwycięstwa. Brat Branham nigdy wcześniej nie opowiadał swej historii w tak wzruszający sposób. Gdy spoglądaliśmy na słuchaczy, widzieliśmy, jak nawet silni mężczyźni bez skrępowania ocierali chusteczkami łzy, które spływały im po policzkach. Nigdy nie widziałem bardziej wzruszonej publiczności. Kiedy ewangelista zakończył swe poselstwo i zrobił wezwanie do ołtarza, nastąpił najbardziej osobliwy moment. Chyba każdy grzesznik w tym zgromadzeniu powstał, prosząc o modlitwę i ratunek. Szacuje się, że liczba tych, którzy odpowiedzieli na wezwanie do ołtarza, oscylowała między 1.500 a 2.000 osób. To było nabożeństwo uwieńczone największym sukcesem, jaki kiedykolwiek oglądaliśmy, i bez wątpienia coś takiego nie zdarzało się zbyt często w historii ewangelizacji. Oczywiście przy ołtarzu brakowało miejsca, by pomieścić tak wiele osób, stąd jedynym wyjściem było, żeby ludzie modlili się na swoich miejscach. Nie sądzę, by ktoś z obecnych na tym zgromadzeniu mógł zapomnieć tę scenę. Ludzie płakali wyznając swoje grzechy i krzyczeli do Boga, by zmiłował się nad ich duszami. Po chwili jednak łzy pokuty zamieniały się w łzy radości i w namiocie rozbrzmiewały okrzyki zwycięstwa. Tego popołudnia niejedno imię zostało wpisane do Barankowej Księgi Życia! Tylko aniołowie wiedzą, jak duża to była liczba.

Dowodem na to, że Pan w nadprzyrodzony sposób działał podczas tej krótkiej kampanii, było to, że wywarła ona niemały wpływ na jej uczestników. Jeden z biorących w niej udział pastorów opowiedział nam rok później, jak wielkie żniwo tej kampanii zebrał jego zbor, a także inne miejscowe

zgromadzenia wierzących. Byliśmy świadomi, że jedną z niezwykle cichych spotkań, która w wielkiej mierze przyczyniła się do ich sukcesu, było to, że zawiązała się tam chęć wzajemnej współpracy różnych kościołów. Byli gotowi przenieść na drugi plan pewne różnice w nauce, które tak naprawdę nie miały znaczenia w porównaniu z wielkimi prawdami, za którymi wszyscy stali murem.

W tym czasie miało miejsce wiele znaczących cudów, lecz nie starczy miejsca, by je wszystkie opisać. Musimy jednak wygospodarować nieco miejsca, by opisać szczegóły niecodziennego uwolnienia pewnego opętanego człowieka. Wspomnieliśmy już, że na skutek silnego wiatru zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia namiotu i przeprowadzenia jednego nabożeństwa na miejskiej arenie. Tego wieczoru na zgromadzenie przywieziono z zakładu psychiatrycznego młodego człowieka, za którego brat Branham miał się modlić. Mężczyźni, którzy go przywieźli, próbowali pod koniec zgromadzenia wyprowadzić go z budynku, ale ten nie chciał wyjść. Kiedy to zauważyliśmy, posłaliśmy tam sześciu mężczyzn, którzy musieli wyprowadzić go siłą. Moce, które go opanowały, były tak silne, że ledwo się to udało. Po tym, jak w końcu bezpiecznie umieściliśmy go w samochodzie, zostawiliśmy go tam sądząc, że nie będzie nam już więcej przeszkadzał. Wyobraźcie więc sobie nasze zdziwienie, kiedy kilka minut później usłyszeliśmy zachrypnięty krzyk i zobaczyliśmy go wybiegającego z samochodu w kierunku grupki kobiet i dzieci, rozmawiających blisko drzwi wejściowych areny.

Pędził jak szalony, a pojawił się tak nagle, że z początku nie wiedzieliśmy, co robić. Na szczęście ludzie stojący przy drzwiach rozpięchli się, nim zdążył kogoś z nich dosięgnąć. Wtedy rozwścieczony odwrócił się i obrał za cel jednego z członków ekipy Branhama. Demony mają moc rozrywania łańcuchów i wykonywania innych nadludzkich czynów, ale na szczęście są zupełnie bezsilne wobec imienia Jezusa. Chociaż raz po raz okładał go pięściami, jednak nie wyrządził naszemu bratu żadnej krzywdy, nawet go nie zadrasnął. Jakaś nadnaturalna siła odpierała każdy cios opętanego. Trudno stwierdzić, jak długo to trwało. W tym jednak momencie na pomoc pośpieszyli dwaj policjanci, którzy przypadkiem byli w pobliżu i usłyszeli wołające o pomoc kobiety. Z początku myśleli, że mają do czynienia ze zwykłą awanturą, więc zaczęli wypytywać o przyczynę nieporozumienia. Obląkany, z przekleństwami na ustach, rzucił się na funkcjonariuszy, którzy w mig zorientowali się, że nie jest to zwykły awanturnik. Tarzali się na trawniku tam i z powrotem i mocowali się, aż byli zmuszeni posłużyć się środkami, które ostatecznie pomogły im skuć kajdankami opornego napastnika. Zadzwonili po posiłki i wkrótce przyjechał radiowóz. Człowiek ten został zabrany na posterunek policji, gdzie w specjalnej celi miał spędzić najbliższą noc.

Potem odjechali, lecz nigdy nie zapomnimy łez siostry tego nieszczęśnika, która czuła się za wszystko odpowiedzialna, ponieważ to ona przywiozła swego brata na zgromadzenie. Podeszła do nas wystraszona, wstawiając się i prosząc, by brat Branham się za niego pomodlił. Naturalnie brat Branham nie był w stanie odpowiadać na każdą z prośb, jakie codziennie nadchodziły od ludzi, którzy chcieli, by ten odwiedził chorych albo więźniów. Lecz owa siostra tak usilnie i z taką troską prosiła, że brat Jack Moore zgodził się poinformować brata Branhama o tym przypadku zaraz następnego ranka.

Na drugi dzień rano brat Moore opowiedział bratu Branhamowi, co się stało poprzedniego wieczoru. W tym momencie zaczęła działać cudowna manifestacja daru Ducha, dzięki któremu nasz brat mógł spojrzeć wstecz i z perspektywy czasu powiedzieć, co jest nie tak. Wiedział też, co się wydarzy w przyszłości. To nam zawsze przypominało, co działo się w czasie służby Elizeusza, gdy ten znał plany króla syryjskiego zanim one się pojawiły, albo kiedy sam Chrystus za pomocą tego nadnaturalnego wzroku zobaczył Natanaela, który znajdował się zupełnie na innym miejscu. W naszym wypadku Bóg pokazał bratu Branhamowi, że w tym dniu będzie się modlił za tego umyślowo chorego człowieka, a on zostanie uzdrowiony. W wizji zobaczył podjeżdżający czerwony samochód i opisał nam, jak będzie ubrany ten człowiek, który zostanie wyzwolony.

Zaczelśmy pertraktować z policją w sprawie uwolnienia tego młodego mężczyzny. Oni jednak, pamiętając problemy, jakie z nim mieli poprzedniego wieczoru, z wiadomych przyczyn nie chcieli go wypuścić. Mówili, że zwolnią go jedynie pod warunkiem, iż odbędzie się to poza terenem miasta i że aresztowany nigdy tam nie wróci. W końcu ustalono, że wszyscy, których dotyczy ta sprawa, spotkają się na plaży Gulf. Kiedy brat Branham nadjechał i uważnie zaczął przyglądać się samochodom, zauważył, że nie wszystko wygląda tak jak w widzeniu. Kiedy zastanawiał się na tym, brat Moore postanowił przestawić swojego nowego de Soto trochę dalej od miejsca, w którym stał obłąkany, ponieważ w samochodzie siedziała jego córka i jeszcze jedna siostra. Wtedy brat Branham wysiadł i podszedł do młodzieńca. Zauważył, że jest ubrany dokładnie tak, jak go widział w wizji. Brat Branham poprosił go, by wsiadł do samochodu i zaczekał. Wtedy wydarzyło się coś niezwyklego, o czym opowiada sam brat Branham:

Spojrzałem w stronę samochodu brata Jacka. Większa część plaży była pokryta białym piaskiem. Tam jednak, gdzie zaparkowane było jego auto, znajdowała się skarpa pokryta czerwoną gliną. Promienie słoneczne odbijały się od czerwonej gliny i padały na lśniący, brązowy lakier samochodu, który wydawał się być czerwony. Wtedy już wiedziałem, że to dokładnie zgadza się

z tym, co widziałem w wizji. Podszedłem do tego młodego człowieka i powiedziałem: „Tak mówi Pan: zły duch cię opuści i będziesz zdrow”. W okamgnieniu człowiek ten został uwolniony i zaczął normalnie i sensownie z nami rozmawiać.

To było ujmujące świadectwo dla miejscowych policjantów, którzy uświadomili sobie, że Bóg uczynił między nimi coś cudownego. Spowodowało to, że wielu z nich zaczęło uwielbiać Boga za to, że okazał łaskę temu związanemu przez szatana człowiekowi.

Kilka miesięcy później ten młody człowiek przysłał nam swoje świadectwo, które ukazało się w czasopiśmie „Głos Uzdrawienia” w lipcu 1948 r. Oto jego treść:

Od czasu kiedy skończyłem dwa lata, cierpiałem na chorobę Heinego–Medina. Moi rodzice chodzili ze mną do różnych lekarzy. Jakiś czas spędziłem też w szpitalu dla kalekich dzieci. Nikt nie mógł mi pomóc, było coraz gorzej. W końcu było ze mną tak źle, że stałem się opętany. Niemal siedem miesięcy spędziłem w zakładzie psychiatrycznym do czasu, kiedy moja rodzina usłyszała o nabożeństwach uzdrowieniowych w Pensacola, prowadzonych przez brata Branhama. Przywieziono mnie tam, lecz już tej samej nocy trafiłem do więzienia, gdyż Pan chciał się mną jeszcze do czegoś posłużyć. On użył mnie jako przykład, by pokazać ludziom, że posiada więcej mocy niż diabeł. Kiedy moja siostra odwiedziła mnie następnego ranka, byłem szczęśliwy, bo dowiedziałem się, że Bóg pokazał bratu Branhamowi uzdrowienie mojego ciała. Skończyłem właśnie 25 lat i mam dobrą pracę. Bogu więc niech będą dzięki za Jego moc uzdrowienia.

T. C. Sopchoppy, Fla.

ROZDZIAŁ 17

EKIPA BRANHAMA PODĄŻA NA PÓŁNOC

Następne zgromadzenia zaplanowano na początek kwietnia i miały się one odbyć w „Memorial Hall” w Kansas City. Brat U. S. Grant, przewodniczący miejscowego zarządu, wszystko świetnie zorganizował. Dotarliśmy do celu około godziny 20.00 i zaraz udaliśmy się do domu brata Granta. Bardzo się ucieszył, gdy nas zobaczył, lecz równocześnie zaniepokoił się tym, że brat Branham jeszcze nie dojechał, ponieważ miał już tam być od południa. Kaznodzieja Grant był pewny, że tamten jeszcze nie dotarł, gdyż tylko on wiedział, gdzie jest hotel, w którym brat Branham miał nocować. Trzeba to było zawsze trzymać w bezwzględnej tajemnicy. (Kiedyś, gdy ludzie dowiedzieli się o miejscu pobytu brata Branhama, przed drzwiami do jego pokoju hotelowego utworzyła się długa kolejka chorych, co bardzo zakłóciło funkcjonowanie hotelu).

Sami też zaniepokoiłiśmy się trochę tą wiadomością, lecz nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać. Udaliśmy się więc do hotelu. Byliśmy jednak bardzo zdziwieni, kiedy recepcjonista poinformował nas, że brat Branham przyjechał i już udał się do swojego pokoju. Gdy później pytaliśmy się go, dlaczego nie zwrócił się zaraz po przybyciu do brata Granta, odpowiedział nam, że był zbyt zmęczony i postanowił wcześniej położyć się do łóżka, by dobrze wypocząć. Pytaliśmy go jednak: „Skąd wiedziałeś, że masz przyjechać do tego hotelu?”. „Cóż – odpowiedział – wydawało mi się, że wiem”. Musieliśmy się zadowolić tą odpowiedzią, bo prawdopodobnie tylko tyle mógł nam powiedzieć. Nie zaskoczyło nas to za bardzo, ponieważ byliśmy już wcześniej świadkami podobnych zdarzeń, kiedy brat Branham wiedział

o czymś dużo wcześniej, niż mogło to do niego dotrzeć przy pomocy jego pięciu zmysłów. Niełatwo będzie nam zapomnieć to zdziwienie brata Granta, kiedy dowiedział się od nas o tym wszystkim. Nie chcemy jednak, aby czytelnicy odnieśli wrażenie, że brat Branham mógł się tym darem posługiwać, kiedy tylko chciał. Działał on jedynie wtedy, gdy sam Bóg zamierzał coś zmanifestować.

Pierwszego wieczoru w zgromadzeniu uczestniczyło około 1.500 osób. Szczególne nabożeństwo odbyło się w niedzielę wieczorem. Trzeciego wieczoru Duch Boży objawiał się w wyjątkowej mocy. Było tam wówczas obecnych wielu dziennikarzy i reporterów. Artykuł o zgromadzeniach ukazał się już następnego poranka, 13 kwietnia 1948 r., w konserwatywnej gazecie „Kansas City Times”. Chociaż artykuł napisany został stylem dziennikarskim, odebraliśmy go jako obiektywną opinię o nabożeństwie. Niektóre wy-cinki z tego sprawozdania brzmiały następująco:

Wśród zgromadzonych wtórujących mu słowem „amen”, kaznodzieja William Branham z Jeffersonville w stanie Indiana przeprowadził trzecie z serii pięciu nabożeństw uzdrowieniowych w „Memorial Hall” w Kansas City.

„O cokolwiek poprosisz Boga, uczyni to – powiedział pan Branham. – Nie ma znaczenia, jak blisko śmierci i zaawansowany w swojej chorobie jesteś. On może uzdrowić cię w tym momencie teraz, jeśli tylko weźmiesz Boga za Jego Słowo”.

Dwadzieścia cierpiących osób przeszło wczoraj wieczorem przez podium, twierdząc później, że zostali uzdrowieni z różnych chorób w chwili, kiedy pan Branham krótko się z nimi pomodlił. Słuchacze byli wzruszeni. Wielu z nich miało łzy w oczach, a ich wargi poruszały się w modlitwie. Niektóre matki szlochały, kołysząc w ramionach swoje niespokojne niemowlęta. Jedna dziewczynka z Mobile, ze stanu Alabama, powiedziała, że była zezowata, lecz kiedy wczoraj wieczorem weszła na podium, a brat Branham się pomodlił, jej oczy się wyrównały. Inna kobieta podniosła rękę i oświadczyła, że wole, które miała na szyi, zniknęło. Dodała, że przez długie lata wole powiększało się, a półtora roku wcześniej lekarz orzekł, że może ono być usunięte jedynie operacyjnie.

Następne nabożeństwo jak i kolejne, które zarazem było ostatnim, ściągnęło tłumy tak wielkie, że audytorium wypełniło się po brzegi.

Podczas tej kampanii w Kansas spotkało nas mnóstwo ciekawych zdarzeń. Pewna kobieta podeszła do mnie i powiedziała mi, że chociaż była ciężko chora, to nie mogła się dostać do kolejki modlitwy, gdyż było tam bardzo dużo ludzi. Jednak bez względu na te wszystkie trudności, jej wiara

stale wzrastała, aż pewnej nocy w hotelu obudziła się i powiedziała swojemu mężowi, że wierzy, iż będzie zdrowa, o ile tylko mogłaby znaleźć się właśnie w tym momencie w kolejce modlitwy. Zdziwiony mąż uznał, że musiało jej się to przyśnić, kazał jej więc dalej spać. Kiedy jednak rano obudziła się, stwierdziła, że jest całkiem zdrowa. Przypomnieli sobie razem z mężem ten sen i następnego wieczoru podbiegła do przodu, by opowiedzieć nam, co się stało. Ta kobieta swoją wiarą połączyła się z Bogiem, a to było w pełni wystarczające, by przyjąć uzdrowienie.

Często w zgromadzeniach brata Branhama uczestniczyli lekarze. W ostatnim dniu kampanii przyszedł do nas jeden z najbardziej cenionych lekarzy w tym mieście. Był on miłym chrześcijaninem. Nie zapomnimy tego nigdy, jak położył rękę na ramieniu brata Branhama, prosząc Boga o błogosławieństwo. Zanim się pożegnał, prosił jeszcze o modlitwę w sprawie pewnej dolegliwości, która go męczyła, a na którą medycyna nie miała żadnego lekarstwa. Brat Branham z ochotą pomodlił się za niego.

SEDALIA, MISSOURI

Następnym miejscem w naszych planach była Sedalia w Missouri, gdzie prowadziliśmy nabożeństwa przez trzy dni. Brat Ern Baxter, z Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej, dołączył do nas przy tej okazji i przemawiał po południu, podczas gdy brat F. F. Bosworth usługiwał na nabożeństwach porannych. Przewodniczącym miejscowego zarządu był kaznodzieja Byrd Campbell, przedsiębiorczy pastor, który wykonywał naprawdę dobrą robotę. Mimo wszystko jednak miejscowa zbrojownia z 1.600 miejscami siedzącymi okazała się o wiele za mała i mnóstwo osób nie weszło do środka. Każde miejsce było zajęte, ludzie siedzieli na parapetach, stali w drzwiach i pomiędzy rzędami krzeseł, a jeszcze wielu, którzy się nie zmieścili, stało na zewnątrz, tylko zaglądając do środka.

ELGIN, ILLINOIS

Ostatnia kampania miała miejsce na wschodzie, w Elgin (znanym z produkcji zegarków), na przedmieściu Chicago. Ponieważ sala miała tylko około dwa tysiące miejsc siedzących, było rzeczą niemożliwą, aby pomieścić w niej te przybywające tłumy. Już pierwszego popołudnia pomieszczenie wypełniły masy ludzi. Dajemy możliwość samemu przewodniczącemu miejscowego zarządu, kaznodziei Merrillowi Johnsonowi, by własnymi słowami opisał przebieg kampanii w Elgin:

To była moja druga okazja uczestniczenia w zebraniach brata Branhama i jestem głęboko przekonany, że pod wieloma względami te zgromadzenia przewyższyły moje wcześniejsze przeżycia i doświadczenia. Jak to ktoś trafnie stwierdził: „Od czasu pamiętnego pożaru w Chicago Elgin i okoliczne miasta nie przeżyły jeszcze takiego wstrząsu jak obecnie”. Nawet po zakończeniu zgromadzeń zdawało się, że ten temat jest właściwie na ustach wszystkich. Wierzący uzmysłowili sobie ogromną potrzebę wzbudzenia więcej takich mężów jak brat Branham. Dochodzą nas jednak słuchy, że Bóg stopniowo wzmacnia szeregi kościoła Jezusa Chrystusa o ludzi z podobną usługą uzdrawiania. Bez cienia wątpliwości Duch Boży przygotowuje Kościół na wielki exodus do chwały. To musi być bardzo blisko.

Niewątpliwie każdy, kto uczestniczył w zgromadzeniach brata Branhama, szybko odniósł wrażenie, że z powrotem znalazł się w czasach apostołów. Brakuje słów, by opisać nagły wybuch entuzjazmu, nie da się też opisać bojaźni Bożej, która ogarnia ludzi, gdy po raz pierwszy oglądają na własne oczy cuda, uzdrowienia i działającą moc Bożą. Jakimi bowiem słowami można by opisać wrażenia tych, którzy widzieli, jak oczy ślepych zostały otworzone, jak kalekie osoby zaczęły chodzić, jak zezowaci zaczęli równo patrzeć oraz jeszcze wiele innych chwalebnych cudów?

Delikatny, skromny, miły charakter brata Branhama w niezwykle sposób przedstawiał Ducha Chrystusowego, który rządził jego życiem. Jego wielka miłość do dzieci mogła wzruszyć nawet najbardziej twarde osoby. Rzadko się zdarza, żeby zezowate, ślepe, głuche czy kalekie dziecko przechodziło obok brata Branhama, a on nie objąłby tego dziecka ramieniem i nie błagał w modlitwie Boga o uczynienie cudu na jego ciele. I z tego, co wiem, nie było chyba takiego przypadku, by Bóg nie odpowiedział na taką modlitwę cudem.

Zgromadzenie w Elgin przybrało charakter wielkiego obozu, na który zjechało się mnóstwo członków innych, mniejszych zgromadzeń. Z całych Stanów Zjednoczonych i Kanady przybyły tłumy, co dosłownie wstrząsnęło miastem. Przypominało nam to miejsca z Biblii, w których jest mowa o tłumach gromadzących się wokół Chrystusa w dniach Jego ziemskiej służby.

Inną znamiennej cechą zgromadzeń brata Branhama w Elgin był śpiew zgromadzonych oraz pieśni śpiewane solo. Kiedy Chrystusa uwielbiano pieśnią, wiara wzbijała się coraz wyżej i na ludzi spływały Boże błogosławieństwa. Wielu otrzymało swoje uzdrowienie wprost na tym miejscu, gdzie stali, tak że oddawali swoje karty modlitewne i nie włączali się już do kolejki. Niektóre przypadki były wręcz niepojęte. Zgromadzenia bardzo wzbogaciły utwory i pieśni wykonane przez studentów szkoły biblijnej z Zion, z okolicy Wielkich Jezior, oraz przez osoby z grup przybyłych ewangelistów. Wszyscy,

którzy pomagali przy zgromadzeniach, przyczynili się do tego, że nabożeństwa te zostały uwieńczone sukcesem. Członkowie miejscowego zarządu przyznali, że było to przyjemnością dla nich pracować wspólnie z ekipą Branham. Niewiele zgromadzeń organizowanych na taką skalę może pochwalić się tym, że przebiegły bez zakłóceń i zyskały tak powszechną aprobatę.

TACOMA, WASHINGTON, 12–17 KWIETNIA 1948

Następne zapowiedziane zgromadzenie odbyło się w miejscowości Tacoma, w stanie Washington. W drodze na to zgromadzenie, kiedy brat Branham przejeżdżał przez Góry Skaliste, rozpętała się taka zamieć śnieżna, że nie dotarł na czas na pierwsze zgromadzenie. Mimo to ludzie byli w takim oczekiwaniu, że następnego wieczoru frekwencja jeszcze się zwiększyła.

Zaraz na początku nabożeństwa pojawił się wielki problem. Było przedwiośnie, a budynek lodowiska, w którym odbywało się zgromadzenie, nie miało centralnego ogrzewania. Było to nie do pomyślenia, żeby o tej porze roku prowadzić zgromadzenie w nieogrzanym pomieszczeniu. Jedynym rozwiązaniem byłoby zgromadzić wystarczająco dużo ludzi, a wtedy budynek lodowiska zostałby ogrzany ciepłem ich ciał. Tak rzeczywiście się stało! Budynek wypełniło około sześć tysięcy osób, a temperatura była całkiem przyjemna.

Szczególną cechą tych zgromadzeń było to, że kaznodzieje z tak wielu kościołów zjednoczyli się pod skrzydłami wspólnoty Pełnej Ewangelii. Było wprost cudownie, wspiane. W niektórych miastach kościoły były bardzo nieufnie wobec siebie, co zabijało ducha prawdziwej społeczności. Miejscowi bracia pokazali jednak swoją gotowość do współpracy i że wszyscy pragną być pobłogosławieni. Efekt był taki, że prawdopodobnie żadne inne miasto w Stanach Zjednoczonych nie otrzymało potężniejszego świadectwa poselstwa Pełnej Ewangelii.

Podczas uroczystego obiadu brat Branham przedłożył kaznodziejom sprawy, które miał na sercu. Była to godzina uroczysta, pełna wrażeń i wycisnęła ona niejedną łzę z oczu słuchaczy. Nawiasem mówiąc, podczas obiadu przypadkowo usłyszeliśmy paru braci, którzy rozmawiali o tych zgromadzeniach i powiedzieli coś, co – jak nam się wydaje – było charakterystyczną reakcją uczestników zgromadzeń z bratem Branhamem. Jeden rzekł do drugiego: „Kiedy nabożeństwa się skończą, chciałbym, póki te cudowne rzeczy są świeże w mej pamięci, udać się na kilka dni gdzieś na osobność, aby być z Bogiem zupełnie sam na sam”.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że miasto w zadziwiający sposób uświadomiło sobie istnienie Boga. Przewodniczący Młodzieży Dla Chrystusa złożył

cudowne świadectwo, jak bardzo te zgromadzenia wpłynęły na jego życie. Nawet paru wysokich rangą policjantów świadczyło, jak przez te zgromadzenia zostali pobłogosławieni.

EUGENE, OREGON

Z Tacomy ekipa udała się na południe do Eugene, gdzie odbyła się ostatnia kampania, po której brat Branham miał powrócić do domu na dłuższy, zasłużony odpoczynek. Poniżej zamieszczamy sprawozdanie ze zgromadzeń, jakie odbyły się w lipcu 1948 r., napisane przez kaznodzieję Arthura Hylanda, a które ukazało się w czasopiśmie „Głos Uzdrawienia”:

Przez pięć dni kaznodzieja William Branham prowadził kampanię uzdrowieniową w Eugene, w stanie Oregon. Pierwsze oraz sobotnie nabożeństwo odbyły się w kaplicy Lighthouse. Pozostałe miały miejsce w zbrojowni. Oba budynki wypełniły się do ostatniego miejsca. Podczas tej kampanii kaznodzieje oraz różne kościoły współpracowały ze sobą. Znamiennym było to, że ludzie z wielu kościołów właśnie podczas tych zgromadzeń bardzo się zjednoczyli.

Podczas tych pięciu dni wydarzyło się wiele cudów i uzdrowień. Żona pana Gordona Lindsaya sporządziła ciekawe notatki, rozmawiając z ludźmi, za którymi modlono się na tych zgromadzeniach. Pewna mała dziewczynka miała krótszą jedną nogę. Po tym jak brat Branham pomodlił się za nią, kazał jej przejść po podium tam i z powrotem. Już nie utykała. Jej matka opowiadała później pani Lindsay, że jedna noga była wcześniej o cztery centymetry krótsza od drugiej.

Na jednym z tych nabożeństw, w tyle sali, siedział człowiek z kulami. Nie był w stanie dostać się do kolejki modlitwy. Gdy tłum opuszczał już zbór, ktoś go zagadnął: „Cóż, nie otrzymał pan uzdrowienia”. Mężczyzna odrzekł: „Ależ tak, ja je posiadam”. Mówiąc to odrzucił swoje kule i zaczął chodzić. Ludzie krzyczeli i wielbili Boga, widząc go uwolnionego i uzdrowionego.

Kaznodzieja F. F. Bosworth pomagał podczas kampanii w Eugene, a Boże błogosławieństwo spoczęło na nim w wielkiej mierze, kiedy przekazywał zgromadzonym słowo wiary. Również kaznodzieja Gordon Lindsay usługiwał na tych nabożeństwach. Zazwyczaj posługujemy się sprawozdaniem jednego z miejscowych pastorów, więc poniższy raport to urywek listu kaznodziei Arthura Hylanda:

Jako sekretarz ugrupowania kaznodziejów, którzy sponsorowali kampanię brata Branhama w Eugene, chciałbym podziękować za służbę brata Branhama i za cudowne jej rezultaty. Ta służba, jak żadna inna, doprowadziła

do całkowitej jedności nie tylko pastorów poszczególnych zborów, ale i ich członków ze Springfield i Eugene, wszystkich którzy brali udział w tych wielkich zgromadzeniach.

W trakcie nabożeństw brat Branham był tak wyczerpany, że każdy widział, iż jest już u kresu sił. Wielu zostało uwolnionych z różnego rodzaju chorób i cierpień. Dwa duże wola na szyi zniknęły wprost na moich oczach, jak również rak z twarzy pewnej kobiety. Krótsza noga małej dziewczynki wydłużyła się. Jakaś katoliczka, która dziesięć lat była niepełnosprawna, została uzdrowiona z raka. Podniosła się z noszy, opuściła budynek i już od tej pory nikt nie musiał jej pomagać w pracach domowych. Pan uzdrowił wiele osób na tym miejscu, za co chcemy oddać Mu chwałę.

ROZDZIAŁ 18

ZDUMIEWAJĄCE ZDJĘCIE W SAM HOUSTON COLISEUM

Po cudownym uzdrowieniu z załamania nerwowego, pod koniec 1948 roku, brat Branham powrócił znów na pole misyjne, by przeprowadzić kilka krótkich kampanii. Dane było mi uczestniczyć tylko w kilku zgromadzeniach, gdyż moje obowiązki nie pozwalały mi, bym na stałe powrócił do ekipy. Czasopismo „Głos Uzdrawienia” rozwinęło się niespodziewanie i w bardzo szybkim tempie, zaczęło więc absorbować coraz więcej naszego czasu, gdyż już po roku naszą publikację czytało miesięcznie niemal sto tysięcy osób. W następnym roku obserwowaliśmy dalszy wzrost, tak że nakład został niemal podwojony.

W listopadzie 1949 r. razem z bratem Jackiem Moorem otrzymaliśmy od brata Branhama list, w którym pytał, czy nie moglibyśmy znowu poprowadzić jego kampanii. Pytał też, czy razem z nim i kaznodzieją Baxterem nie moglibyśmy na wiosnę zorganizować wyjazdu za granicę, do Skandynawii. Dzięki Bożej opatrności akurat wywiązaliśmy się z pewnych zobowiązań. Tak więc po modlitwie w tej sprawie i po krótkim namyśle odczuliśmy, że powinniśmy przyjąć to wezwanie, zgodnie z wolą Bożą. Z osobistego punktu widzenia współpracę z bratem Branhamem uważaliśmy zawsze jako wielki przywilej.

Brat Branham poinformował nas, że umówił się właśnie na zgromadzenia w Houston, w Texasie. Chciał, abyśmy przybyli do Houston i zajęli się wszystkimi sprawami organizacyjnymi. Byłem wtedy zajęty przygotowaniem tej książki do publikacji i potrzebowałem być blisko niego, więc zgodziłem się tam pojechać.

Nabożeństwo w Houston rozkręcało się powoli. Zanim jednak się zakończyło, wydarzyły się pewne naprawdę niezwykle rzeczy. Było widać coraz bardziej, że służba naszego brata w znaczny sposób się rozwinęła. Nie mówię tutaj tylko o tych osobliwych darach Ducha, które objawiały się już w poprzedniej służbie, a które działały z coraz większą mocą, lecz widać było początek nowej manifestacji. Za sprawą tego nowego daru, ludziom, którzy przyszli z powodu uzdrowienia, były odkrywane sprawy z ich dawnego życia. Manifestowało się to na dwa sposoby. Jeśli przychodzili pobożni chrześcijanie, to ujawnianie spraw z ich przeszłości tylko umacniało ich wiarę, tak iż często zostawali uzdrowieni jeszcze zanim padły pierwsze słowa modlitwy. Jeśli jednak wśliznęli się do kolejki tacy, którzy nie pragnęli nawiązać relacji z Bogiem albo tacy, którzy prowadzili nieporządne życie odstępcy i dopuszczali się grzechów, które przed Bogiem nie były szczerze wyznane, to wtedy wprost na platformie Duch Święty odsłaniał ich stan. Kiedy grzechy zostały nazwane po imieniu, a tajemnice serca ujawnione, niemal w każdym przypadku ludzie, których to dotyczyło, natychmiast wśród gorzkich łez składali wyznanie. Taka osoba zazwyczaj na miejscu zostawała uzdrowiona.

NIEZWYKŁE ZDJĘCIE

Gdzieś w połowie kampanii w Houston wydarzyło się coś naprawdę szczególnego, co okazało się Bożym potwierdzeniem służby brata Branhama. Pewien wrogo usposobiony kaznodzieja, przeciwnik Bożego uzdrowienia, podważył komentarze brata F. F. Boswortha (który przemawiał podczas niektórych porannych zgromadzeń), i za pośrednictwem prasy rzucił mu wyzwanie, że zmierzy się z nim w debacie na temat: „Boskie uzdrowienie przez pryzmat pojednania Chrystusa”. Kaznodzieja Bosworth czuł prowadzenie, by przyjąć to wyzwanie. Cała sprawa znalazła się na pierwszych stronach gazet w Houston.

Gdy w umówiony wieczór nabożeństwo się rozpoczęło, odczuwało się sympatię wielkiego audytorium wobec przybyłych ewangelistów. Wielkie tłumy członków denominacji, do której należał kaznodzieja poddający w wątpliwość Boże uzdrowienie, powstało na znak, że wierzą w dar Bożego uzdrawiania, gdyż sami go doświadczyli. W czasie nabożeństwa ich przekonanie było coraz silniejsze.

Oponujący kaznodzieja wynajął dwóch zawodowych fotografów, pana Jamesa Ayersa i pana Teda Kippermana, którzy mieli zrobić kilka zdjęć podczas jego przemówienia. Przypadkowo jeden z nich, podczas gdy robił tamte zdjęcia, pstryknął też zdjęcie bratu Branhamowi, który miał krótkie przemówienie tuż przed zakończeniem nabożeństwa.

Ten właśnie fotograf, pan Ayers, jeszcze w ten sam wieczór, w ciemni swojego studia zdecydował się wywołać zrobione zdjęcia. Ku jego zdumieniu okazało się, że wszystkie negatywy były absolutnie puste, z wyjątkiem tego jednego, na którym widniał kaznodzieja Branham. Jego zaskoczenie przerozdziło się w niebывałe zdziwienie, gdy zauważył, że na tym negatywie, bezpośrednio nad głową kaznodziei Branhama znajdowała się wyraźnie widoczna nadnaturalna aureola. Pan Ayers przywołał innych pracowników studia, by przyjrzeni się zdjęciu. Wszyscy oglądający byli tak samo zdziwieni i nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd wzięło się to światło.

Następnego dnia fotograf poinformował kaznodzieję Branhama o tym dziwnym i nadzwyczajnym fenomenie, który wydarzył się poprzedniego wieczoru w związku z jego zdjęciem. Brat Branham wyjaśnił temu młodemu człowiekowi, że nie jest tym zaskoczony, ponieważ już wcześniej zdarzały się podobne rzeczy w jego służbie. Na przykład, gdy inny fotograf robił mu zdjęcie podczas pobytu w Camden, w stanie Arkansas, po wywołaniu filmu zobaczył światło otaczające postać brata Branhama, które – jak podkreślił fotograf – absolutnie nie można było przypisać oświetleniu w budynku. (To zdjęcie zostało zamieszczone w tej książce). Wiele podobnych rzeczy wydarzyło się w służbie naszego brata. Zdjęcie z Houston było jednak bez wątpienia jedną z najbardziej niezwykłych i wyróżniających się spośród nadprzyrodzonych manifestacji, a to dzięki niecodziennym okolicznościom, w których powstało.

RELACJE PRASOWE ZE ZGROMADZEŃ W HOUSTON

Tego samego poranka, kiedy fotograf podał do wiadomości informację o osobliwym zjawisku na zdjęciu, gazety w Houston zamieściły całostronicowe sprawozdania z tego nabożeństwa (wtedy oczywiście nie słyszano jeszcze o tym zdjęciu). Warto zauważyć, że pan Ayers, jeden z fotografów zatrudnionych przez tamtego oponującego kaznodzieję, sam przedstawił kilka sceptycznych uwag, które potem zostały zawarte w sprawozdaniu. To, że zdjęcie było wykonane przez tego właśnie fotografa, czyni całą tę sprawę jeszcze bardziej zdumiewającą i potwierdza absolutną autentyczność zdjęcia, gdyby ktoś faktycznie potrzebował jakiegoś dowodu.

Poniżej podajemy parę fragmentów z artykułów dotyczących tego zgromadzenia, jakie zostały zamieszczone w gazetach w Houston tamtego poranka.

FRAGMENTY ARTYKUŁÓW Z „THE HOUSTON CRONICLE”, 25 STYCZNIA

W oślepiającym blasku wielkich reflektorów w Sam Houston Coliseum, we wtorkowy wieczór leżeli na łózkach polowych chorzy, kulawi, ułomni – ci, których nadzieja na odzyskanie zdrowia prawie już wygasła. Leżeli spokojnie, niektórzy nawet nie pojmując sporu teologicznego, jaki toczył się wokół nich.

Chodziło o to, że oni – jak twierdził ewangelista i kaznodzieja F. F. Bosworth – mogą być uzdrowieni ze swych ułomności przez Boży dar uzdrawiania, jaki posiadał kaznodzieja William Branham, współpracownik F. F. Boswortha.

Z kolei kaznodzieja W. E. Best, pastor kościoła baptystycznego w Houston, twierdził, że takie „cudowne uzdrowienia” skończyły się wraz ze śmiercią apostołów. Dlatego wyzwał on pana Boswortha, aby dowiódł, że jest inaczej. Wśród radosnych okrzyków i głośniejszych „amen” ośmiotysięcznego audytorium kaznodzieja Bosworth cytował liczne miejsca Biblii, które – jak mówił – udowadniały, że Chrystus nie tylko zmarł za grzechy ludzkości, lecz także za choroby ciała. Wciąż powracał do tego miejsca, gdzie Słowo Boże mówi, iż: „Chrystus wziął na siebie nasze ułomności i nasze choroby”. Za każdym razem, kiedy to powtarzał, słuchacze głośno wyrażali swą aprobatę, a na twarzach niektórych leżących tam chorych rysował się nieśmiały uśmiech.

Słuchacze mieli okazję wysłuchać ognistą mowę kaznodziei Besta, lecz nie wszystko, co od niego usłyszeli, spodobało im się. Nie przyjęli tego, gdy powiedział: „Zaprzeczam temu, by jakikolwiek obecnie żyjący człowiek posiadał moc i dar uzdrawiania, jak to było w przypadku apostołów”.

Z „THE HOUSTON PRESS”, 25 STYCZNIA 1950 R.

UPRZEJMA ROZPRAWA

Kaznodzieja Raymond T. Richey polecił publiczności, by spokojnie wysłuchali każdego, kto będzie przemawiał. Prosił: „Jeżeli będziecie się zgadzać z którymś z mówców, mówcie: ‘Amen’, a jeżeli się nie zgadzacie, mówcie: ‘Nie’”.

Przez około cztery godziny Sam Houston Coliseum trzęsło się od „Amen” i „Nie”.

Za każdym razem, kiedy kaznodzieja Best powiedział swoją kwestię, brat Bosworth podchodził do mikrofonu na podium, z którego głosili mówcy, i wzywał, by powstali wszyscy ci, którzy przez wiarę zostali uzdrowieni.

WSTAWAŁY SETKI

Za każdym razem powstawały setki osób. „Ilu z was jest baptystami?” – zawołał kaznodzieja Bosworth. Podniosło się co najmniej sto osób. „Żaden człowiek nie posiada mocy uzdrawiania!” – wtrącił kaznodzieja Best.

Pani W. E. Wilbanks, z ulicy Teetshorn 712, nie podobał się sposób, w jaki kaznodzieja Best przedstawił tego małego, ciemnowłosego ewangelistę, który przemawiał wieczór po wieczorze do pięćotysięcznego tłumu:

ONA JEST BAPTYSTKĄ

„Sama jestem baptystką – zaczęła pani Wilbanks. – Brat Branham nie przypisuje sobie Bożej mocy uzdrawiania. To jest po prostu wiara i Duch Boży, które przez niego działają i uzdrawiają ludzi. Kaznodzieja Best, atakując postawę brata Branhama, wypacza przekonania baptystów”.

Zazwyczaj cudowne uzdrowienia polegają na tym, że znajdujący się w potrzebach uczestnicy zgromadzeń wypełniają karty, na których widnieje numer i ich nazwisko. Następnie kaznodzieja Branham wywołuje jeden z tych numerów i modli się o zdrowie danej osoby. Czasem wybiera też jakąś osobę na chybił trafił.

Oczekujący są poinformowani, że nie ma pewności, iż danego wieczoru każdy z nich zostanie wywołany na osobistą modlitwę, jednak przychodzą, wieczór po wieczorze, z nadzieją, że wreszcie nadejdzie ich kolej.

ZNOWUZRODZONA KOBIETA

Pani Mary Georgia Hardy, z ulicy Columbia 708, powiedziała, że przed trzema laty przeżyła znowuzrodzenie, jednak już osiemnaście lat wcześniej doświadczyła cudownego uzdrowienia na podstawie wiary. Pani Hardy, która uczęszcza do Zboru Bożego na skrzyżowaniu ulicy 18. z Ashland, wyznała: „Po urodzeniu drugiego dziecka byłam kłębkim nerwów, lecz zostałam uzdrowiona na podstawie wiary i potem miałam jeszcze dwoje dzieci”.

Siedząca obok pani Gray Walker, z ulicy Blodgett 2501, wskazała na swą czteroletnią wnuczkę, Dianę Cox:

TERAZ JEST ZDROWA

„Diana urodziła się ze zniekształconą stopą i lekarz chciał tę stopę umieścić w szynie, lecz brat J. C. Miner, nasz pastor, kaznodzieja ze Zborów Bożych, zalecił nam modlitwę. Uczyniliśmy to. Stopniowo, w ciągu kilku tygodni stopa się wyprostowała. Diana jest teraz zupełnie zdrowa”.

Przed tygodniem, podczas wspólnej modlitwy prowadzonej przez brata Branhama, pani W. E. Miller, która mieszka przy ulicy Genoa – Almeda, została nagle uzdrowiona z chronicznych dolegliwości zatok. Powiedziała: „Modliłam się po prostu za innych, gdy się to stało”.

Kiedy kaznodzieja Best zawołał, że są tacy, którzy „uprawiają czary, by omanąć ludzi do tego stopnia, że ci nieświadomie zostają zwiedzeni i mówią, że to jest Boża moc”, pewien fotograf, pan James Ayers z ulicy Rusk 1610, podtrzymał także tę opinię słowami: „Branham urządza teatr. Jakoś dziwnym trafem nigdy nie podchodzi do osób kalekich ani do cierpiących na artretyzm. On tylko hipnotyzuje słuchaczy”.

(Uwaga: Pan Ayers, wyżej wspomniany w artykule „Houston Press”, był tym fotografem, który kilka godzin później odkrył na swoim zdjęciu nadnaturalne światło nad głową brata Branhama).

Po tym jak domówiłem się z kaznodzieją Branhamem, ustaliliśmy, że negatyw tego zdjęcia zostanie przekazany panu George'owi Lacyemu, który był w tych okolicach największym autorytetem w dziedzinie prawdziwości dokumentów. Pan Lacy poddał negatyw szczegółowym badaniom naukowym. Kaznodzieja Branham był pewny, że negatyw nie był sfałszowany, uważał jednak, że byłoby rozsądnie posiadać niezbity naukowy dowód jego autentyczności. Po ostatecznym, gruntownym przebadaniu negatywu pan Lacy wydał zaświadczenie (którego kopia znajduje się w tej książce), że wszystkie testy dowiodły, iż negatyw jest całkowicie autentyczny, nie jest sfałszowany ani retuszowany, czy też w jakikolwiek sposób podwójnie naświetlany. Kaznodzieja Branham wyraził więc zgodę na powielanie kopii tego zdjęcia. Oczywiście nie chciał dla siebie żadnego udziału w zyskach z ich sprzedaży, zgodził się jedynie, by przeznaczono pewien procent na zagraniczne misje, z którymi współpracował.

Inną ciekawą rzeczą związaną ze zjawiskiem uchwyconym na zdjęciu były nadchodzące niezależnie od siebie świadectwa różnych ludzi, potwierdzające fakt, że to nadnaturalne światło pojawiło się nad głową brata Branhama. Niektóre z tych świadectw nadeszły od osób, które jeszcze nic nie słyszały o tej fotografii. Jedno z takich świadectw pochodzi od pani Grace Coursey z Cleveland w Teksasie, która mówi w nim o pewnym katoliku, świadku tego światła, dzięki któremu się nawrócił:

ZDUMIEWAJĄCE POTWIERDZENIE KATOLIKA NAWRÓCONEGO DZIĘKI NADNATURALNEMU ŚWIATŁU

Któregoś dnia byłam zajęta sprzątaniem, kiedy drogą dojazdową do naszego domu na farmie, który znajdował się 90 km na północ od Houston,

podjechał samochód. Zaczęłam się tłumaczyć przed nieznanym gościem z powodu bałaganu, gdyż czułam się bardzo zażenowana. Mówiłam, że sześć dni w tygodniu pracuję w Cleveland jako ekspedientka, a ostatnich parę wieczorów spędziłam na zgromadzeniach przebudzeniowych brata Branhama i dlatego nie miałam czasu posprzątać domu. Ten obcy mężczyzna, pan Becker, przybył do nas w odpowiedzi na nasz anons o sprzedaży domu. Kiedy wspomniałam o zgromadzeniach brata Branhama, twarz mu się rozjaśniła i powiedział, że też tam był ze swoją żoną. Jego małżonka opowiedziała nam potem o wszystkim.

Pan Becker cierpiał na poważny rozstrój żołądka, połączony z silnymi skurczami. Co wieczór zażywał lekarstwa. Jego teściowa przeczytała w jednej z gazet o Branhamie i o danym mu przez Boga darze uzdrawiania. Doradziła więc swej córce, pani Becker, zabrać męża na te zgromadzenia, by się za niego modlono. Ona jednak wątpiła, że jej mąż pójdzie z nią, gdyż był katolikiem. Opowiedziała mu jednak o tym, a on zgodził się pójść.

Pani Becker była bardzo rozczarowana, gdy weszli do Sam Houston Coliseum, gdzie zobaczyli kaznodzieję baptystycznego (ona jest członkiem kościoła baptystów), który debatował z bratem Bosworthem. Obawiała się, że w obliczu tego sporu jej mąż nie uwierzy. Zamiast jednak stracić wiarę, pan Becker oświadczył: „Zobaczyłem wokół głowy kaznodziei Branhama światło, kiedy po debacie stanął na podium. Nie był to blask żarówki, ale nad jego głową widniała aureola”. A kiedy brat Branham wzywał ludzi do ołtarza, wtedy pan Becker, który zawsze stanowczo twierdził, że jest zbawiony, poszedł do przodu przyjąć Chrystusa. Jego żona pomyślała, że może coś niewłaściwie zrozumiał, spytała go więc, czy rozumie wezwanie. Odpowiedział: „Oczywiście, że tak!”.

Automatycznie został uwolniony od nawyku używania imienia Bożego nadaremnie. Następnego dnia pan Becker udał się na popołudniowe nabożeństwo i otrzymał kartę modlitewną. Nie został wywołany tego wieczoru, lecz i tak został uzdrowiony podczas wspólnej modlitwy.

Nawet dzisiaj, kiedy przybyłam na zgromadzenie, by o tym opowiedzieć, nie byłam świadoma, że tego samego wieczoru fotograf wykonał zdjęcie tej światłości wokół głowy brata Branhama, którą zobaczył pan Becker, katolik i uwierzył, że ten został posłany od Boga z darem uzdrawiania.

30 stycznia 1950 r.
Pani Grace Coursey
Rt. 1, Box 108
Cleveland, Texas

Z Houston ekipa Branhama udała się do Beaumont, miasta położonego około 130 kilometrów na zachód. Już pierwszego wieczoru miejska aula wypełniła się po brzegi, następnego zaś popołudnia trzeba było poprosić dwóch policjantów i siedmiu strażaków, by pilnowali przestrzegania miejskich przepisów bezpieczeństwa w tym budynku. Raymond T. Richey wynajął jedenaście autobusów, które przewiozły łącznie siedemset osób z Houston do Beaumont na nabożeństwo w poniedziałek wieczorem. Tylko części z nich udało się znaleźć miejsca siedzące przewidziane dla słuchaczy. Zarząd sali po naszych prośbach ustąpił i pozwolił dalszym setkom ludzi stać podczas zgromadzenia w tylnej części podium.

Jednym z ciekawszych momentów tej kampanii był obiad, w którym wzięło udział prawie stu kaznodziejów ze swoimi żonami. Brat Branham krótko podzielił się z nimi tym, co miał na sercu. Powiedział, że Bóg polecił mu przynieść szczególne poselstwo dla wierzących, by zapomnieli o wszystkich różnicach i zjednoczyli się, a także by byli jednego serca i jednej myśli, gdyż przyjście Chrystusa jest blisko. Wszyscy obecni słuchali go z wielką powagą, ponieważ wiedzieli, że są to słowa proroka.

Podczas kampanii w Beaumont około 2.000 osób wyszło do przodu, by wyznać Chrystusa. Jeszcze w Houston na wezwanie do ołtarza odpowiedziało mniej więcej 3.000 osób, tak że w ciągu tych trzydziestu dni prawie 5.000 osób przyjęło Chrystusa jako swego Zbawiciela.

KAMPANIE W ARKANSAS

Z Beaumont pojechaliśmy do Little Rock w Arkansas, gdzie usłyszeliśmy coś, co już powiedziano nam na innych miejscach. Little Rock pod względem duchowym było miastem tak rozdartym, że wydawało się prawie niemożliwe, by zorganizować tam jakieś wspólne, duże zgromadzenie. Próbowano tego już dawniej, lecz zawsze kończyło się to fiaskiem. Dlatego powiedziano nam, żebyśmy byli przygotowani na rozczarowanie. Kampania rozpoczęła się w środku tygodnia, a już w sobotę sala „The Robinson Memorial Auditorium” była całkowicie wypełniona. W ostatni poniedziałkowy wieczór drzwi zamknięto już o godzinie 18.30 i jak oszacowano, co najmniej tysiąc pięćset osób nie dostało się już do środka. Ostatniego dnia w południe, na uroczystym obiedzie, gdzie spotkało się ponad stu kaznodziejów (przybyłych tam wraz z żonami), odczuwało się ducha społeczności, który sprowadził jedność, o jakiej jeszcze tydzień wcześniej nikt by nie wierzył, że jest możliwa.

Fascynujące były też świadectwa tych, którzy zostali uzdrowieni trzy lata wcześniej, gdy brat Branham na krótko się tam zatrzymał. Szczególnie uchwylił za serce słuchaczy swym świadectwem pewien mężczyzna. Przez

długie lata chodził on o kulach. Po modlitwie brata Branhama odrzucił je na bok i odszedł o własnych siłach. Więcej już ich nie używał.

Brat Moore i ja byliśmy uczestnikami wyjątkowego zdarzenia. Pod koniec jednego nabożeństwa, kiedy opuszczaliśmy podium, zatrzymała nas pewna matka, błagając nas, abyśmy pomodlili się za jej pięcioletnim głuchoniemym dzieckiem. Powiedziała, że obawia się, że brat Branham nie zdąży się za nie pomodlić. Brat Moore spojrział na mnie i powiedział: „Pomódlmy się za nie”. Po modlitwie podeszliśmy z nim do pianina, by upewnić się, że to dziecko słyszy muzykę. Potem zeszliśmy z podium. Następnego wieczoru ta sama kobieta przysłała na nabożeństwo i otrzymała kartę modlitewną, myśląc, że nie zaszkozi dziecku powtórna modlitwa. Brat Moore i ja byliśmy niezmiernie ciekawi, co Duch Boży powie przez brata Branhama do tego dziecka.

A on, kiedy popatrzył na to dziecko, rzekł: „Matko, twoje dziecko było głuche”, co oczywiście było prawdą. Potem jeszcze raz spojrział na nie i dodał: „Wczoraj wieczorem ktoś, kto miał wiarę, modlił się za nie i dziecko zostało uwolnione”. Możecie sobie wyobrazić jej ogromne zdziwienie. To była przecież prawda, dziecko słyszało. I chociaż w wieku, w jakim był chłopczyk, trudno określić stopień słyszalności, to jednak przez to, że dziecko zaczęło naśladować różne tony, jego uzdrowienie stało się namacalnym faktem. To oświadczenie wywarło wielkie wrażenie na zgromadzonych. Bez cienia wątpliwości to mówił Bóg, a nie człowiek, i to nie ten człowiek był uzdrowicielem, lecz Pan Jezus Chrystus. Później opowiedzieliśmy bratu Branhamowi o tym zajściu. Niewiele już pamiętał. Bóg, co prawda, mówił przez niego i objawił mu, że ktoś za tym dzieckiem już się modlił, lecz nie odsłonił mu, kto to był. To nie było istotne. Ważne było, że Bóg tego dokonał i to Jemu należy się wszelka cześć. (Kilka miesięcy później otrzymaliśmy od matki tego chłopca list, w którym poświadczyła jego uzdrowienie. Zamieściliśmy to w „Głosie Uzdrawienia”).

Po Little Rock mieliśmy jeszcze przez dwa dni nabożeństwa w El Dorado i kolejne dwa w Camden.

O Bracie Branhamie możemy powiedzieć to, co w Biblii powiedziane jest o Janie Chrzcicielu: „Wystąpił człowiek, posłany od Boga, który nazywał się Jan”. Wierzymy, że ta wypowiedź może także odnosić się do naszego umiłowanego brata Williama Branhama.

ROZDZIAŁ 19

RELACJE AMERYKAŃSKIEJ PRASY ZE ZGROMADZEŃ Z BRATEM BRANHAMEM

W ostatnich latach rzadko się zdarzało, by usługa jakiegoś kaznodziei do-
czekała się jakichkolwiek przychylnych komentarzy ze strony prasy. Je-
śli już o nich pisano, to w większości artykułów przebijała duża doza sarkazmu.
A jednak wielu redaktorów poświęciło czas i miejsce w swoich gazetach, aby
– często w życzliwym tonie – opisywać kampanie uzdrowieniowe Williama
Branhama. Żądalibyśmy chyba zbyt wiele, gdybyśmy oczekiwali, że wszyst-
kie gazety będą pisały przychylnie o tych nabożeństwach. Czasami reporterzy
przychodzą na zgromadzenie z własnym, już wyrobionym zdaniem i zostają
tam tylko po to, by przelać na papier swoje pobieżne sprawozdanie, urozma-
icone nieco cyniczną i sprytnie wplecioną drwiną. Bądź co bądź wydaje się,
że zainteresowanie reporterów kampaniami Branhama było na tyle duże, że
przebywali na tych spotkaniach tak długo, aż w końcu częściowo przekonali
się do tego, co zobaczyli i usłyszeli. W wielu też przypadkach złożono obszer-
ne, pozytywne sprawozdania z tych nabożeństw. Artykuły przepojone wątpli-
wościami pojawiały się naprawdę sporadycznie. W tym rozdziale podajemy
krótkie sprawozdania ze zgromadzeń brata Branhama na podstawie fragmen-
tów artykułów z różnych amerykańskich i kanadyjskich gazet.

Pierwsze takie sprawozdanie ukazało się 14 marca 1949 roku w gazecie
„News – Sun” z Waukegan:

Dziesiątki chorych ludzi twierdzi, że zostali uzdrowieni podczas trzydni-
owych zgromadzeń, na których usługiwał kaznodzieja Branham. Zezowate

oczy wyrównywały się, zanim jeszcze kaznodzieja kończył modlitwę. Wielu niepełnosprawnych odzyskiwało zdrowie, powykręcane ciała prostowały się, a głusi odzyskiwali słuch.

W ostatni wieczór pewna kobieta z Bensenville w Illinois przywiozła małego synka, który nie tylko miał porażenie nóg, rąk i kręgosłupa, ale był też cały zdeformowany. Zaraz po modlitwie wyprostował się i bez czyjejkolwiek pomocy zszedł z podium.

Na tym samym nabożeństwie zostały uzdrowione dwie kobiety, które z powodu katarakty od dwóch lat były całkiem niewidome. Kiedy przyprowadzono je na podium i modlono się z nimi, pierwsza z nich natychmiast odzyskała wzrok. Mąż tej kobiety powiedział, że jej oczy zupełnie się oczyściły, zniknęły nawet przekrwione żyłki.

Ta sama reporterka, Fannie Wilson, 24 marca 1949 r. w „Wiadomościach Lokalnych”, gazecie obejmującej swym zasięgiem wiele miast na północ od Chicago, napisała:

Główną różnicą między kaznodzieją Williamem Branhamem a większością duchownych jest to, że dla tamtych Biblia jest już dawno zakończoną historią, dla niego natomiast jest to żywa, prawdziwa moc, taka sama jak za dni Jezusa z Nazaretu. Jednak to, co czyni go tak odmiennym, jest fakt, że kaznodzieja William Branham potrafi udowodnić to, o czym mówi.

Nie, żeby starał się być lepszy niż inni, bo daleki jest od tego. Kaznodzieja Branham jest bardziej pokorny od wszystkich pokornych ludzi razem wziętych. Czy możecie sobie wyobrazić białego człowieka urodzonego w Kentucky, który bierze w ramiona małą zezowatą murzynkę z ulicy Targowej w Waukegan i mówi do niej: „Córko, w imieniu Jezusa Chrystusa jesteś uzdrowiona”? A jej oczka prostują się od razu dokładnie tak samo, jak w przypadku wielu osób podczas nabożeństwa uzdrowieniowego i zgromadzeń przebudzeniowych w Misyjnym Kościele Łaski. Wśród tych, za którymi modlono się w poniedziałkowy wieczór, znalazł się też wybitny lekarz z Waukegan.

Podczas samego poniedziałkowego nabożeństwa zostało uzdrowionych dziewięć osób, które od urodzenia były albo głuche, albo nieme. Większość z nich urodziło się w tej okolicy albo byli tutaj znani przed swoim uzdrowieniem. Jeden z głuchoniemych został jednocześnie uzdrowiony także ze swej ślepoty. Wszyscy odzyskali mowę, chociaż to, jak mówili, podobne było do mowy małego dziecka. Wydawało się, że każdy z nich był wielce zaskoczony tym, iż słyszy swój własny głos.

Pewien człowiek, który przyjechał tu z Iowa, miał raka na nogach od kolan aż po kostki. Rak zniknął zaraz po modlitwie. Na ostatnim wieczornym

nabożeństwie zostały uzdrowione dzieci z porażeniami, czy cierpiące na niedorozwój umysłowy.

Wiele wpływowych osób z powiatu Lake słyszało albo widziało, jak brat Branham „diagnozował” liczne choroby. Co więcej, osoby, za którymi się modlił, widziały, jak pod działaniem modlitwy ręka kaznodziei zaczynała puchnąć, lecz zanim powiedział „amen”, jego ręka powracała do normalnego stanu.

Kaznodzieja często przypominał słuchaczom, że on sam nie posiada mocy uzdrawiania, lecz że to Bóg uzdrawia przez wiarę chorego.

„THE ALBERTAN” Z CALGARY W KANADZIE

W czasopiśmie „The Albertan”, wydanym w Calgary, w Kanadzie, dnia 21 sierpnia 1947 r. znaleźliśmy następującą relację:

Wielka fala emocji ogarnęła tłum trzech tysięcy mieszkańców, którzy w środę wieczorem szczerze wypełnili Pawilon Wiktoria, by wziąć udział lub otrzymać pomoc w czasie kampanii uzdrowieniowej prowadzonej przez Williama Branhama z Jeffersonville, ze stanu w Indiana.

To właśnie opinia o amerykańskim kaznodziei, który miał „dar Bożego uzdrawiania” i w ciągu roku pomógł w uzdrowieniu 35.000 osób – niewidomych, niepełnosprawnych, porażonych, chorych na raka, gruźlicę i wiele innych chorób, przyciągała mężczyzn, kobiety i dzieci ze wszystkich środowisk.

Jednym z pierwszych w kolejce modlitewnej był niejaki pan Andre z Edmonton, który powiedział, że cierpi z powodu dyskopatii. Odwiedził już tuzin lekarzy w zachodniej części Kanady, a także klinikę braci Mayo w Rochester, jednak lekarze mówili mu, że konieczna jest operacja kręgosłupa.

Pan Andre powiedział w wywiadzie, że nie pamięta, kiedy był w stanie dotknąć palców u stóp bez zginania kolan.

Kiedy podszedł do pana Branhama, ten chwycił swoją lewą dłonią jego prawą rękę, następnie opisał dolegliwość tego mężczyzny i po modlitwie kazał mu się schylić i dotknąć palców. Andre uczynił to bez zginania kolan. Zgromadzenie najpierw wydało stłumiony okrzyk, a następnie już bez wahania dało upust swojemu zdziwieniu i zachwytowi.

Człowiek z Edmonton pełen emocji w prosty sposób podziękował kaznodziei, po czym podbiegł do mikrofonu, aby opowiedzieć wszystkim, jak to lekarze mówili mu, że bez operacji nie da się usunąć tego schorzenia.

Duchowny twierdzi, że w swojej lewej ręce czuje wibracje, dzięki którym potrafi rozpoznać raka, gruźlicę i inne choroby.

„STAR-PHOENIX” Z SASKATOON

W kanadyjskiej gazecie „Star-Phoenix” z Saskatoon, w numerze z 1 sierpnia 1947 r., podano następujące sprawozdanie:

W środę wieczorem w Kościele Apostolskim, gdzie zebrało się osiemset osób, by być świadkami „uzdrowienia przez wiarę”, panna M. B., która spędziła dziesięć lat w szkołach dla głuchoniemych (tu w okolicy oraz w Winnipeg), jak tylko William Branham pomodlił się za nią, powiedziała całkiem wyraźnie dwa słowa: „tatusiu” oraz „mamo”.

Panna B., z którą „Star-Phoenix” w piątek przeprowadziło wywiad, powiedziała, że na prawe ucho słyszy bardzo dobrze, natomiast na lewe wciąż nie. Wierzy, że niebawem będzie w stanie normalnie mówić. Jej opiekunka oznajmiła, że mówi teraz „dzień dobry” i „do widzenia”, co nie zdarzyło się od trzech miesięcy, czyli od czasu kiedy u niej zamieszkała.

Podczas gdy zgromadzeni siedzieli cicho ze skłonionymi głowami, około 100 osób posuwało się w kolejce w kierunku pana Branhama, który modlił się za każdą z nich. Poinstruowano zgromadzonych, że do otrzymania uzdrowienia potrzebna jest bezgraniczna wiara i respekt, i że wszyscy muszą pochylić swoje głowy. Ci, którzy tego nie uczynili, byli proszeni o opuszczenie kościoła.

Przed przyjściem pana Branhama zgromadzeni słuchali innych mówców, którzy opowiadali o wspaniałych sprawach, jakich dokonała wiara. Pewna kobieta twierdziła, że kiedy się za nią modlono, opuściły ją różne dolegliwości, a następnego dnia zaczęła normalnie słyszeć, choć wcześniej była głucha na jedno ucho. Jeden z mówców wspomniał, że pewna kobieta z miasta Regina, która od miesięcy była karmiona tylko płynami, po modlitwie poszła i zjadła normalne śniadanie.

Z „THE JEFFERSONVILLE POST” – GAZETY WYDAWANEJ W RODZINNYM MIEŚCIE BRATA BRAHNAMA

W „The Jeffersonville Post”, gazecie wydawanej w rodzinnym mieście brata Branhama, w numerze z 3 listopada 1949 r. pisano:

W niedzielę wieczorem tłumy ludzi zdecydowało się odwiedzić Kaplicę Branhama, na skrzyżowaniu ulic Ósmej i Penn, zamiast oglądać coroczny mecz pomiędzy drużynami Jeffersonville Red Devils i New Albany Bulldogs. Przyszło ich tak wielu, że nie wszyscy znaleźli miejsce i część z nich musiała pozostać na zewnątrz, stojąc w deszczu i przez głośniki słuchać wzruszającego przemówienia Williama Branhama, którego cudowne uzdrowienia znane są już na całym świecie.

Z wiarygodnych źródeł dotarły do nas relacje o uzdrowieniu dwóch chorych na raka, którzy trzy miesiące wcześniej dowiedzieli się, że są śmiertelnie chorzy, a teraz wyzdrowieli. Doniesiono nam też o osobie, która przez osiemnaście lat była przykuta do wózka inwalidzkiego, a teraz chodzi normalnie. Ktoś inny, kogo przyniesiono do zboru na noszach, po modlitwie sam wstał. Z kolei niesłysząca kobieta odzyskała słuch. Wszystko to uczynił jeden człowiek, który uzdrawia w imię Boskiego Stwórcy przez położenie prawej ręki na chorym człowieku.

Wielu jest zdania, że czas cudów jeszcze nie minął, a już na pewno nie w Jeffersonville.

Dla walczącego o przetrwanie młodego człowieka, który całymi dniami pracował, a w niedzielę usługiwał, nie było przeszkody, której by nie przezwyciężyła jego wiara. Wciąż jednak niektórzy miejscowi wysmiewają go, chociaż powinni oddać mu należyty szacunek, jako człowiekowi przeznaczonemu przez Najwyższego do sprawowania Jego dzieła.

Pomimo tego, że nie posiada wykształcenia, które bardzo się w dzisiejszych czasach liczy, ma jednak nie tylko zdolności, ale też wewnętrzny zapał do głoszenia ewangelii.

Boża moc uzdrawiania, którą posiada, jest już dzisiaj znana na całym świecie. Z Jeffersonville zamierza udać się do miast Louisiana i Houston w Teksasie, a prawdopodobnie także na Jamajkę i potem za ocean.

Równnie interesujące i obszerne sprawozdania na temat zgromadzeń brata Branhama zamieszczane były w jeszcze wielu innych czasopismach, między innymi w „Daily Times”, wydawanym w Chicago, oraz w „The Chicago Daily News” i w „St. Louis Star – Times”, a także w „St. Louis Post – Dispatch”. W tej ostatniej zamieszczono artykuł na całą stronę. Nie wszystkie relacje z kampanii pisane były w przychylnym tonie, lecz większość z redaktorów przynajmniej nie było źle nastawionych. Niektóre gazety były wręcz pod wrażeniem tych zdarzeń. Na ogół reporterzy, którzy na własne oczy widzieli uzdrowienia, przekonali się, że w zgromadzeniach jest obecna jakaś nadprzyrodzona moc.

PRZYCHYLNA RELACJA O ZGROMADZENIACH BRATA BRANHAMA W CZASOPIŚMIE „THE EVENING SUN” Z JONESBORO W ARKANSAS

Sprawozdanie dziennikarza Eugene’a Smitha w wydaniu z 12 czerwca 1947 r.:
Chociaż kaznodzieja Branham twierdzi, że dar uzdrawiania otrzymał już jedenaście miesięcy temu, to jednak dziś po raz pierwszy ma okazję opowiedzieć tę historię bezpośrednio dziennikarzom. Mówi: „Zgromadzenia,

które odbywają się codziennie, tak bardzo pochłaniają mi czas, że moi menażerowie prosili mnie, bym odmawiał wszelkich wywiadów prasowych. Zawsze mówią: „Tak wielu ludzi potrzebuje twojej pomocy, że rozgłaszanie twojej obecności w gazetach pomnoży tylko i tak już przepelnione kolejki modlitewne”.

Wizyta w kaplicy „The Bible Hour Tabernacle” na ulicy East Matthews potwierdzi jedynie, że to, co oferuje William Branham, nie potrzebuje reklamy. W ostatnim tygodniu kolejki modlitewne, podczas których brat Branham modlił się osobiście wraz z cierpiącymi, porażonymi, niemymi, ślepyimi i kalekimi, przeprowadzano już dwa razy dziennie. W tym tygodniu zaś codziennie odbywały się trzy nabożeństwa. Mimo to i tak jest niemożliwe, by przed poniedziałkowym nabożeństwem i zakończeniem kampanii zdołał usłużyć wszystkim potrzebującym.

Ludzie codziennie masowo przybywają do miasta, błagając o „jedną minutę z kaznodzieją Branhamem”. W tym tygodniu przyjechał autobus z Fulton w Kentucky i przywiózł czterdzieści pięć osób. Tego samego dnia czarterowym samolotem przyleciał trzydziestoczteroletni były żołnierz, opuchnięty od raka, który wysysał z niego całe życie. W środę brat Branham poleciał na krótko do El Dorado, gdzie miał pomodlić się za umierającą osobę.

Od momentu, kiedy kaznodzieja Branham rozpoczął tę kampanię, tj. od 1 czerwca, Jonesboro odwiedzili ludzie z co najmniej dwudziestu pięciu stanów oraz z Meksyku. Reporter dla gazety „The Sun” powiedział, że zjechali się tu ludzie z wielu stanów – od Kalifornii aż po New Jersey, od Michigan i Wisconsin aż po Florydę, od Wyoming aż po Teksas i Meksyk. Nic dziwnego, że wszystkie pensjonaty i domy prywatne są wieczór po wieczorze zajęte przez te niecodzienne tłumy. Przygotowano nawet specjalną salę noclegową w tylnej części kościoła.

Kaznodzieja Branham mówi: „Jestem tylko człowiekiem i nie posiadam żadnej mocy do uzdrawiania. Jedyne Jezus Chrystus może uzdrawiać. Proszę Go, by uzdrowił tych, którzy wierzą”. Wyjaśnił, że nikt nie może zostać uzdrowiony, jeśli nie wierzy w Jezusa Chrystusa.

Pan Branham również twierdzi, że ma zdolność rozpoznawania chorób u tych, którzy do niego przychodzą. „Kiedy ktoś włoży swoją rękę w moją lewą dłoń, wtedy dana choroba powoduje, że odczuwam pewne wibracje. Zwykle mogę określić, co to za dolegliwość. Kiedy choroba opuszcza tę osobę, wibracje ustępują”. Modlitwę za chorego kaznodzieja Branham kończy zwykle tymi słowami: „Rozkazuję ci w imieniu Jezusa Chrystusa: ‘Opuść tego człowieka’”.

Zeszłego lata kaznodzieja Branham najpierw miał w planie udać się do St. Louis. Potem pojechał do Jonesboro, odwiedził też Pine Bluff i Camden,

następnie udał się do Houston i na Zachodnie Wybrzeże. W przyszłym tygodniu leci do Kalifornii, by służyć pomocą pewnemu Armeńczykowi.

Od czasu październikowej wizyty łatwo dostrzec skutki tak bardzo napiętego planu dnia kaznodziei Branhama. Stracił na wadze jedenaście kilogramów, a jego oczy są podkrążone i zapadnięte. Powiedział z uśmiechem: „Nie mogę zdradzać, gdzie jestem zakwaterowany, żebym w ogóle mógł się trochę przespać”.

Ogólna suma słuchaczy uczestniczących w nabożeństwach w ciągu tych dwóch tygodni prawdopodobnie przekroczy w niedzielę liczbę 20.000 osób – informują przedstawiciele kościoła. Reporter gazety „The Sun” uczestniczył w dwóch popołudniowych nabożeństwach, a potem spędził cały ranek, słuchając historii brata Branhama. Przeciskając się przez tłumy i rozmawiając z ludźmi z najdalszych krańców ziemi, nie znalazł ani jednego sceptyka. Wielu z nich opowiadało historie, które wydawały się zupełnie nieprawdopodobne.

Na przykład M. N. Funk, szewc z Seymour w stanie Missouri, powiedział, że przez pięć lat i pięć miesięcy nie mógł chodzić, aż do czasu, gdy 21 stycznia był w Camden na nabożeństwie prowadzonym przez brata Branhama. Powiedział: „Przez dziewięć miesięcy leżałem w szpitalu, po tym jak spadłem podczas wykonywania prac ciesielskich i uszkodziłem sobie kręgosłup. Lekarze powiedzieli mi, że nigdy więcej nie będę chodził i tak też było przez pięć lat i pięć miesięcy. Wiem, że trudno w to uwierzyć, lecz kiedy brat Branham pomodlił się za mną, wstałem i od razu zacząłem chodzić. Dziś poruszam się równie dobrze jak każdy inny”.

C. C. Shepherd, pastor kościoła zielonoświątkowego z St. Charles niedaleko De Witt, w poniedziałek popołudniu pokazał całemu zgromadzeniu zrogowaciały kawałek skóropodobnej substancji, mówiąc że jest to rak, który przez czternaście lat mu dokuczał. W zeszły wtorek brat Branham pomodlił się za niego. Mówił, że rak był następstwem zacięcia się na szyi podczas golenia. Powiedział też, że ten rak miał czerwony kolor. Jednak kiedy tylko wszedł na podium, rak ściemniał, a potem zrobił się czarny, wysechł i odpadł. Na szyi pozostało po nim duże wgłębienie.

Pani Hattie Waldrop, której mąż ma sklep z artykułami hydraulicznymi przy ulicy 2851 North 16 w Phoenix, w Arizonie, powiedziała, że brat Branham przywrócił ją do życia z martwych. Przebyła tę długą drogę do Jonesboro, aby o tym zaświadczyć. Powiedziała dziennikarzowi: „Mojego tętna już nie wyczuwano. Cierpiałam na raka jelit, zakłócenia pracy serca i wątroby, a stan mój był beznadziejny. Do zdrowia powróciłam, kiedy brat Branham pomodlił się za mnie 4 marca. Dziś czuję się dobrze i jestem zdrowa”.

Rozmawiałem osobiście z tą kobietą oraz z jej mężem i wiem, że to świadectwo jest prawdziwe.

ROZDZIAŁ 20

DODATEK O DARZE UZDRAWIANIA

(świadectwo ewangelisty F. F. Boswortha)

Przez ponad trzydzieści lat zajmowałem się organizowaniem kampanii ewangelizacyjnych, podczas których kładłem szczególny nacisk na modlitwy za chorych i cierpiących. Przez czternaście lat prowadziliśmy też chrześcijańskie radio „National Radio Revival”. W tym czasie otrzymaliśmy około ćwierć miliona listów, z których większość zawierała prośby o modlitwę za chorych, którym mogło pomóc jedynie bezpośrednie działanie Ducha Świętego jako odpowiedź na modlitwę wiary. Otrzymaliśmy listy z tysiącami spontanicznych świadectw ludzi, którzy w cudowny sposób zostali uzdrowieni z różnych cielesnych dolegliwości, włączając w to trąd. Cała chwała za to należy się Bogu, gdyż żaden człowiek nie byłby w stanie osiągnąć takich rezultatów. W obliczu tych cudów tysiące ludzi z radością przyjęło zbawienie, tysiące tych, którzy z pewnością by się nie nawrócili, gdybyśmy podczas naszych kampanii ewangelizacyjnych raz w tygodniu nie głosili ewangelii o uzdrowieniu.

Ponieważ jednak usługa uzdrawiania wymagała od nas bardzo dużych nakładów pracy, pracy ponad ludzkie siły, modliliśmy się gorąco do Boga, by wzbudził więcej pracowników, którzy dopomogliby nam w tym tak bardzo zaniedbanym zakresie usługi. Dlatego w ciągu ostatnich dwóch lat często płakałem z radości, gdy uświadamiałem sobie, że Bóg posłał kościołowi naszego umiłowanego brata Branhama, z jego cudownym darem uzdrawiania. To jest przykład tego, że Bóg daje nam „ponad to wszystko, o co prosimy albo o czym myślimy” (List do Efezjan 3,20), bo nigdy jeszcze nie widziałem ani nie czytałem o czymś podobnym do takiej usługi uzdrawiania, jaką miał William Branham.

POJAWIENIE SIĘ ANIOŁA

Już od dzieciństwa do brata Branhama co jakiś czas przemawiał słyszalnym głosem anioła, a dnia 7 maja 1946 r. zjawił mu się on w widzialny sposób i oznajmił między innymi, że przyście Pana jest na wyciągnięcie ręki. Ten niebiański posłaniec powiedział: „Jestem posłany z obecności Wszechmogącego Boga, by cię poinformować, że Bóg wysyła cię z darem uzdrawiania do narodów tego świata”.

Na 1291 stronie Biblii Scofielda doktor teologii C. I. Scofield umieścił przypis o aniołach: „Chociaż aniołowie są istotami duchowymi (Psalm 104, 4; List do Hebrajczyków 1, 14), otrzymali jednak moc, by się objawiać w postaci ludzkiej (I Księga Mojżeszowa 19, 1 oraz wiele innych miejsc w Starym i Nowym Testamencie). W II Księdze Mojżeszowej 23, 20 Bóg powiedział do Mojżesza: ‘Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w drodze i zaprowadził cię na miejsce, które przygotowałem.’ Także w I Księdze Mojżeszowej 24, 40 czytamy: ‘Pan, w którego społeczności trwam, pošle anioła swego z tobą i poszczęści drogę twojej [...]’”.

To jest dokładnie to, co uczynił Bóg dla brata Branhama. Nie modli się za chorych w kolejkach modlitewnych co wieczór, ale czeka, aż Bóg namaści go i sam odczuje obecność anioła u swego boku na podium. Kiedy nie ma tej świadomości, wydaje się być całkiem bezsilny.

DWA ZNAKI

Zwróćcie uwagę, że Bóg nie tylko posłał anioła, aby ten był z Mojżeszem, lecz dał mu też dwa bezsporne cuda jako znaki i potwierdzenie dla ludu, że Bóg objawił się mu i nakazał, by pod Bożym prowadzeniem wyprowadził ich z Egiptu (II Księga Mojżeszowa 4, 13). Pierwszym znakiem było to, że laska Mojżesza zamieniła się w węża, drugim natomiast, że gdy włożył swoją rękę w zanadrze, a potem ją wyciągnął, była biała od trądu. Bóg powiedział do Mojżesza: „Jeśli ci tedy nie uwierzą i nie usłuchają przestrogi pierwszego znaku, wtedy uwierzą przestrodze drugiego znaku” (II Księga Mojżeszowa 4, 8). W ostatnich trzech wierszach tego rozdziału czytamy, że gdy ludzie zobaczyli oba te znaki, wtedy „uwierzyli [...], pochylili głowy i oddali pokłon”.

Tak też właśnie, oprócz tego, że Bóg posłał Swojego anioła, by towarzyszył bratu Branhamowi, dał mu również dwa doskonałe znaki, które miały podbudować wiarę tysięcy nieuleczalnie chorych ludzi do tego stopnia, że mógł zadziałać dar uzdrawiania.

NADNATURALNE ROZPOZNAWANIE CHORÓB

PIERWSZY ZNAK: Gdy bratu Branhamowi ukazał się anioł, powiedział mu, w jaki sposób będzie zdolny wykryć, a następnie nazwać każdą chorobę i cierpienie. Mówił, że tym darem będzie się posługiwać następująco: trzymając chorego za prawą rękę, odczuje różne wibracje i drgania, dzięki którym będzie odczytywał choroby, na które cierpi ten człowiek. Zarodki chorób, które wskazują na obecność i aktywność „dręczącego” ducha danej dolegliwości (Dzieje Apostolskie 10, 38) będą wyraźnie odczuwalne.

Kiedy tylko tego rodzaju duch zetknie się z darem uzdrawiania, momentalnie wprowadza organizm w stan alarmowy, co staje się widoczne na ręce brata Branhama. Jest to tak rzeczywiste, że nawet jego zegarek zatrzymuje się w miejscu, a samemu kaznodziei wydaje się, jakby został podpięty do przewodu pod napięciem, przez którego płynie za dużo prądu. Z chwilą kiedy zły duch zostaje wyrzucony w imieniu Jezusa Chrystusa, czerwona i opuchnięta dłoń brata Branhama powraca do normalnego stanu. Jeśli nawet jakaś dolegliwość nie jest spowodowana drobnoustrojem, Bóg zawsze objawia bratu Branhamowi przez Ducha, jaka jest jej przyczyna. Najczęściej już ten pierwszy znak podnosi wiarę danej osoby do tego stopnia, iż może ona być uleczona; jeśli nie, czyni to drugi znak.

WIDZĄCY

DRUGI ZNAK: Anioł oznajmił mu, że dzięki namaszczeniu będzie w stanie widzieć wiele zdarzeń z życia chorego, od jego dzieciństwa aż do chwili terażniejszej. Wie nawet, co ta osoba myśli, stojąc na podwyższeniu, lub o czym rozmyślała, będąc w drodze na zgromadzenie. Niedawno słyszałem, jak rozmawiał z matką, która przyniosła swoje małe dziecko: „Pani dziecko urodziło się głuchonieme. Kiedy się pani dowiedziała, że ono nie słyszy, zaprowadziła je pani do lekarza”. Potem powiedział jej jeszcze dokładniej, co mówił lekarz. Matka odrzekła: „Dokładnie tak było”. Publiczność słyszy każde jego słowo wypowiedziane przez głośniki. Przed oczami brata Branhama przelatują sceny z życia danej osoby. Nagle odsuwa mikrofon, tak by nikt nie usłyszał, co zamierza powiedzieć, a potem mówi choremu o niewyznanych lub ciągłych grzechach, których musi się wyzbyc, zanim dar uzdrawiania zacznie działać. Kiedy tylko ci ludzie przyznają się do wyjawionych grzechów i zapewnią, że nie będą ich już więcej popełniać, wtedy bardzo często uzdrowienie przychodzi natychmiast, zanim jeszcze brat Branham zacznie się modlić w tej sprawie. Każdego wieczoru, na oczach tysięcy ludzi, anioł potwierdza autentyczność słów brata Branhama.

W ten sposób codziennie na nowo ogromne tłumy ludzi doświadczają tych trzech rodzajów cudów. Pierwsze dwa nie są bezpośrednio związane z uzdrowieniem, lecz służą tylko do tego, by podnieść wiarę chorego do poziomu, na którym działa dar uzdrawiania. Brat Branham może posłużyć się tymi dwoma znakami jedynie wtedy, kiedy spoczywa na nim namaszczenie Ducha Świętego.

COŚ WIĘCEJ NIŻ TYLKO „DAR UZDRAWIANIA”

Nie ulega wątpliwości, że podczas wieków kościoła, a także obecnie, tu i ówdzie są ludzie obdarzeni „darem uzdrawiania”, który w I Liście do Koryntian 12, 7–11 jest wymieniony wśród dziewięciu duchowych darów, czy też „przejawów Ducha”. Z tego wynika, że w każdym zborze powinni być ludzie wyposażeni w taki dar.

Lecz brat Branham nie tylko jest kanałem dla daru uzdrawiania; jest on także widzącym, tak jak starotestamentowi prorocy. Widzi zdarzenia, zanim one mają miejsce. Zapytałem go kiedyś: „Nie rozumiem. Jak je widzisz?”. Odpowiedział: „Dokładnie tak samo, jak teraz patrzę na ciebie, tyle że wiem, iż to jest wizja”. Brat Branham podczas modlitwy widzi w wizji, tak wyraźnie jak w rzeczywistości, najważniejsze cuda, zanim one potem wieczorem mają miejsce. Ogląda ludzi, którzy są przywożeni w karetkach i wnoszeni na noszach, a inni na wózkach inwalidzkich. Potrafi dokładnie opisać ich wygląd, jak są ubrani i tak dalej. Podczas wizji, gdy pokazywane mu są te cuda, traci na chwilę kontakt z otoczeniem. Minęły już trzy lata, od kiedy otrzymał ten dar, jednak za każdym razem wizja wypełnia się od początku do końca, co owocuje kolejnymi cudami. Jest tego tak pewny, iż może powiedzieć, że jest to „Tak mówi Pan”, i nigdy się nie myli. W ubiegłym tygodniu powiedział mi, że po prostu czyni dokładnie to, co zostało mu pokazane w wizji. Jeżeli chodzi o margines błędu, to jest on zerowy.

PATRZEĆ NA NIEWIDZIALNE

Nie spotkałem jeszcze osoby tak wrażliwej na obecność i działanie Ducha Świętego oraz świata nadprzyrodzonego jak brat Branham, kiedy posługuje się darem uzdrawiania. Gdy tylko znajdzie się pod pomazaniem, bez którego dar nie jest w stanie działać, i gdy upewni się, że anioł jest przy nim, wydaje się, że przenika przez zasłonę swego ciała do świata duchowego, by tam pozostać i nasycić się tym, co niewidzialne. Paweł pisze w II Liście do Koryntian 4, 18: „Nie patrzmy na to, co widzialne, ale na to, co niewidzialne; albowiem to, co widzialne, jest doczesne, a to, co niewidzialne, jest wieczne”.

Apostoł Paweł zwraca naszą uwagę na to, że żyjemy równocześnie w dwóch światach: cielesnym i duchowym. Świat duchowy obejmuje, ogarnia i przenika świat zmysłowy. Oba te światy zajmują w tym samym czasie to samo miejsce. Dlatego oprócz świata materialnego, który widzimy naturalnymi oczyma, istnieje inny, o wiele lepszy, którego oko nie jest w stanie dostrzec. Biblia uczy, że towarzyszy nam wieczna, wyższa rzeczywistość. Gdyby tylko nasze oczy były namaszczone, jakież rzeczy moglibyśmy oglądać na każdym kroku! To, co widzialne, pochłonięte jest przez to, co niewidzialne, a doczesne przez to, co wieczne.

Paweł mówi: „Ten, kto związany jest z Panem, jest jednym Duchem z Nim”. Napełnienie Duchem Świętym sprawia, że nasz duch łączy się z Duchem Bożym, niczym zatoka z oceanem. A potem nadchodzi czas, gdy ta wspała, duchowa rzeczywistość bierze górę i zaczyna panować. Widzimy wtedy prawdę i duchową rzeczywistość Bożymi oczami. W takich momentach przeszłe wydarzenia wydają się być prawie jak terazniejszość, jak przedpremierowy pokaz filmu. Jezus powiedział, że Duch Prawdy oznajmi nam to, co ma przyjść.

UPRZEDNIO WIDZIANE CUDA

Podczas zgromadzenia w Fort Wayne do kolejki modlitewnej przysła pewna kobieta z dzieckiem. Urodziło się ono ze zniekształconą stopą i miało ją w gipsie. Bez jakiegokolwiek modlitwy, brat Branham zapytał tę matkę: „Czy zrobi pani wszystko, co powiem?”. Ona odparła: „Tak, zrobię”. Wtedy powiedział jej: „Niech pani idzie do domu, zdejmie mu ten opatrunek gipsowy, a kiedy jutro wieczorem pani powróci z dzieckiem, jego stopa będzie całkiem zdrowa”. Te słowa dotarły przez głośniki do całego audytorium. Zajęło to ponad godzinę, by tego wieczoru ściągnąć ten gips. Gdy następnego dnia ta pani przyniosła ponownie swoje dziecko na zgromadzenie, jego stopa była zdrowa; miało ubrane nowe, białe buciki i potrafiło chodzić. Lekarz prześwietlił tę stopę i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Następnego dnia zapytałem brata Branhama, dlaczego ta kobieta znalazła się w kolejce modlitwy, a on się nie pomodlił o uzdrowienie tego dziecka. Odpowiedział mi: „Modlitwa nie była konieczna, dlatego że po południu, w wizji, oglądałem to dziecko uzdrowione”. Zabrałoby to zbyt wiele miejsca, gdybym chciał opisać tu inne przypadki, niektóre jeszcze bardziej barwne niż ten. Już tylko ta część służby brata Branhama wystarczyłaby na napisanie książki.

Jezus powiedział w Ewangelii Jana 5: „Mój Ojciec aż dotąd działa i Ja działam[...]. Nie może Syn sam od siebie nic czynić, tylko to, co widzi, że Ojciec czyni; co bowiem On czyni, to samo i Syn czyni. Ojciec bowiem miłuje

Syna i ukazuje mu wszystko, co sam czyni”. Co Jezus miał przez to na myśli? Oczywiście Jezus był widzącym, tak jak starotestamentowi prorocy. Widział cuda Swojego Ojca, zanim jeszcze się wydarzyły. Widział człowieka, który od trzydziestu ośmiu lat był ułomny, który nie był w stanie wskoczyć do sadzawki, gdy zstępował anioł i poruszał wodę. Jezus podszedł do niego i rzekł: „Weź łoże swoje i chodź”. Jezus widział zmartwychwstałego Łazarza, zanim dokonał tego cudu. On powiedział do Natanaela: „Zanim cię zawołał Filip, widziałem cię, gdy byłeś pod drzewem figowym” (Ewangelia Jana 1, 48). On widział, gdzie uwiązane było źrebię oślicy, mimo że nie był tam obecny. Można byłoby wymieniać i wymieniać. Chrystus mieszkający w nas wykonuje w tym czasie Swoje dzieła przez ludzi, jak zresztą obiecał to naszemu pokoleniu: „Kto wierzy we Mnie, ten także dokonywać będzie uczynków, które Ja czynię, i większe nad te czynić będzie, bo Ja idę do Ojca. I o cokolwiek prosić będziecie w imieniu Moim, to uczynię, aby Ojciec był uwielbiony w Synu” (Ewangelia Jana 14,12–13).

SIŁA PRZYCIĄGANIA WIARY

Do kobiety, która uchwyciła się szaty Jezusa i została uzdrowiona, Jezus powiedział: „Poczułem bowiem, że moc wyszła ze Mnie” (Ewangelia Łukasza 8, 46). Kiedy już wieść o tym rozeszła się po okolicy, czytamy w Ewangelii Marka 6, 56, że „gdziekolwiek przyszedł do wsi albo do miast, albo do osad, kładli chorych na placach i prosili Go, by się mogli dotknąć choćby kraju szaty Jego; a ci, którzy się Go dotknęli, zostali uzdrowieni”. Bogu niech będą dzięki, że mieszkający w nas Chrystus ma wystarczającą moc, by i dzisiaj dotknąć się ciał chorych i cierpiących, a ci zostają uzdrowieni.

Te dwa cudowne znaki, które Bóg demonstruje przez brata Branhama, nie są posłane tylko po to, by podnieść wiarę tych w kolejce modlitwy do poziomu potrzebnego dla uzdrowienia, lecz także, by wzmocnić wiarę wśród słuchaczy. Ich wiara czerpie tę samą moc z obecnego Chrystusa, który działa przez ten dar i uzdrawia chorych w całym audytorium. Nie ważne, czy akurat nazwa twojej choroby została w nadprzyrodzony sposób wypowiedziana, czy też nazwa choroby kogoś w kolejce modlitwy – znaki są takie same i działają w identyczny sposób na tych, którzy siedzą na widowni. Dlaczego jednak te dwa znaki są powtarzane dla każdego z osobna, skoro wystarczyłoby zademonstrować je tylko raz? Mojżesz nie powtarzał znaków dla każdego Izraelity z osobna – mógł zademonstrować je przed tysiącem ludzi, którzy od razu by uwierzyli. Jeśli ktoś w audytorium osiągnie odpowiedni poziom wiary i przyciągnie do siebie moc Chrystusa, nie może się to obejść bez tego, by brat Branham o tym nie wiedział. On czuje to tak dokładnie, jakbym ja

pociągnął was za płaszcz, i od razu wie, z której strony to przychodzi. Tak właśnie jest w stanie wskazać osobę, która wiarą dotknęła Chrystusa.

W Flint, podczas modlitwy za chorych, brat Branham nagle przerwał modlitwę, wskazał na drugą łożę po swojej prawej stronie i powiedział: „Właśnie zobaczyłem w wizji kobietę ubraną na niebiesko, noszącą gorset, która została uzdrowiona z raka”. Pewna kobieta zerwała się na równe nogi i zawołała z wielką radością: „To ja!”. Jej wiara zadziałała w drugiej łoży tak samo, jak wiara tych na podwyższeniu.

Pewna młoda kobieta, umierająca na białaczkę, została przyniesiona na zgromadzenie na łóżku polowym. Zarówno w klinice Johna Hopkinsa, jak i w klinice Mayo powiedziano jej, że już nic nie da się zrobić i praktycznie nie ma szans na przeżycie. Powoli zaczynała tracić świadomość. Zszedłem z podium do łóżka, na którym leżała, i poradziłem jej, żeby modliła się, by Bóg podniósł jej wiarę do poziomu uzdrowienia, aby ten dar mógł zadziałać lub by jej wiara przykuła uwagę brata Branhama. Obserwowałem jej wargi poruszające się w modlitwie. Nagle brat Branham poczuł powiew wiary, zeskoczył z podium, podszedł do jej łóżka i zaczął modlić się razem z nią. Powiedział: „W imieniu Jezusa podnieś się z łóżka, przyjmij Bożą moc i bądź zdrowa!”. Posłuchała, podniosła się i ze wzniesionymi rękami, ze łzami radości, wielbiąc Boga chodziła między rzędami tam i z powrotem. Jej siostra doniosła nam później: „Moja siostra ma się wspaniale”.

Kilka miesięcy temu, w wielkim audytorium Fair Park w Dallas, zorganizowano zgromadzenie, na którym pewnego wieczoru cały kanał dla orkiestry wypełniony został ludźmi na noszach i wózkach inwalidzkich. Brat Branham, w czasie gdy gorliwie modlił się w kolejce modlitewnej, przez cały czas czuł po swojej prawej stronie powiew wiary, który potem nagle ustał. Kiedy zakończył kolejkę modlitewną, zwrócił się do pewnego leżącego na łóżku mężczyzny, mówiąc: „Proszę wstać, pan został jakieś pięć minut temu uzdrowiony”. Ten człowiek powstał i zaczął uwielbiać Boga. Jego żona podbiegła do niego i padła mu w objęcia, płacząc z radości. Okazało się później, że został przywieziony do Chicago i umierał na raka, który niemal zupełnie przeżarł jego płuca. Został uzdrowiony i w kilka dni później odwiedził następne zgromadzenie, zorganizowane w Fort Wayne, by złożyć tam świadectwo. Potem był jeszcze na następnych dwóch zgromadzeniach. Mógłbym kontynuować i zapisać jeszcze wiele stron historiami o podobnych uzdrowieniach tych, którzy czy siedzieli, czy leżeli na noszach, byli uzdrawiani, chociaż brat Branham nawet ich nie dotknął. Tak samo jak za czasów Piotra – wystarczył jego cień, by uzdrowić chorych.

NIE MA CIĘŻKICH PRZYPADKÓW

U Boga nie ma ciężkich przypadków. Do kolejki modlitwnej weszła pewna kobieta z Grecji, która miała niedrożny przełyk. Nie potrafiła nic przełknąć, nawet kropli wody. Jak tylko brat Branham się z nią pomodlił, wypła szklanekę wody i zjadła czekoladowego batona. Dzień lub dwa później na jednym zgromadzeniu przyszło do kolejki modlitwnej dziewięciu głuchoniemych i każdy z nich został uzdrowiony.

Niewidomi od urodzenia odzyskiwali wzrok. Po modlitwie z jednym zupełnie niewidomym mężczyzną brat Branham powiedział do niego: „Podejź do kazalnicy i dotknij palcem nosa tego kaznodziei”. Człowiek ten podszedł prosto do duchownego i pociągnął go za nos, aż zgromadzeni wybuchnęli śmiechem.

Pewien bardzo znany misjonarz z Palestyny, który miał już ostatnie stadium gruźlicy, został przywieziony w karetce z Yakima do Domu Kultury w Seattle, w stanie Washington. Rząd pokrył jego koszty związane z przylotem z Palestyny do Stanów. Gdy usłyszał polecenie: „Powstań w imieniu Jezusa Chrystusa i bądź zdrowy”, uczynił to. Dwa dni później pracował już przy swoim domu.

MASOWE UZDROWIENIA

Tak samo jak po zgromadzeniu ewangelizacyjnym następuje wezwanie do ołtarza lub zaproszenie dla grzeszników, tak też po nadnaturalnym rozpoznawaniu chorób i uzdrawianiu w kolejce modlitwnej podobne zaproszenie zostaje skierowane do wszystkich chorych, którzy są przygotowani na przyjęcie uzdrowienia, by podeszli albo zostali przyniesieni do przodu w celu uzdrowienia czy fizycznego uwolnienia.

Uzdrowienie pojedynczych osób na podium jest tylko przygotowaniem do głównej służby uzdrowieniowej i jest pewnego rodzaju kazaniem w formie lekcji poglądowej, skierowanym do wszystkich tych, którzy potrzebują tej części ewangelii pełnej mocy uzdrowienia.

Tak jak stu grzeszników może odpowiedzieć na zaproszenie ewangelisty i może przeżyć ten jakże wielki cud znowuzrodzenia, będąc w wielkim zgromadzeniu, tak samo przed kilkoma dniami w zdumiewający sposób doszło do masowych uzdrowień podczas zgromadzenia w Louisville. Brat Branham odważył się postąpić z chorymi w ten sposób, że najpierw do przodu poprosił obłożnie chorych, tych na wózkach inwalidzkich i nie mogących chodzić. Potem zaprosił tych, którzy potrafili chodzić o kulach oraz chorych

na raka i inne choroby. Poprosił, by ustawili się za tymi na noszach i w wózkach inwalidzkich. Kiedy ci ludzie przesuwali się do przodu, ich wiara zaczęła ciągnąć z mocy uzdrowienia ukrytej w darze, a tak wielkiej demonstracji uzdrowień jeszcze zgromadzenia brata Branhama nie widziały. Podczas kiedy chorzy posuwali się do przodu, brat Branham szybko wskazywał jednego po drugim, mówiąc: „Chrystus cię uzdrowił”. Ludzie wyrzucali swoje karty modlitewne w górę, odrzucali kule, a ci, którzy wcześniej nie mogli stać lub chodzić, wstawali, skakali i uwielbiali Boga. To, co się tam działo, jest nie do opisanego. Widziałem chłopca, który wcześniej siedział na wózku, nie potrafił stać ani chodzić, a potem wyskoczył na równe nogi i wielbił Boga. Kilka minut później dałem mu znak, aby podszedł i poprosiłem tłum, by zrobił przejście, umożliwiając mu przedostanie się na podium. Podszedł do mikrofonu i w bardzo wzruszający sposób przemówił do płaczących słuchaczy. Dar zadziałał więc w przypadku masowych uzdrowień tak samo, jak dla jednostek w kolejce modlitwy. Żona pastora zboru „Otwartych Drzwi” zadzwoniła do mnie następnego dnia, by przekazać, że kilku członków ich zboru zostało uzdrowionych tego wieczoru w tej masowej służbie uzdrowieniowej.

GRZESZNICY MASOWO SIĘ NAWRACAJĄ

Najwspanialsze jednak było to, że grzesznicy, przekonani o swoich grzechach, pragnęli zbawienia. Paweł mówi o tym w Liście do Rzymian 15, 18–19: „...aby przywieść pogan do posłuszeństwa słowem i czynem, przez moc znaków i cudów oraz przez moc Ducha Świętego [...] od Jerozolimy i okolicznych krajów aż po Ilirię”. Widziałem, jak tylko podczas jednego zgromadzenia brata Branhama około dwóch tysięcy grzeszników wstało i ze łzami oddało Bogu swe serca. Nic dziwnego, że Jezus powiedział: „Do jakiego też miasta wejdziecie, uzdrawiajcie chorych, którzy się tam znajdują!”.

ZAPROSZENIA ZZA OCEANU

Kiedy apostoł Paweł cytował Psalm 68, 18, to powiedział w Liście do Efezjan 4, 8: „Dlatego powiedziano: Wstąpiwszy na wysokość, powiódł za sobą jeńców i ludzi darami obdarzył”. Wiadomość o tym Bożym darze obiegła w przeciągu ostatnich trzech lat cały świat, tak że co chwilę przychodzą telefony z odległych państw i misji zamorskich. W ostatnim czasie wiele z nich nadeszło z różnych części Afryki. Niektórzy cierpiący przybyli tu do Stanów Zjednoczonych nawet zza oceanu i to z różnych państw, by dożyć uzdrowienia. Kiedy brat Branham uda się na te wszystkie pola misyjne, wierzę, że

nastąpi największe duchowe przebudzenie, jakie kościół kiedykolwiek przeżył w przeciągu dwóch tysięcy lat.

Zanim zakończę, pragnę powiedzieć coś do tych, którzy to czytają, a którzy nie mogą wziąć udziału w zgromadzeniach brata Branhama: Wy też możecie być uzdrowieni. Tysiące ludzi, na podstawie własnej modlitwy, zostało uzdrowionych w nadprzyrodzony sposób. Bóg pragnie uzdrowić cię bardziej, aniżeli ty sam możesz tego pragnąć. Jezus umarł, by nam to umożliwić. Golgota sprawiła, że każda obietnica stała się twoją własnością. Bożą wolą jest to, aby uzdrowić każdego i zademonstrować to przed tłumami.

ROZDZIAŁ 21

OSOBISTE ŚWIADECTWO WILLIAMA BRANHAMA O PRZEŻYTYCH WIZJACH

Jedynym celem spisania tych wizji, które otrzymałem za pośrednictwem świętego anioła, jest to, aby uwielbić Boga i Jego Syna Jezusa Chrystusa. Nie jest to bynajmniej sposób przypisania sobie jakiegokolwiek chwały, lecz już wiele osób prosiło mnie, bym przelał te wizje na papier. Tak więc postanowiłem, że opiszę kilka z nich. Te wizje są dla mnie świętą sprawą.

W przypadku niektórych wizji potrzeba czasu, by się wypełniły, jednak zawsze urzeczywistniają się one dokładnie tak samo, jak zostały mi pokazane. Czuję się niegodny za każdym razem, kiedy pomyślę, że Wszechmogący zechciał pokazać te rzeczy swojemu słudze. Spisuję je wyłącznie po to, by ludzie uwierzyli w Jezusa Chrystusa i przez wiarę zostali zbawieni.

WIZJA I: MOST NA RZECE OHIO

Pierwszą wizję, którą sobie przypominam, otrzymałem w wieku siedmiu lat. Być może w przeciwieństwie do następnych, ta nie miała aż tak wielkiego duchowego znaczenia, gdyż jako mały chłopiec, nie byłbym w stanie ich zrozumieć. Jednak był to Bóg, który chciał mi pokazać, na czym polega działanie tego daru, dzięki któremu miałem przez następne lata oglądać wiele rzeczy, zanim się one wydarzyły.

W tej wizji, którą otrzymałem podczas zabawy z moim bratem, widziałem długi most na rzece Ohio, w trakcie jego budowy, z którego spadło kilkunastu

robotników. Dokładnie widziałem konstrukcję tego mostu oraz miejsce, w którym go budowano. Wówczas wydawało się to niemożliwe, lecz później wszystko dokładnie stało się tak, jak zostało mi to pokazane.

WIZJA II: OSTRZEŻENIE PRZED SPIRYTYZMEM

Pewnej nocy, krótko po moim nawróceniu, wróciłem do domu po tym, jak modliłem się pod starym dębem. Mogło to być między pierwszą a trzecią godziną w nocy. Rodzice usłyszeli, gdy wchodziłem do swojego pokoju, i powiedzieli mi, że moja młodsza siostra jest chora. Uklęknąłem więc, pomodliłem się za nią i wróciłem do swojego pokoju.

Gdy wszedłem tam, usłyszałem dźwięk, jaki wydają iskrzące się druty elektryczne, które ktoś złączył razem. W tym czasie pracowałem już jako monter linii elektrycznych, więc pierwsze co pomyślałem, to że w naszej instalacji elektrycznej powstało spięcie. Lecz nagle ten dźwięk się zmienił i pokój został napelniony jakimś osobliwym światłem, a ja odczułem, jakbym unosił się w powietrzu. Przestraszyłem się bardzo, bo myślałem, że umieram.

Potem zauważyłem, że wszędzie wokół mnie znajduje się to światło. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem dużą gwiazdę, w miejscu skąd to światło wychodziło. Ona zaczęła zbliżać się do mnie coraz bardziej. Wydawało mi się, że nie mogę ani oddychać, ani mówić. Odczułem, jak gdyby ta gwiazda spoczęła na mojej klatce piersiowej.

W tym momencie scena się zmieniła i wydawało mi się teraz, że siedzę na zielonym pagórku, a przede mną leży stary, czworokątny słój na słodycze. Znajdowała się w nim duża ćma czy mucha, która chciała się uwolnić. Odwróciłem się w prawo; stał tam potężny anioł, który mi się przyglądał. Rzekł: „Spójrz, co pragnę ci pokazać?”. Potem zobaczyłem rękę, która rzuciła kamieniem i słój się rozbił. Ćma próbowała odlecieć, lecz nie mogła oderwać się od ziemi. Jej tułów był zbyt ciężki, a skrzydełka zbyt krótkie.

Potem roje much wyleciały z tej ćmy, a jedna z nich wleciała mi do ucha. Anioł powiedział mi: „Muchy, które widziałeś, przedstawiają złe duchy, takie jak wróżbiarstwo i magia”.

Potem ostrzegł mnie: „Bądź ostrożny”. Powtórzył to trzy razy. Potem doszedłem do siebie. Tej nocy nie mogłem już zasnąć. Następnego dnia byłem bardzo ostrożny. Kontrolowałem każdy swój ruch, spodziewając się, że w każdej chwili może się coś wydarzyć. To wszystko było dla mnie całkiem nowe, gdyż po raz pierwszy zostałem ostrzeżony w wizji.

Tego dnia w południe poszedłem do małego sklepiku spożywczego, żeby kupić sobie coś do jedzenia. Pracował tam pewien wierzący brat, którego

niedawno przyprowadziłem do Chrystusa. Później miał on być dla mnie wielką pomocą w służbie ewangelizacyjnej. Kiedy opowiadałem mu o mojej wizji, do sklepu weszła pewna pani.

W tym momencie doznałem dziwnego uczucia, że do sklepu wszedł jakiś obcy duch. Wspomniałem o tym mojemu przyjacielowi, bratu Georgowi De Ark stojącemu naprzeciw. Ta pani podeszła do jego brata Eda i powiedziała: „Szukam człowieka o nazwisku Branham. Powiedziano mi, że jest to mąż Boży”. Wtedy Ed mnie zawołał. Gdy podeszedłem do niej, zapytała mnie: „Czy to pan jest Williamem Branhamem, prorokiem Bożym?”. Odpowiedziałem: „Tak, nazywam się William Branham”.

Ona zapytała: „Czy pan jest tym człowiekiem, który uczynił cud dla pana Williama Merrilla w szpitalu i uzdrowił Mary O’Honion, z ulicy E. Oak w New Albany w stanie Indiana, która przez siedemnaście lat była kaleką?”. Odpowiedziałem znowu: „Jestem Williamem Branhamem. To Jezus Chrystus ich uzdrowił”. Wówczas dodała: „Straciłam część mojej posiadłości i chciałabym, żeby pan pomógł mi ją odzyskać”. W zasadzie nie zrozumiałem dokładnie, co chciała mi powiedzieć, lecz już od pierwszej chwili wiedziałem, że to szatan przysłał tę kobietę.

Powiedziałem więc do niej: „Pani przyszła pod zły adres; powinna się pani raczej rozejrzeć za wróżką albo medium”. Spojrzała na mnie i zapytała: „Pan nie jest medium?”. Odparłem: „Nie. Media są od diabła, a ja jestem chrześcijaninem i mam Ducha Bożego”. Gdy to usłyszała, spojrzała na mnie lodowatym wzrokiem. Zanim zdołałem coś jeszcze powiedzieć, usłyszałem Ducha Bożego mówiącego mi, że ona sama jest medium i że to jest właśnie ta mucha, która w wizji wleciała mi do ucha.

Powiedziałem jej: „Pan Jezus ubiegłej nocy posłał mi w wizji anioła, by ostrzec mnie przed panią i uprzedzić, bym był ostrożny. Dziękuję mojemu Panu za Jego dłoń, która mnie prowadzi. To, czym pani się zajmuje pochodzi od diabła, a przyszła tu pani tylko po to, by zasmucić Ducha Bożego”. W tym momencie ta kobieta powiedziała, że boli ją serce i że potrzebuje lekarstwa. Dodałem: „Niech pani przestanie czynić te rzeczy, a wszystko z sercem będzie w porządku”. Wyszła ze sklepu i nie przeszła nawet paru metrów, gdy dostała atak serca i zmarła tam wprost na chodniku.

Kilka dni później w tym samym mieście, w New Albany, rozmawiałem o miłości Chrystusa z paroma mechanikami w warsztacie samochodowym i również opowiedziałem im o tej wizji. Już miałem poprosić ich, by się ze mną pomodlili i oddali swoje serca Bogu, kiedy stojący z boku właściciel powiedział: „Billy, jesteś zawsze mile widziany w moim warsztacie, ale zostaw swoją fanatyczną religię na zewnątrz”. Odpowiedziałem: „Proszę pana, nie

udaję się na miejsca, gdzie Jezus nie jest mile widziany. Mówię tylko to, co jest prawdą, co Bóg mi objawił”.

Kiedy to powiedziałem, on zaśmiał się szyderczo, zagroził mi ręką i wyszedł. Zanim jednak przestąpił próg swojego warsztatu, jego własny zięć, który cofał ciężarówką załadowaną starym żelastwem, potrącił go i zmiażdżył mu obie stopy wraz z kostkami.

Dwa dni później głosiłem na ulicy, kiedy zwróciła się do mnie pewna pani z niesprawną ręką: „Wiem, że na panu spoczywa Boże namaszczenie. Proszę, niech pan wspomni w modlitwie moją niesprawną rękę. Już od lat nie ma żadnej poprawy”. Powiedziałem jej: „Jeśli pani naprawdę wierzy, to proszę wyprostować rękę, bo Jezus Chrystus już panią uzdrowił”. I zaraz po tym jej ręką wyprostowała się. Ta biedna kobieta krzyczała z radości, uklękała i dziękowała Bogu.

Pewna kobieta stojąca obok powiedziała: „Jeśli ta religia, którą posiada Billy Branham, jest prawdziwa, to nie chcę mieć z nią nic wspólnego”. Kiedy chciała już odejść, zdarzyło się coś dziwnego. Potknęła się o deskę, upadła i złamała rękę w piętnastu miejscach. Ta złamana ręką znajdowała się po tej samej stronie co niesprawną ręką kobiety, która została uzdrowiona.

WIZJA III: JEDNOŚĆ KOŚCIOŁA

Około dwa miesiące po chrzcie w rzece Ohio, kiedy to przed setkami stojących na brzegu ludzi pojawiła się gwiazda, otrzymałem od Boga kolejną wizję. Było to zaraz przed uroczystością położenia kamienia węgielnego pod budowę mojej kaplicy. Zaprosiłem mojego dobrego przyjaciela, majora Ulreya z Wolontariuszy z Ameryki¹⁶, który miał zagrać podczas tej uroczystości.

Tego dnia obudziłem się mniej więcej o szóstej rano. Słońce w stanie Indiana już weszło, a cała natura wydawała różne dźwięki. Spojrzałem przez okno. Ptaszki śpiewały, pszczoły brzęczały, a delikatny zapach zieleni nasycił powietrze. Leżałem rozmyślając: „O wielki Jehowo! Jaki Ty jesteś wspaniały. Jeszcze przed chwilą było ciemno, a teraz weszło słońce i cała natura się cieszy”. Potem przysłała mi kolejna myśl: „Wkrótce także ten zimny i ciemny świat cieszyć się będzie razem z naturą, ponieważ wzejdzie Słońce Sprawiedliwości z uzdrowieniem na swoich skrzydłach”.

Kiedy tak uwielbiałem Boga, nagle poczułem w pokoju obecność anioła Pańskiego. Obróciłem się na łóżku i od razu znalazłem się w wizji. Myślę, że

¹⁶ Wolontariusze z Ameryki – amerykańska organizacja chrześcijańska, odpowiednik armii zbawienia, która oferuje ubogim pomoc zarówno duchową jak i finansową (uw. tł.).

to widzenie (choć w tedy jeszcze go nie rozumiałem) ma wielki związek z moją obecną służbą, ponieważ staram się doprowadzić kościoły do punktu, gdzie będą mogły mieć ze sobą lepsze stosunki. Nie chcę pozwolić, żeby dzieliły je jakieś sekciarskie koncepcje. Jestem zdania, że każdy chrześcijanin powinien chodzić do wybranego przez siebie zboru, lecz równocześnie mieć społeczność z innymi i także im okazywać Bożą miłość.

W wizji zobaczyłem samego siebie stojącego na brzegu Jordanu, głoszącego ludziom ewangelię. Usłyszałem za sobą coś, co brzmiało jak chrząkanie świń. Gdy się obejrzałem, stwierdziłem: „To jest święta ziemia, po której chodził sam Jezus, a teraz cała okolica jest zanieczyszczona”. W tej wizji zacząłem głosić przeciwko temu. Anioł Pański zabrał mnie do mojej kaplicy, chociaż nawet kamień węgielny nie został jeszcze położony (w wizji widziałem kaplicę dokładnie taką, jak wyglądała po zakończeniu budowy). Rozejrzałem się dookoła. Wszędzie jak okiem sięgnąć stali ludzie, wielki tłum. Zobaczyłem w wizji trzy krzyże. Potem postawiłem takie same trzy krzyże w mojej kaplicy, tak samo, jak widziałem w tej wizji. Jeden z nich, środkowy, był trochę większy – ten właśnie powiesiłem za kazalnicą. Zawołałem: „O, to jest cudowne, to jest wspaniałe!”

Potem w wizji podszedł do mnie anioł Pański i powiedział: „To nie jest twoja kaplica”. Zaoponowałem: „O Panie, z pewnością moja”. Lecz On odpowiedział: „Nie, chodź i patrz”. Wyprowadził mnie na zewnątrz, a ja spojrzałem w górę ku jasnemu, niebieskiemu niebu. On znowu powiedział: „To będzie twoja kaplica!”. Gdy znów spojrzałem w dół, zobaczyłem, że znajduję się w sadzie owocowym, przez którego środek przebiegała ścieżka, na której stałem. Drzewa były posadzone w dużych zielonych donicach. Po jednej stronie rosły jabłka, a po drugiej duże śliwki. Po prawej i po lewej stronie dostrzegłem też dwie puste donice.

Zaraz potem usłyszałem głos mówiący z nieba: „Żniwo jest dojrzałe, lecz robotników mało”. Zapytałem: „Panie, co ja mogę uczynić?”. Nagle zauważyłem, że drzewa wyglądały jak ławki kościelne, które już widziałem w wizji o mojej kaplicy. Na końcu rzędu, w samym tyle, stało duże drzewo, z którego gałęzi zwisały różnego rodzaju owoce. Po obu jego stronach stały dwa małe drzewka bez owoców. A ponieważ stały obok siebie, wydawało się, że są to trzy krzyże. Zapytałem, co to oznacza oraz jakie znaczenie mają te puste donice. On odpowiedział: „Będiesz w nich sadił”. Więc ułamałem gałązki z obu drzew i posadziłem w pustych doniczkach. Nagle wyrosły z nich dwa duże drzewa, które sięgały aż do nieba.

Potem przyszedł potężny, szumiący wiatr, który poruszył drzewami. Głos przemówił: „Wyciągnij rękę. Dobrze się spisałeś, teraz możesz zebrać plon”

i ten potężny wiatr strącił do mojej prawej ręki soczyste jabłko, a do lewej ręki dużą śliwkę. Powiedział: „Zjedz te owoce, są smaczne”. Zacząłem więc jeść: ugryzłem po kawałku z każdego owocu, które były niezwykle słodkie.

Myszę, że ta wizja miała związek ze zgromadzeniem ludzi różnych kościołów razem. W wizji chodziłem od drzewa do drzewa, tak aby na każdym był taki sam owoc.

Następnie usłyszałem głos, który powiedział: „Żniwo jest dojrzałe, a robotników bardzo mało”. Spojrzałem na to środkowe drzewo, które wyglądem przypominało krzyż, a z jego gałęzi zwisało dużo jabłek i śliwek. Upadłem pod tym drzewem i krzychałem: „Panie, co mogę uczynić?”. Wiatr zaczął strącać owoce, a one jak deszcz padały na mnie. I znów usłyszałem Głos: „Gdy opuści cię wizja, przeczytaj II List do Tymoteusza 4”. Trzy razy zostało to powtórzone, a potem znowu znalazłem się w swoim pokoju. Sięgnąłem po Biblię i zacząłem czytać: „Głos Słowo... Albowiem przyjdzie czas, że zdrowej nauki nie ścierpią (podział w kościołach na punkcie nauki), ale według swoich upodobań nabierają sobie nauczycieli, rządzni tego, co ucho łechce... Wykonuj pracę ewangelisty, pełnij rzetelnie służbę swoją!”.

Wyrwałem tę kartkę z mojej Biblii i razem z moim świadectwem włożyłem pod kamień węgielny, który jeszcze tego samego dnia został położony. Czym jest ta zdrowa nauka? Wierzę, że jest to Boża miłość działająca między ludźmi. A więc moim powołaniem nie było być pastorem – chociaż krótko potem nie byłem posłuszny wizji i zostałem poddany wielkim próbom, ponieważ nie poszedłem za tym wezwaniem – jednak później Bóg wysłał mnie na Swoje pole, abym to dzieło czynił. Dożyłem tego czasu, w którym ta wizja się wypełniła. Dziękuję Bogu za tę skromną usługę, przez którą próbuję doprowadzić Boży lud do jedności, aby stał się jednym sercem i jedną duszą.

WIZJA IV: CUDOWNE UZDROWIENIE KALEKIEGO DZIECKA

„I stanie się, że wyleję Mego Ducha na wszelkie ciało; wasi synowie i wasze córki będą prorokować, starcy będą mieli sny, a młodzi mężczyźni będą oglądali wizje” (Księga Joela 2, 28). To są słowa proroka. Wierzę, że żyjemy w tym czasie.

Ta wizja, którą chcę opisać, jest bardzo szczególna. Otrzymałem ją w domu mojej matki, gdzie zatrzymałem się na jedną noc, krótko po wybuchu ostatniej wojny w Europie. Obudziłem się przed świtem ze strasznym ciężarem na sercu. Modliłem się przez dłuższą chwilę, ale nie odczułem ulgi. Minęły dwie godziny. Potem nagle znalazłem się w wizji i zobaczyłem siebie, jak wspinam się na jakiś pagórek i zbliżam się do małego ubogiego domku. Wszedłem do

środku. W pokoju zauważyłem czerwoną sofę i czerwone krzesło, na którym siedziała stara kobieta w okularach i płakała. Na łóżku po prawej stronie leżał mały, ciemnowłosa, trzy lub czteroletni chłopczyk. Widać było, że jest bardzo chory. Jego małe ciało było wykręcone, a w szczególności jedna ręka i nogi. W drzwiach stała ciemnowłosa kobieta, prawdopodobnie matka, i gorzko płakała. Naprzeciw łóżka stał wysoki mężczyzna o ciemnej karnacji – ojciec. Powiedziałem sam do siebie: „Czy to nie jest dziwne? Przed chwilą jeszcze znajdowałem się w domu mojej matki”. Spojrzałem w prawo, a obok, w białej szacie stał anioł Pański. Na początku nie wiedziałem, co mam zrobić. Jednak zrobiło mi się żal tego dziecka leżącego na łóżku. Anioł rzekł do mnie: „Czy to dziecko może żyć?”. Odpowiedziałem: „Tego nie wiem”. Anioł znowu powiedział: „Niech ojciec przyniesie to dziecko do ciebie, a ty połóż rękę na jego brzuchu”. Ojciec przyniósł je do mnie, a ja modliłem się, kiedy nagle ojciec upuścił dziecko na ziemię. Kiedy uderzyło nóżką o ziemię, zaczęła się rozprostowywać. Chłopczyk zrobił jeden krok i jeszcze jeden, a potem podszedł do kąta pokoju. Później to dziecko podeszło do mnie i powiedziało: „Bracie Branham, mam się dobrze”. Anioł zapytał: „Czy zastanawiałeś się nad tym?”. Odrzekłem: „Tak jest!”.

Potem kazał mi stać spokojnie i przeniósł mnie na wiejską, żwirową drogę. Spojrzałem w prawo, gdzie znajdował się cmentarz. W oczy rzuciło mi się parę większych nagrobków. Powiedział: „Przeczytaj nazwiska i numery na tych nagrobkach”. Tak też zrobiłem. Potem przeniósł mnie na jakieś skrzyżowanie. W pobliżu znajdował się mały sklep spożywczy i cztery czy pięć domów. Ze sklepu wyszedł stary mężczyzna z białym wąsem, w kombinzonie i z żółtą, sztruksową czapką na głowie. Anioł powiedział: „On cię poprowadzi”. Potem przeniósł mnie po raz trzeci i tym razem znalazłem się w pewnym domu. U drzwi zobaczyłem młodą, płaczącą kobietę. Wszedłem do tego domu i po lewej stronie zauważyłem stary, metalowy piec. Na ścianach pokoju była żółta tapeta w małe czerwone figurki. Wisiał tam napis: „Niech Bóg błogosławi nasz dom”. Na środku znajdowało się duże, mosiężne łóżko, a w kącie stało małe łóżeczko. Na łóżku ktoś leżał i strasznie cierpiał. Potem zobaczyłem, że to dziewczynka, a jej nogi były okropnie powykręcane. Obejrzałem się, a anioł znów stał po mojej prawej stronie i zapytał mnie: „Czy ta dziewczynka może żyć?”. Odpowiedziałem: „Panie, tego nie wiem”. On odpowiedział: „Połóż na nią swoją rękę i módl się”.

Kiedy się za nią modliłem, usłyszałem w pokoju głos: „Chwała Panu!”. Spojrzałem, a dziewczynka wstała. Jej prawa ręka, która wcześniej była wykrzywiona do tyłu, teraz zaczęła się prostować. Podobnie jej skrzywiona noga wyprostowała się. Słyszałem, jak niektórzy krzyczeli i wielbili Pana.

Zaczynałem powoli wychodzić z tej wizji, kiedy usłyszałem wołanie: „Bracie Branham, bracie Branham!”. Spojrzałem na zegarek i okazało się, że minęło kilka godzin, a dzień się już zaczął. Wołał mnie jakiś młody mężczyzna o imieniu John Himmel, którego ochrzciłem wraz z żoną. Powiedział do mnie: „Bracie Branham, jestem w tarapatkach. W czasie wojny zszedłem na złą drogę i od tamtego czasu straciłem jedno dziecko, a teraz mój synek umiera. Lekarz powiedział, że on tego nie przeżyje. Wstydzę się o to prosić, ale może przyszedłbyś się pomodlić za moje dziecko?”. Obiecałem mu, że przyjdę.

Powiedział, że przyprowdzi jeszcze swego kuzyna, brata Snellinga, który niedawno się nawrócił (obecnie jest współpastorem w mojej kaplicy), by nas wsparł w modlitwie. Zgodziłem się chętnie, nie wiedząc jeszcze, że on pomoże w wypełnieniu się mojej wizji. Gdy dojeżdżaliśmy do jego domu, zapytałem: „Panie Himmel, czy nie mieszka pan przypadkiem w małym, dwupokojowym podłużnym domku?”. Odpowiedział: „Tak”. Pytałem dalej: „Czy w pokoju gościnnym nie znajduje się czerwone krzesło i łóżko, na którym leży pański synek? I czy ten chłopczyk nie ma przypadkiem brązowych włosów i nie ma na sobie niebieskich spodenek ze sztruksu?”. On odparł: „To się dokładnie zgadza. Czy byłeś kiedyś u mnie w domu?”. Odrzekłem: „W tym momencie, kiedy pan mnie wołał, właśnie go opuszczałem”. Naturalnie nie zrozumiał tego. Zapytałem go: „Panie Himmel, czy pan mi wierzy?”. Odpowiedział: „Całym sercem”. Potem powiedziałem do niego tymi słowami: „Tak mówi Duch: twoje dziecko będzie żyło”. To co powiedziałem, wywołało w nim tak wielkie przekonanie, że zatrzymał samochód, skłonił głowę na kierownicy i zaczął krzyczeć: „O Boże, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem!”. Właśnie tam, parę kilometrów od jego domu, oddał swoje serce Chrystusowi, zanim jeszcze jego dziecko zostało uzdrowione.

Kiedy dojechaliśmy do domu, dziecko już umierało. Płuca były pełne śluzu i ledwie można było wyczuć jego oddech. Powiedziałem: „Przynies mi to dzieciątko!”. W czasie modlitwy nic się nie wydarzyło. Dziecko nie mogło oddychać i prawie się udusiło. A myślałem, że zostanie uzdrowione od razu. Nauczyłem się tam, że można popełnić błąd, jeśli całkowicie nie podporządkuje się wizji. Wszystko musiało być tak, jak w wizji, w innym wypadku nic się nie wydarzy. Zauważyłem, że nie było tam tej starej kobiety, którą widziałem siedzącą na krześle. Nie mogłem nikomu o tym powiedzieć, lecz wiedziałem, że muszę czekać, aż wszystko będzie w całkowitym porządku. Oni mnie pytali, co się stało, ale nic im nie powiedziałem. Musiałem czekać na Boga, aby mogła się wypełnić wizja. Pomyślałem, że chyba zawiodłem Boga przez to, że nie czekałem na Jego czas. Czekałem półtorej godziny. W końcu pan Himmel i pan Snelling wstali, włożyli płaszcze i zamierzali wyjść. Dziecko już prawie nie żyło. Zbliżała się godzina szósta. Przypadkowo popatrzyłem przez okno

i zauważyłem, jak pewna stara kobieta wychodziła zza rogu domu. Zacząłem uwielbiać Pana. Nie wiadomo, czemu ta kobieta weszła tylnymi drzwiami (zazwyczaj wchodziła od przodu), właśnie wtedy, gdy ci dwaj mężczyźni mieli zamiar wyjść przodem. Ta starsza pani zapytała, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Matka zaczęła płakać: „Ależ ono umiera, umiera!”. Pan Snelling, który był z nimi spokrewniony, zawrócił, a ja szybko wstałem, by podać mu czerwone krzesło. Zdjął kapelusz i płacząc, usiadł. Babcia zdjęła okulary, całe mokre od łez, i usiadła na drugim krześle. Matka, płacząc, oparła się o drzwi. Wreszcie wszystko ułożyło się tak, jak oglądałem to w wizji! Podeszedłem do wejściowych drzwi i powiedziałem do pana Himmela: „Czy nadal pan mi ufa?”. Odpowiedział: „Tak, bracie Branham”. Przyznałem, iż jest mi przykro, ale nie mogłem mu powiedzieć, że wyprzedziłem wizję.

Powiedziałem znowu: „Proszę przynieść to dziecko!”. Podeszedł do łóżka, wziął małego i przyniósł go do mnie. Zacząłem się modlić: „Ojczy, z głębi serca żałuję, że Twój sługa wyprzedził wizję. Przebacz mi, proszę! O Panie, daj poznać tym ludziom, że Ty jesteś Bogiem, a ja Twoim sługą. W imieniu Jezusa Chrystusa mówię, że to dziecko będzie żyć”.

Podczas, gdy trzymałem moje ręce na dziecku, ono zaczęło głośno krzyczeć: „Tato, tato!” i odzyskało przytomność. Chłopczyk objął ramionami swego ojca, a wszyscy zaczęli krzyczeć, płakać i wielbić Pana. Powiedziałem: „Weź dziecko i połóż na łóżku, bo tak mówi Duch: Miną jeszcze trzy dni, zanim jego małe kończyny wyprostują się zupełnie, jak to było w wizji. Później chłopiec powróci do zupełnego zdrowia”.

Trzeciego dnia wielu ludzi zgromadziło się, by udać się do domu tego chłopca. Moja żona poszła również jako świadek. Ta rodzina nie wiedziała, że przyjdę, lecz gdy matka otworzyła drzwi i zobaczyła mnie, powiedziała: „O, brat Branham przyszedł! Proszę wejść. Z naszym chłopcem już lepiej”. Gdy wszedłem, wszyscy podeszli do okien, by zobaczyć, co się stanie. Stałem spokojnie, nie otwierałem ust, bo wiedziałem, że Bóg dotrzyma Swego Słowa. Było to tak jak w przypadku Pawła, który — potem, gdy anioł Pański przyszedł do niego — czternastego dnia burzy powstał na statku i powiedział: „Wszystko tak się stanie, jak zostało mi powiedziane, gdyż wierzę Bogu”. Ja również wiedziałem, że to dziecko podejdzie do mnie o własnych siłach. Stałem tam tylko chwilę; ten chłopczyk spojrział na mnie, podbiegł, włożył swoją rękę w moją dłoń i rzekł: „Bracie Branham, mam się dobrze”. Alleluja! Boża obietnica nie może zawieść. Gdy wizja się wypełnia, to wypełnia się w doskonały sposób.

Wizja o uzdrowieniu kalekiej dziewczynki:

Jeżeli chodzi o drugą część wizji, to powiedziałem moim zborownikom, że gdzieś na świecie jest dziewczynka z wykręconą nogą i ręką, która także

według wizji powinna zostać uzdrowiona. Minęły mniej więcej dwa tygodnie, gdy pewnego dnia, podczas gdy wracałem z pracy do domu, mój kierownik i przyjaciel, Herbert Scott, powiedział: „Billy, tutaj jest list do ciebie”. Byłem w tym momencie zajęty, więc wsunąłem go do kieszeni, ale kiedy zacząłem schodzić po schodach, coś mi powiedziało: „Przeczytaj ten list”. Otworzyłem go i, na ile to sobie dobrze przypominam, było tam napisane:

Drogi Bracie Branham! Mam czternastoletnią córkę, która na skutek artretyzmu ma wykręconą prawą rękę i nogę. Należymy do kościoła metodystów i mieszkamy w South Boston, w stanie Indiana. Czytaliśmy Pana książeczkę pt. 'Jezus Chrystus ten sam wczoraj, dzisiaj i na wieki'. Nasz pastor powiedział, że to nic innego jak bzdury i że jest to tylko nowy '-izm'. Jednak po zgromadzeniu modlitewnym mocno odczułam, aby napisać do Brata list. Czy mógłby Brat przyjechać i pomodlić się za moją córkę, by stał się cud?

Z poważaniem,
Harold Nale

Coś powiedziało mi, że to jest właśnie ta dziewczynka. Pokazałem list mojej żonie, która zgodziła się ze mną, że to musi być ona. Postanowiłem pojechać do South Boston. Nigdy jeszcze tam nie byłem i nie wiedziałem, gdzie to się znajduje. Diakon z mojego zboru, brat Wiseheart, powiedział jednak, że mniej więcej się orientuje, gdzie to jest, i że może pojechać ze mną.

Państwo Brace'owie również chcieli się ze mną zabrać. Pojechaliliśmy razem moim samochodem. Siostra Brace została uzdrowiona na jednym z moich zgromadzeń, a teraz chcieli razem z mężem zobaczyć na własne oczy, jak wypełnia się wizja. Szybko jednak zgubiliśmy trasę i musieliśmy nadrobić parę kilometrów, zanim dojechaliliśmy na miejsce. W końcu ktoś wskazał nam właściwą drogę. Prowadziłem samochód i zacząłem się bardzo dziwnie czuć. Siostra Brace pomyślała, że mam problem z oddychaniem. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Coś chyba z tobą nie tak. Jesteś bardzo błądy”. Odpowiedziałem: „Nie, nic mi nie jest; anioł Pański jest blisko”. Zatrzymałem samochód, wysiadłem i oparłem stopę na tylnym zderzaku. Spojrzałem w bok i zobaczyłem cementarz. Popatrzyłem na nagrobki i wiecie co: na nich były napisane te same nazwiska i daty, które widziałem w wizji. Wróciłem do samochodu i powiedziałem: „Jedziemy w dobrym kierunku”. Siostra Brace zaczęła płakać. Przejechaliliśmy kolejnych parę kilometrów. Rzekłem: „Gdy dojedziemy do tego sklepu na skrzyżowaniu, pewien stary człowiek w niebieskim kombinezonie z żółtą, sztruksową czapką na głowie wskaże nam dalszą drogę”. Wkrótce dojechaliliśmy do sklepu z pomalowaną na żółto ścianą frontową. W pobliżu było cztery czy pięć domów. Powiedziałem: „To jest dokładnie to miejsce”.

Gdy podjechałem bliżej, ze sklepu wychodził właśnie mężczyzna z siwymi wąsami, w niebieskim kombinezonie, z żółtą, sztruksową czapką. Gdy pani Brace go zobaczyła, zemdląła w samochodzie. Gdy ów mężczyzna przybliżył się do nas, zapytałem go: „Czy pan wie, gdzie mieszka Harold Nale? Pani, która ma kalekę córkę?”. On odpowiedział: „Tak, proszę pana, dlaczego pan o to pyta?”. Odpowiedziałem: „Bóg pragnie ją uzdrowić. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest ten dom”. Spojrzałem na tego starego człowieka. Łzy zaczęły spływać mu po policzkach pokrytych siwym zarostem, a jego wargi zaczęły drżeć, kiedy wskazywał nam to miejsce.

W drzwiach przywitała mnie matka dziewczynki, mówiąc: „Pan jest bratem Branhamem. Rozpoznałam pana na podstawie fotografii”. Zaprosiła nas do środka, a tam zastałem już wszystko dokładnie tak, jak to oglądałem w wizji: stary duży piec, żółte tapety z czerwonymi figurkami, wielkie mosiężne łóżko, na którym leżała dziewczynka, a na ścianie napis: „Niech Bóg błogosławi nasz dom!”. Widząc to, pani Brace po raz drugi zasłabła. Potem coś się wydarzyło. Podszedłem do łóżka, gdzie leżała dziewczynka, położyłem na niej swoją rękę i powiedziałem: „Objaw Swoją moc przez to, że uzdrowisz tę dziewczynkę, zgodnie z wizją, którą mi pokazałeś”. Zaraz potem dziewczynka wyprostowała wykrzywioną rękę. Usiadła na łóżku i jej noga także się wyprostowała. Pan Brace zdążył ocucić swoją żonę w porę, by mogła zobaczyć, jak dziewczynka wstaje z łóżka. Widząc to, zemdląła po raz trzeci i osunęła się na ręce swego męża. Dziewczynka wstała, poszła do drugiego pokoju i ubrała się. Potem wróciła czesząc zdrową ręką włosy. Pani Harold Nale, która mieszka teraz w Salem, w stanie Indiana, może poświadczyć, że dokładnie tak się stało.

WIZJA V: WIZJA W MILLTOWN

Od ostatniej wizji minęło kilka tygodni. Znowu znajdowałem się w domu mojej matki. Tak jak większość pozostałych wizji, tą też otrzymałem między drugą a trzecią godziną w nocy. Wydawało mi się, że idę przez ciemny las. Kiedy tak szedłem, do mych uszu dobiegł nagle przejmujący krzyk. Wydawało mi się, że to beczy owca. Pomyślałem: „Gdzie jest to małe, biedne stworzenie?” i zacząłem szukać jej w tej ciemności wśród zarośli. Myślałem najpierw, że to głos podobny do owczego: „bee... bee...”, lecz kiedy zbliżyłem się do źródła tego dźwięku, wyraźnie usłyszałem i rozpoznałem ludzki głos wołający: „Mil-l-l-town Mil-l-l-town!”.

Nigdy wcześniej nie słyszałem takiej nazwy. W tym momencie wizja się urwała. Opowiedziałem o niej moim znajomym i powiedziałem im, że gdzieś

znajduje się Boża owieczka w potrzebie, która mieszka w okolicy Milltown. Jeden z moich zborowników, George Wright, powiedział, że Milltown leży niedaleko jego miejsca zamieszkania. (Brat Wright mieszka w De Pauw w stanie Indiana). W następną sobotę udałem się więc do Milltown.

Kiedy już dojechałem, zacząłem rozglądać się po mieście, ale nie wiedziałem, w jakim celu Pan mnie tam posłał. W końcu zdecydowałem, że zacznę głosić na ulicy, naprzeciw pewnego sklepu. Brat Wright miał coś do załatwienia i poprosił mnie, abym z nim poszedł. Zgodziłem się. Wyjechaliśmy na pagórek, skąd zobaczyłem duży kościół baptystyczny, położony w pobliżu cmentarza. Brat Wright powiedział: „W tym kościele nie ma już zgromadzeń. Używają go tylko do odprawiania pogrzebów”. W chwili, kiedy to mówił, poczułem, że coś poruszyło moje serce. Pan chciał, żebym się tam znalazł. Gdy to powiedziałem bratu Wright, rzekł: „Przyniosę klucze, potem będziesz mógł wejść i zobaczyć go od środka”.

Kiedy poszedł po klucze, usiadłem na schodach i zacząłem się modlić: „Ojciec Niebieski, jeśli to jest to miejsce, gdzie Ty chcesz mnie mieć, wtedy otwórz mi do tego drzwi!”. Tak też się stało, więc zorganizowałem zgromadzenie. Nie minęło wiele czasu, kiedy przekonałem się, że nie będzie łatwo, gdyż w okolicznych zborach głosząco przeciwko Bożemu uzdrowieniu.

Pierwszy człowiek, którego zaprosiłem na to zgromadzenie, powiedział mi: „Jesteśmy zbyt zajęci, by brać udział w jakimkolwiek zgromadzeniu przebudzeniowym. Hodujemy kurczaki i nie mamy czasu na coś takiego”. Niedługo potem ten mężczyzna zmarł i nie udało mu się wyhodować już więcej żadnego kurczątka.

W następną sobotę rozpoczęliśmy zgromadzenie przebudzeniowe. Wzięły w nim udział tylko cztery osoby, a była to rodzina Wright. Następnego wieczoru było już nieco lepiej. Na trzecie wieczorne zgromadzenie przybył pewien człowiek o groźnym spojrzeniu. U drzwi kościoła wystukał popiół z fajki i usiadł w tyle. Potem zapytał brata Wright: „Który to ten Billy Sunday¹⁷? Chcę go zobaczyć!”. Brat Wright podszedł do przodu i powiedział mi, że właśnie do budynku wszedł pewien bardzo ciężki przypadek. Zanim jednak to nabożeństwo się zakończyło, ów człowiek znalazł się przy ołtarzu i wołał do Boga o miłosierdzie. Nazywał się William Hall i niedawno został pastorem w tym zborze.

Wkrótce zaczęło się schodzić wiele osób. Wspomniałem im o wizji, którą miałem. Na to zgłosił się brat Hall, który powiedział: „Bracie Branham, przecież na wzgórzu mieszka dziewczyna, która czytała twoją książkę „Jezus

¹⁷ Wpływowy amerykański ewangelista wyznania prezbiteriańskiego [uw. tł.]

Chrystus ten sam wczoraj, dzisiaj i na wieki”. Ona od ośmiu lat i dziewięciu miesięcy leży przykuta do łóżka. Choruje na gruźlicę, a lekarze już lata temu powiedzieli, że nie ma żadnej nadziei. Ma już teraz około dwadzieścia trzy lata. Jest całkiem wychudzona i waży zaledwie dwadzieścia kilogramów. Ta dziewczyna płakała i naprawdę chciała, żebyś do niej przyszedł. Jej rodzice jednak należą tutaj do pewnego kościoła, w którym ogłoszono, że jeśli ktoś pójdzie na twoje zgromadzenie, zostanie z tego kościoła wykluczony. Czy mimo to zechcesz tam pójść?”

Odpowiedziałem: „Pójdę, jeżeli przekonasz jej ojca i matkę, by mnie tam wpuścili”. Czuję, że Bóg chce, żebym się tam udał. Dziewczyna nazywała się Georgie Carter, a jej ojciec, jak mi się wydaje, był głównym dozorcą kamieniołomu. Matka przekazała mi, że mogę odwiedzić jej córkę, lecz ani jej ojciec, ani ona sama nie będą w tym czasie obecni w domu.

Kiedy wszedłem do pokoju, zobaczyłem na łóżku moją książeczkę. Zapytałem więc: „Wierzy pani w to, co pani czytała?”. Odparła: „Tak!”. Wypowiedziała to tak cichutko, że musiałem się przybliżyć, by usłyszeć, co mówi. Wtedy nie wiedziałem jeszcze tak dużo o uzdrowieniach jak teraz, lecz modliłem się z ludźmi, jeżeli w wizji widziałem ich uzdrowionych. Opowiedziałem jej o dziewczynce państwa Nale’ów, która została uzdrowiona, i powiedziałem, by się modliła, aby Bóg dał mi wizję dotyczącą jej uzdrowienia. Oczywiście później nauczyłem się, że przez wiarę w Słowo Boże każdy może być uzdrowiony, chociaż Bóg i tak wiele uzdrowień objawia mi przez wizje.

Nabożeństwa odbywały się dalej. Bóg wciąż dodawał swoje błogosławieństwo. W zgromadzeniach brało udział nawet po kilkaset osób. Pewnego dnia w Totton Ford w rzece Blue ochrzciłem trzydzieści czy nawet czterdzieści osób. Krótco przedtem miał tam zgromadzenia pewien kaznodzieja, który głosił przeciwko zanurzaniu w wodzie. Jednak w owe popołudnie Bóg objawił Swoją moc w taki sposób, że około piętnaście osób weszło do wody w swoich wyjściowych ubraniach i zostali tam ochrzczeni.

Przez cały ten tydzień Georgie modliła się: „O Panie, przyslij brata Branhama znowu, by mnie odwiedził. Pokaż mu w wizji, że ja mogę być uzdrowiona, tak żebym razem z pozostałymi mogła być ochrzczona”. Gdy nadszedł dzień chrztu, dziewczyna była bardzo niespokojna i nieustannie płakała. Matka usiłowała ją uspokoić, lecz jej serce było złamane i nie mogła się opanować.

Po chrzcie poszedłem na kolację do domu brata Wrighta. Był tam obecny również brat Brace, który był świadkiem wypełnienia się poprzedniej wizji. Lecz Duch w tym momencie powiedział do mnie: „Nie jedz teraz niczego, ale idź do lasu i módl się!”. Powiedziałem więc wszystkim zebrany: „Idę na chwilę się pomodlić, a kiedy kolacja będzie gotowa, to zadzwonić dzwoneczkiem (oni mieli taki stary, wiejski dzwonek, którym zwoływano na posiłki),

a wtedy przyjdę”. Zaraz potem poszedłem w głąb lasu i zacząłem się modlić. Nie było to jednak łatwe, gdyż w lesie rosło wiele kolczastych krzaków, które nieustannie czepiały się mego ubrania, a ja w dodatku stale rozmyślałem, że spóźnię się na nabożeństwo. Zacząłem więc modlić się z całego serca i wnet pogrążyłem się w Duchu. Nagle usłyszałem, jak ktoś wołał z głębi lasu. Wstałem. Słońce już zaszło i robiło się coraz ciemniej. Nawet się nie zorientowałem, że dzwonek na kolację już od dawna dzwonił, a teraz bracia poszli mnie szukać. Kiedy podniosłem głowę, na niebie zauważyłem żółte światło, którego blask wpadał do lasu. Głos przemówił: „Udaj się do rodziny Carterów”. To było wszystko. Potem usłyszałem, jak ze wszystkich stron lasu rozlegają się jakieś głosy: „Bracie Branham, bracie Branham!”. Wybiegłem z lasu i o mało nie wpadłem w ramiona brata Wrighta. Powiedział mi: „Kolacja już od godziny jest gotowa, a my wołamy cię i szukamy. Co się stało?”. Odpowiedziałem: „Nie mogę jeść. Jedziemy do Carterów. Pan posyła mnie tam, aby uzdrowić Georgię”. On spytał: „Czy jesteś tego naprawdę pewien?”. Zawołał brata Brace’a. Wsiedliśmy do samochodu i udaliśmy się do Carterów, którzy mieszkali jedenaście kilometrów stamtąd. Pozostałym powiedzieliśmy, żeby zjedli kolację, a potem udali się do zboru. Nie mogliśmy na nich czekać, gdyż wizja ponaglała mnie, abym wyruszył od razu.

Bóg jednak działał po obu stronach. Przypominacie sobie z pewnością, że tak właśnie było, gdy anioł przemówił do Piotra. W domu Marka zgromadzili się wierzący i trwali w modlitwie. W tym też czasie Georgie stała się bardzo niepokojna. Matka była tak tym zaniepokojona, że wyszła do drugiego pokoju i zaczęła się modlić: „Panie, co mam czynić? Ten Branham, który tu przyszedł, wytrącił moją córkę z równowagi, a ona przecież już od dziewięciu lat jest umierająca. Kim właściwie jest ten człowiek?”. Wtedy zstąpił na nią Duch modlitwy. Nagle usłyszała Głos, który powiedział: „Spójrz w górę!”. Gdy podniosła głowę, miała wrażenie, że na ścianie widzi jakiś cień. Po chwili stwierdziła, że była to osoba i wydawało jej się, że to Jezus. Zapytała: „Panie, co mam uczynić?”. Pan przemówił do niej w widzeniu: „Zobacz, kto podchodzi do drzwi”. Wtedy zobaczyła mnie w towarzystwie dwóch mężczyzn. Poznała mnie po wysokim czole i po tym, że trzymałem Biblię przy piersi. Rzekła: „Ja nie śnię, ja nie śnię”. Pobieгла do następnego pokoju i zawołała: „Georgie, coś się stało!”. Zaczęła opowiadać jej to widzenie. Jeszcze nie skończyła, kiedy usłyszała, jak zatrzasnęły się drzwi. Spojrzała, a ja właśnie wchodziłem do środka. Nie pukałem. Wszedłem od razu do środka. Matka o mało nie upadła nieprzytomna na krzesło. Od razu podszedłem do łóżka i powiedziałem: „Siostró, bądź dobrej myśli. Jezus Chrystus, któremu służyłaś, którego kochałaś i do którego się modliłaś, wysłuchał twoje modlitwy i przysłał mnie tutaj w oparciu o wizję. Powstań, proszę, gdyż On cię uzdrowił”.

Uchwyciłem jej dłoń. Pamiętajcie, że ona już od wielu lat nie wstawała z łóżka. Trudno było nawet rodzicom zmienić pod nią prześcieradło, tak wiele miała odleżyn. Jej głowa wyglądała prawie jak kwadrat; oczy miała głęboko zapadnięte, a ręce przypominały kije do miotły. Lecz gdy powiedziałem, że Jezus Chrystus ją uzdrowił, podniosła się zaraz i wstała. Jej matka zaczęła krzyczeć. Po raz pierwszy od dziewięciu lat zobaczyła córkę chodzącą, nie z własnej siły, lecz przez moc Ducha Świętego i bez jakiegokolwiek ludzkiej pomocy. Gdy już wychodziłem z ich domu, wbiegła jej siostra i też zaczęła krzyczeć.

Gdy później powrócił jej ojciec i zobaczył swą córkę siedzącą przy pianinie i grającą, to niemal zemdłał. Poszedł do miasta i zaczął wszystkim ludziom opowiadać, co się wydarzyło. Dziewczyna wyszła na podwórze, usiadła na trawniku i zaczęła dziękować Bogu za trawę i liście. Spojrzała w górę, w niebo, i powiedziała: „O Boże, jaki Ty jesteś dla mnie dobry!” Była niezmiernie szczęśliwa.

Na wieczornym nabożeństwie kościół był przepiękny. Gdy nadeszła niedziela, mieliśmy znowu chrzest. Obie — Georgie i dziewczynka Naleów — zostały tamtego dnia w Totton Ford ochrzczone. Georgie jest teraz pianistką w kościele baptystycznym w Milltown i jest zupełnie zdrowa. Pamiętaj, drogi Czytelniku, Jezus Chrystus jest ten sam wczoraj, dzisiaj i na wieki.

OSOBISTE ŚWIADECTWO GEORGII

Przez osiem lat i dziewięć miesięcy leżałam plackiem w łóżku z powodu gruźlicy. Lekarze nie dawali mi żadnych szans. Ważyłam zaledwie dwadzieścia dwa kilogramy i nie było już dla mnie żadnej nadziei. Wtedy do naszego domu przybył kaznodzieja William Branham z Jeffersonville w stanie Indiana, które oddalone jest o sześćdziesiąt kilometrów od naszego domu. W wizji widział owcę, zagubioną na pustkowiu, która beczała: „Milltown” (to jest miejscowość, w której mieszkam). Brat Branham nigdy wcześniej tu nie był, nie miał tu też znajomych. Kiedy wszedł do pokoju, położył na mnie ręce i pomodlił się w imieniu drogiego Pana Jezusa. Coś mnie uchwyciło, więc nagle wstałam i zaczęłam dziękować Bogu za Jego moc uzdrowienia. Po upływie ponad ośmiu lat pierwszy raz wyszłam z domu. Potem zostałam ochrzczone w rzece. Obecnie jestem pianistką w tutejszym zborze baptystycznym. Otrzymałam dużo więcej niż samo uzdrowienie. W tym świadectwie nie jestem w stanie wszystkiego opisać. Z przyjemnością jednak napiszę ze szczegółami każdemu, kto jest zainteresowany moim uzdrowieniem.

Georgie Carter
Milltown, Indiana

WIZJA VI: UZDROWIENIE WILLIAMA BRANHAMA

Kolejna, wiele dla mnie znacząca wizja, dotyczy cudownego uzdrowienia, jakie miałem otrzymać. Przyszła ona krótko po wizji, w której widziałem Chrystusa. Czułem się w tej wizji bardzo szczęśliwy, jak gdybym dopiero co się nawrócił; podskakiwałem i radowałem się. Wyszedłem na ulicę, a było ciemno, i gdy tak szedłem, nagle podbiegł do mnie duży, czarny pies – przynajmniej tak mi się wydawało. Myślałem, że chce mnie ugryźć, więc kopnąłem go i powiedziałem: „Uciekaj, psie”.

Gdy to uczyniłem, ten pies wstał i okazało się, że jest to wysoki, ubrany na czarno mężczyzna o ciemnej karnacji. Powiedział: „Nazwałeś mnie psem, co?”. Odpowiedziałem: „Bardzo przepraszam; myślałem, że to jest pies, ponieważ pan był na czworakach”. On warknął: „Nazwałeś mnie psem: zabiję cię” i wyciągnął zza pasa długi nóż. Odrzekłem szybko: „Proszę mnie zrozumieć, nie wiedziałem, że pan jest człowiekiem. Myślałem, że to pies”. Gdy zbliżył się do mnie, stwierdziłem, że wygląda jak demon. Pchnął mnie do tyłu w kierunku wejścia i zagroził: „Dam ci nauczkę. Zabiję cię!”. Odrzekłem: „Nie boję się śmierci; ponieważ przyjąłem Jezusa do serca. On jest moją pomocą i siłą. Chcę tylko, by pan zrozumiał, że to była zwykła pomyłka”. Nie zważając na to rzekł: „Zabiję cię”. Stałem tam bezsilny, przyparty do muru, a on podniósł rękę, by zadać mi cios.

Krzyknąłem głośno i w tym momencie usłyszałem dźwięk dochodzący z nieba. Od prawej strony zstąpił z nieba potężny anioł, który ostrym spojrzeniem zmierzył tego człowieka trzymającego nóż w ręce. Mężczyzna ów cofnął się szybko, upuścił nóż i co sił zaczął uciekać. Potem anioł spojrział na mnie i uśmiechnął się. Następnie owinął się w swoją szatę i powrócił do nieba. Wyglądał na tego samego anioła, który mnie jeszcze później odwiedzał.

Pląkałem z radości, kiedy uświadomiłem sobie, że Bóg posłał anioła, aby mnie chronił.

Naprawdę wierzę, że ta wizja wypełniła się mniej więcej przed dwoma laty, kiedy to szatan zapędził mnie w kozi róg wprowadzając mnie w okropny stan nerwowy, przez co o mało nie odebrał mi życia. Gdy wydawało się, że nadszedł mój koniec, Bóg posłał na scenę swojego anioła, który mnie wyzwolił.

Przez całe moje życie co parę lat miałem takie okresy, że byłem bardzo nerwowy. Podczas jednej z kampanii pozostawałem za kazalnica dzień i noc, modląc się za chorymi, tak że na sen miałem niewiele czasu. Inne spotkania i nabożeństwa przeciągały się często do drugiej godziny w nocy. Wiedziałem, że popełniam błąd, lecz nie mogłem sobie pomóc, kiedy widziałem tak wielu chorych i cierpiących, zwłaszcza kiedy uświadomiłem sobie, że dla większości z nich jest to sprawa życia i śmierci. I tak stopniowo stawałem się coraz

słabszy i słabszy, lecz nie chciałem się poddać i pracowałem dalej. W końcu jednak po kampanii w miejscowościach Tacoma i Eugene powiadomiłem braci o moim stanie zdrowia i poprosiłem o odwołanie wszystkich zapowiedzianych wcześniej kampanii, bym mógł udać się na dłuższy wypoczynek. Byłem tak wyczerpany nerwowo, że sam siebie pytałem, czy w ogóle jeszcze będę mógł pracować na polu misyjnym.

Powróciłem więc do mojego domu w Jeffersonville, lecz wszystko wskazywało na to, że już nie odzyskam pełni sił. Myślałem, że chyba umrę. Pewnego dnia przyszedł do mnie jeden z moich diakonów, Curtis Hooper, i zapytał: „Czy czujesz się już nieco lepiej?”. Odpowiedziałem: „Nie, absolutnie nie, wydaje mi się, że sam nie utrzymam się na nogach”. On powiedział: „Bracie Branham, mam pewną sprawę do załatwienia na lotnisku. Chodź ze mną, na pewno dobrze ci to zrobi”. Gdy tam doszedłem, poczułem się bardzo źle i pomyślałem, że już nie wrócę do domu o własnych siłach. Wszedłem do hangaru i zacząłem się modlić. Krzychałem: „O Boże, wiem, że popełniałem błędy. Proszę Cię, przebac mi. Ludzie chcą ode mnie zbyt wiele. Nie wiem, co mam robić. Tylko Ty możesz mi pomóc. Panie, nie potrafię już tego dłużej wytrzymać”. Jakoś udało mi się wrócić do domu.

Mniej więcej w tym czasie udałem się do kliniki Mayo, by poddać się badaniom i zobaczyć, co tak naprawdę było ze mną nie w porządku. Musiałem się udać do Rochester w Minnesocie na pięć upalnych, sierpniowych dni. Trafiłem na dobrych lekarzy, którzy starali się znaleźć przyczynę mego osłabienia. Poddali mnie wszelkim możliwym badaniom.

Przez cały mój pobyt tam modliłem się. Mówiłem Panu, że na moje zgromadzenia przychodzili ludzie z różnego rodzaju załamaniem nerwowym, a On ich uzdrawiał. Darował mi także cudowne wizje o uzdrowieniach innych, a oni byli potem uwolnieni. Modliłem się: „Panie, Ty nie pokazałeś mi nigdy w wizji mojego własnego uwolnienia z tej strasznej choroby nerwowej”. Siły mnie tak bardzo opuściły, że – jak się wydawało – nie byłem w stanie wierzyć Słowu Bożemu. Następnego dnia miał być ostatnim dniem moich badań.

Kiedy obudziłem się tamtego poranku, wiedziałem, że za parę godzin pójdę tam, aby otrzymać orzeczenie, co ze mną było nie w porządku. Zawsze będę Bogu wdzięczny za to, co się potem stało. Chcę Bogu ciągle dziękować za to, co się bezpośrednio po tym wydarzyło. Otrzymałem bowiem wizję. Najpierw zobaczyłem małego chłopca, około siedmioletniego. Wyglądał identycznie jak ja w tym wieku. Stałem przy nim i uczyłem go polować. Zaraz obok znajdowały się gęste zarośla i powiedziałem chłopcu, by nie przybliżył się do nich, bo tam żyje bardzo niebezpieczne zwierzę. Podniosłem patyk i stuknąłem w pień pobliskiego drzewa. Nagle po jednej z jego gałęzi przebiegło zwierzątko o długości około piętnastu centymetrów. Wyglądało jak

łasica i miało małe, czarne, przenikliwe oczy. O, to było małe i przebiegłe stworzenie.

Zaraz spostrzegłem, że chce nas zaatakować. Nie miałem strzelby. Wszystko, co wziąłem ze sobą, to był mały nóż myśliwski. Wiedziałem, że z tym nożem i tak jestem bez szans. Chciałem, żeby chłopiec schronił się za moimi plecami, ale on nagle gdzieś zniknął. Zwierzę błyskawicznie skoczyło w moim kierunku, jednak zanim mnie zaatakowało, usłyszałem po mojej prawej stronie głos anioła Pańskiego, który mówił: „Pamiętaj, ono ma tylko sześć cali”.

Potem to zwierzę wskoczyło na moje lewe ramię. Z lewego skoczyło na prawe, a potem tak szybko, jak tylko potrafiło, znowu z powrotem na lewe. Nie umiałem przebić go nożem, a kiedy otworzyłem usta, by coś powiedzieć, wskoczyło mi przez gardło do żołądka i zaczęło wyżerać mnie od środka. Wykrzyknąłem: „O, co ja mam zrobić?”. Znowu usłyszałem głos mówiący: „Pamiętaj, ono ma tylko sześć cali”.

Gdy ta wizja się skończyła, rozejrzałem się wokół. Zobaczyłem córeczkę Becky i moją żonę śpiące w łóżku. Wiedziałem, że to widzenie dotyczyło choroby mojego żołądka i osłabienia nerwowego. W tym czasie mój żołądek nie chciał już nic przyjmować i ważyłem już tylko około czterdziestu kilogramów. Potem przypomniałem sobie, że anioł powiedział: „Pamiętaj, ono ma tylko sześć cali”. Modliłem się: „O Boże, pomóż mi zrozumieć znaczenie tej wizji”. Zacząłem rozmyślać: może oznacza to, że jeszcze przez sześć miesięcy będę nerwowo chory. Pomyślałem jednak, że pewnie nie o to chodzi. Potem przyszło mi na myśl, że może odnosi się to do sześciu lat, lecz to również nie wydawało mi się właściwą odpowiedzią.

Aż do wtedy nie zastanawiałem się, ile razy miałem takie nerwowe załamania. Moje usta same się poruszyły i powiedziałem: „Może oznacza to, że będę przechodził je sześć razy”. Właśnie w tym momencie odczułem Ducha Świętego przychodzącego na mnie z wielką mocą. Potężny chrzest Ducha powiał znowu nade mną. W sumie sześć razy. Zacząłem więc liczyć, ile razy już przeżywałem załamanie nerwowe. Po raz pierwszy miało to miejsce, kiedy miałem mniej więcej siedem lat. W tym czasie dużo płakałem, bo w naszej rodzinie działo się bardzo źle — mój ojciec naprawdę dużo pił, a ja przez to stałem się przygnębiony i bardzo nerwowy. To załamanie powtarzało się mniej więcej co siedem lat. Policzyłem wszystkie i wyszło, że teraz jest to dokładnie szósty raz. Cieszyłem się, gdyż nagle poczułem pewność, że to będzie ostatnie takie załamanie nerwowe.

Myślałem, że może lekarze będą chcieli mnie operować i wyciąć nieco moich nerwów żołądkowych. Jednak skalpel chirurgiczny odpowiadał przecież małemu nożowi w wizji, a on był bezskuteczny.

Poszedłem do kliniki po diagnozę. Kiedy lekarze się zebrali, zaczęli mi zadawać pytania. Odpowiadałem im tak dokładnie, jak tylko potrafiłem. Wówczas zabrał głos naczelny lekarz i powiedział: „Młody człowieku, jest mi przykro, że muszę to powiedzieć, lecz pański stan jest czymś, co pan odziedziczył po swoim ojcu. Pański ojciec pił, zanim pan się urodził. Pan nigdy nie wyzdrowieje. Pańskie nerwy atakują żołądek i powodują odrzucanie pokarmów. Nie ma na to lekarstwa i nie możemy nic zrobić. Będzie pan to miał do końca życia”.

Pomyślcie — najlepsi lekarze świata mówili, że będę miał to do końca życia! Lecz chwała Bogu, że zanim to wypowiedzieli, Pan już przemówił do mnie w wizji i powiedział mi, że to koniec tej okropnej sprawy.

Poszedłem do domu. Moja matka wyszła mi naprzeciw i powiedziała: „Mój synu, miałam o tobie sen”. Już kiedyś wcześniej o mnie śniła. Było to kilka dni po moim nawróceniu, gdy widziała mnie, stojącego na białym obłoku, jak głoszącego całemu światu. (To właściwie się wypełniło. Mam nadzieję, że wkrótce będę miał tę możliwość pojechać do krajów europejskich, do Afryki oraz Australii).

Moja matka mówiła dalej: „Mój synu, niedawno w nocy, kiedy spałam i byłam sama w pokoju (to była ta sama noc i pora, kiedy otrzymałem wizję), we śnie wykonywałam jakąś pracę i widziałam cię leżącego w łóżku na werandzie, już prawie martwego. Wiedziałam, że możesz odejść w każdej chwili. Następnie usłyszałam dziwne dźwięki, jak gruchanie gołębi. Pobiegłam do ciebie i zobaczyłam sześć białych gołębi, nadlatujących z nieba, w formie litery ‘S’. Naraz zatrzymały się nad twoją piersią, całe łśniąc. Były to najbialsze gołębie, jakie kiedykolwiek widziałam, i gruchały: ‘gru... gru... gru...!’. Zachowywały się tak, jakby było im przykro z jakiegoś powodu. Poczym gruchając, odleciały w kierunku nieba, skąd przybyły. Potem widziałam, jak wstałeś i byłeś zupełnie zdrowy”.

O, jak mi to dodało otuchy! Dwa dni później siedziałem na werandzie i czytałem książkę brata Boswortha pt. „Chrześcijańskie wyznanie”. Następnie otworzyłem Biblię. Nie wierzę w otwieranie Biblii na losowo wybranym miejscu Pisma jako sposób na otrzymanie jakiejś wiadomości od Boga. Tym razem jednak, gdy ją otworzyłem, oczy moje skierowały się na Księgę Jozuego 1, gdzie jest napisane: „Bądź mocny i mężny, nie bój się i nie lękaj się, bo Pan, Bóg twój będzie z tobą wszędzie, dokądkolwiek pójdziesz”. Bóg mówił do mnie przez objawienie, wizję i Słowo. Potem nagle usłyszałem Głos: „Ja jestem Pan, który cię leczę”. Przyjąłem to, poszedłem do domu, wziąłem moją żonę w ramiona i powiedziałem: „Moja kochana, Bóg mnie uzdrowił”.

Chwała! Miłuję Go z całego mego serca! Dziś cieszę się lepszym zdrowiem aniżeli przedtem. Jestem pełny wdzięczności. Dopóki żyć będę, chcę Mu dziękować. Podczas mojej najciemniejszej godziny przyszedł do mnie Jezus, a Bóg wysłuchał moją modlitwę.

ROZDZIAŁ 22

PODRÓŻ DO SKANDYNAWII

Przez niemal trzy lata brat Branham otrzymywał zaproszenia z państw skandynawskich, z prośbą, aby przeprowadził tam serie zgromadzeń uzdrowieniowych. Z wielu powodów nie udawało mu się tam pojechać, chociaż od początku wyraźnie czuł, że za tymi zaproszeniami stał Bóg. Gdy w styczniu 1950 r. ponownie dołączyłem do ekipy, brat Branham poprosił mnie, żebym zaczął planować podróż do Finlandii. Był to krok wiary z naszej strony, gdyż w tym czasie nie dysponowaliśmy pieniędzmi na tyle, by pokryć wydatki związane z podróżą (dla całej ekipy złożonej z pięciu osób, bilet na samolot kosztował w jedną stronę 2.200,- dolarów¹⁸). Nie dość tego, brat Branham na krótko wcześniej borykał się z problemami finansowymi i musiał spłacić trochę długów. Niemniej jednak podczas kampanii w lutym i marcu wpłynęła dostateczna ilość pieniędzy, by spłacić długi oraz zarezerwować bilety dla całej ekipy. Z początkiem kwietnia zakończyły się trzydniowe zgromadzenia w Gład Tidings oraz Manhattan Center w Nowym Jorku i całe towarzystwo, czyli brat Branham, kaznodzieja J. Ern Baxter, kaznodzieja Jack Moore, Howard Branham i ja, przygotowaliśmy się na podróż do Europy.

6 KWIETNIA 1950 ROKU

6 kwietnia 1950 roku o godzinie 15.00 całą ekipą wsiedliśmy do dużego, transkontynentalnego samolotu Flagship Scotland i poleciliśmy do Londynu. 6 kwietnia 1909 roku na świat przyszedł William Branham. Tego samego

¹⁸ Około 46.000,- pln [uw. tł.]

dnia w roku 1917 Stany Zjednoczone zrezygnowały ze swojego izolacjonizmu i przyłączyły się do I Wojny Światowej. Historycy twierdzą również, że 6 kwietnia 30 roku naszej ery Chrystus zmarł na krzyżu. Można więc wybaczyć członkom ekipy, że uznali 6 kwietnia za ważną datę.

Samolot leciał przez Atlantyk na wysokości 6 kilometrów nad poziomem morza, z prędkością 500 kilometrów na godzinę, by następnego dnia wylądować na lotnisku Northolt niedaleko Londynu. Zatrzymaliśmy się tam na kilka dni, aby zwiedzić niektóre historyczne budowle oraz kościoły największego miasta świata. Gwoździem programu była wizyta w kaplicy Wesleya. Zwiedzając prywatne mieszkanie Johna Wesleya, wstąpiliśmy do pokoju, w którym ten wielki kaznodzieja modlił się każdego dnia o piątej rano. Zanim wyszliśmy, wszyscy uklękliśmy i wspólnie się pomodliliśmy. Takich chwil jak ta się nie zapomina.

Kolejne dwa dni spędziliśmy w Paryżu, gdzie również zwiedzaliśmy znane miejsca, a potem już skandynawskim samolotem kontynuowaliśmy naszą podróż do Finlandii. 14 kwietnia wylądowaliśmy w Helsinkach, gdzie przywitało nas kilku kaznodziejów z pastorem Manninenem włącznie, od którego otrzymaliśmy zaproszenie i naszą tłumaczkę, siostrę Mayę Isaacson, z urodzenia amerykankę, której znajomość fińskiego bardzo przyczyniła się do sukcesu zgromadzeń w Finlandii. Pierwsze nabożeństwo odbyło się w Messuhalli, a wzięło w nim udział około 7.000 osób. Po tym nabożeństwie, już wczesnym popołudniem utworzyła się kolejka na 800 metrów długa, gdzie kilka tysięcy ludzi ustawionych czwórkami stało, by zapewnić sobie miejsce siedzące w największym audytorium w Finlandii.

Na okres pięciu dni, kiedy audytorium było wynajęte na coś innego, cała ekipa udała się do Kuopio, miasta na północy kraju, w pobliżu koła podbiegunowego. Tamtejsi ludzie byli pełni wiary i miało tam miejsce kilka niezwykłych cudów. Jednym z nich było uzdrowienie Veery Ihalainen, sieroty, której rodzice zginęli w czasie wojny. Kiedy z wiarą dotknęła marynarki brata Branhama, przechodzącego koło niej, została uzdrowiona i nie musiała więcej ani chodzić o kulach, ani nosić gorsetu usztywniającego. Podczas dwóch lub trzech wieczorów wyglądało to tak, że ludzie podchodzili, a brat Branham tylko krótko modlił się za każdego z nich. Po każdym zgromadzeniu zostawał spory stos kul i lasek, których ludzie już więcej nie potrzebowali. Brat Baxter przemawiał na popołudniowych nabożeństwach, a jego poselstwa odbierane były z dużym zainteresowaniem. Brat Moore i ja prowadziliśmy nabożeństwa poranne i modliliśmy się szczególnie za głuchoniemymi i ślepyimi. Raz zostało uzdrowionych siedmiu czy ośmiu, jeden po drugim. Jeden z nich, chłopiec, tak szybko nauczył się języka, że można go było użyć jako tłumacza i porozumieć się z pozostałymi, którzy jeszcze nie odzyskali słuchu.

Zaskakujące było to, że głuchoniemi, którzy zostali uzdrowieni, potrafili się uczyć słów angielskich równie szybko jak fińskich.

Podczas pobytu w Kuopio wydarzyło się coś, czego nigdy nie zapomnimy. Zostało wzbudzone z martwych dziecko, które zginęło w wypadku, przejechane przez samochód. Okoliczności tego wydarzenia zostały wcześniej pokazane bratu Branhamowi w wizji. Oddajemy teraz głos pastorowi Vilho So-ininen z Kuopio, który złoży sprawozdanie z tego wyjątkowego zdarzenia:

W piątek po południu zdarzyło się coś niesamowitego, coś co wiele znaczy dla brata Branhama, jak i dla wszystkich świadków tego zdarzenia. Tego popołudnia trzema samochodami pojechaliśmy na wieżę widokową w Puijo, skąd rozciągała się malownicza panorama pobliskich pagórków. Spoczywało na nas takie Boże błogosławieństwo, że myślę, iż była to dla mnie jedna z najlepszych wycieczek. W drodze powrotnej z Puijo wydarzył się tragiczny wypadek, gdy jadący przed nami samochód nie zdążył wyhamować i uderzył w dwóch małych chłopców, którzy wybiegli na jezdnię wprost pod auto. Jednego z nich wyrzuciło na chodnik, a drugiego pięć metrów dalej w pole. Pierwszego zabrał do szpitala samochód jadący przed nami, natomiast drugiego, Kariego Holmę, wzięliśmy do naszego samochodu i złożyliśmy w ramiona brata Branhama, który siedział z tyłu, koło pani Isaacson. Brat Moore i brat Lindsay siedzieli z przodu obok mnie.

Jechaliśmy tak szybko, jak to tylko możliwe, by dotrzeć do szpitala. Zapytałem panią Isaacson, jak czuje się chłopiec. Brat Branham zbadał mu puls i powiedział, że prawdopodobnie już nie żyje, gdyż nie wyczuł żadnego tętna. Następnie położył rękę na piersi chłopca i stwierdził, że serce też nie bije. Na końcu sprawdził, czy oddycha, i też niczego nie wyczuł. Wtedy brat Branham uklęknął w samochodzie na podłodze i zaczął się modlić. Zaraz przyłączyli się do niego brat Lindsay i brat Moore, prosząc Pana, aby się zmiłował. A kiedy pięć czy sześć minut później zbliżyliśmy się do szpitala, ku mojemu zdziwieniu chłopiec nagle otworzył oczy. Gdy potem nieśliśmy go do szpitala, zaczął płakać, a wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że byłem świadkiem cudu.

Tego drugiego chłopca przywieziono nieco wcześniej, wciąż nieprzytomnego. Kiedy odwoziłem moich gości do hotelu, brat Branham powiedział mi: „Nie martw się, chłopiec, który był w naszym samochodzie, na pewno będzie żył”.

A następnego wieczoru zapewnił mnie na podstawie wizji, którą miał w niedzielę rano, że ten drugi chłopiec także przeżyje. Powiedział mi to w swoim pokoju hotelowym, w czasie, kiedy chłopiec walczył ze śmiercią. Lekarz jednak powiedział później, że tej samej nocy jego stan się poprawił, chociaż, kiedy to piszę (28. kwietnia), czasem jeszcze traci przytomność. (Późniejsza wiadomość potwierdza, że ten chłopiec powrócił całkowicie do zdrowia).

Chłopiec, którego zawieźliśmy do szpitala naszym samochodem, Kari, po trzech dniach został wypuszczony ze szpitala i czuje się bardzo dobrze.

W piątek na wieczornym nabożeństwie brat Branham opowiedział nam o wizji, którą otrzymał dwa lata wcześniej w Ameryce. Mówił to tysiącom zebranych ludzi, podkreślając, że wypełniła się ona właśnie podczas modlitwy nad tym martwym chłopcem. Jeszcze przed wieczornym nabożeństwem ukazał mu się anioł i przypomniał to widzenie, które otrzymał przed dwoma laty i o którym od tego czasu opowiedział już tysiącom ludzi. Teraz ta wizja się wypełniła. Przyjazd brata Branhama do Kuopio był częścią wiecznych planów Bożych! My ze zgromadzenia Elim w Kuopio, nie wiemy, dlaczego Pan był dla nas tak dobry, że dał nam możliwość przyjąć Jego służbę.

Kiedy w godzinach wieczornych opuszczaliśmy Kuopio, na dworcu zgromadził się tłum ludzi, którzy śpiewali wspaniałe fińskie pieśni w molowych tonacjach. Gdy pociąg oddalał się od dworca, melodie stopniowo cichły, lecz radosne wspomnienia z przeżytych dni w Kuopio długo pozostaną w naszej pamięci.

PIĘĆSET METRÓW OD „ŻELAZNEJ KURTyny”

Po powrocie do Helsinek brat Branham przez kilka kolejnych dni kontynuował nabożeństwa w Messuhalli. Pewnego poranka pojechaliśmy na granicę, gdzie zaczynała się „Żelazna Kurtyna”. Udało nam się podejść na odległość zaledwie 550 metrów od żołnierzy Armii Czerwonej. Do naszego samochodu podbiegł fiński strażnik graniczny i ostrzegł nas, że wkroczyliśmy do niebezpiecznej strefy. Chętnie więc zawróciliśmy do naszego hotelu. Komunistyczna część ludności Finlandii mocno sprzeciwiała się naszym zgromadzeniom, żądając nawet, by nas aresztowano. Jednak były szef policji w Kuopio, bardzo wpływowy człowiek, interweniował w naszej sprawie i mogliśmy w spokoju kontynuować zgromadzenia. Po zakończeniu kampanii poświęciliśmy trzy dni na odpoczynek. Spędziliśmy je w zamku należącem do pewnej bogatej chrześcijanki. Traktowano nas tam po królewsku. Któregoś wieczoru, kiedy włączyliśmy radio, by posłuchać moskiewskich wiadomości, niezłe się zdziwiliśmy, gdy w jednym komunikacie (oczywiście przetłumaczono nam go) powiedziano, że w Helsinkach, pod przykrywką religii, prowadzą swoją działalność amerykańscy szpiedzy. Od razu wiedzieliśmy, o kim mówili, i wcale nam się nie podobało, że przedstawiono nas w tak negatywnym świetle. Wiedzieliśmy, że gdyby z tego powodu wybuchły zamieszki, nie mielibyśmy żadnej możliwości ucieczki, gdyż rosyjskie karabiny były oddalone zaledwie o 16 kilometrów od stolicy. Mówiono wtedy, że

stosunki amerykańsko – rosyjskie pogorszyły się po tym, jak Sowieci zestrzelili amerykański samolot. Później okazało się to plotką, lecz mimo to byliśmy niespokojni. Strach nadal ogarnia Europę, a większa część narodu fińskiego zdaje sobie sprawę z tego, że to tylko kwestia czasu, kiedy pęknie tama komunistycznej potęgi, przeleje się przez granice, wpędzając świat w ferwor Armagedonu.

PUBLICZNE UZNANIE BOŻEGO UZDROWIENIA PRZEZ PASTORÓW FIŃSKIEGO KOŚCIOŁA NARODOWEGO

W dniu, w którym opuszczaliśmy Finlandię, otrzymaliśmy oficjalny list od jednego z kaznodziejów głównego kościoła państwowego. Informował nas w nim, że odbyło się tam powszechne zgromadzenie dla kaznodziejów, na którym większość, będąc pod wrażeniem zgromadzeń brata Branhama, po długotrwałej dyskusji zagłosowała za tym, by uznać tę służbę uzdrowieniową. To był wspaniały list i mamy nadzieję, że gdy tylko otrzymamy jego tłumaczenie, zostanie wydrukowany w „Głosie Uzdrawienia”. Brat Branham odpisał, że bardzo się cieszy i zachęcił braci, aby wierzyli Bogu, a te same wielkie rzeczy będą działały się między nimi.

Chociaż podano nam do wiadomości, że wszyscy obecni na tym zgromadzeniu kaznodzieje przyjęli prawdę Bożego uzdrowienia, wiedzieliśmy, że nie oznacza to, iż każdy jeden pastor kościoła państwowego był tego samego zdania. Można było spodziewać się, że nie minie wiele czasu, a powstaną przeciwnicy, lecz owego poranka treść listu rzeczywiście dodała nam zachęty. Przekonało nas to, że nasz pobyt w Finlandii nie był daremny.

NORWEGIA

Po pożegnaniu naszych dobrych przyjaciół z Finlandii, wsiedliśmy do samolotu i dwie godziny później wylądowaliśmy w Oslo, stolicy Norwegii. Tam spotkaliśmy się z podobnym zainteresowaniem miejscowej ludności. Na nieszczęście organizacje rządowe wypowiedziały się przeciwko usłudze Bożego uzdrowienia. Minister Zdrowia wydał zakaz publicznego modlenia się za chorych. Jako obcokrajowcy dobrze wiedzieliśmy, że przekroczenie tego zakazu spowoduje wydalenie nas z kraju. Jednak sytuacja przybrała nieoczekiwany i godny uwagi obrót; mianowicie grupa dwustu duchownych z Oslo niezwykle szybko i jednogłośnie wypowiedziała się przeciwko temu zakazowi. W ramach protestu sporządzili pismo, pod którym podpisały się jedne z najważniejszych osób w norweskich kręgach religijnych. Pismo brzmiało następująco:

Rząd Norwegii

Oslo, 5 maja 1950 r.

Uzdrowienie przez wiarę i modlitwę jest nieodłączną częścią ewangelii oraz głównym filarem w życiu i działalności Jezusa Chrystusa. Przez wszystkie stulecia miało mocną pozycję w życiu i głoszeniu chrześcijan.

Chrześcijańska część populacji Norwegii jednogłośnie stoi za tą sprawą, nawet jeśli kościoły czy regiony kraju nieznacznie różnią się w szczegółach tej kwestii.

Niżej podpisani wyrażają swoje niezadowolenie z powodu kroków podjętych przez organizacje rządowe i protestują przeciwko wydanym zarządzeniom oraz wprowadzaniu cenzury nad chrześcijańskim głoszeniem. Tego rodzaju zakaz można uznać za naruszenie podstawowych praw obywatela i poddaje w wątpliwość podstawy praktyk religijnych.

Sugerujemy natychmiastowe odwołanie zakazu wprowadzonego na mocy ustawy Urzędu Policji w Oslo.

Nazwiska komitetu protestacyjnego:

*H. Asak-Christiansen, Sekretarz Generalny Kościoła Baptystycznego w Norwegii,
Eivind Berggrav, Biskup Państwowego Kościoła,*

O. Hallesby, profesor i znany pisarz,

Ludvig Hope, Naczelny Sekretarz Armii Zbawienia w Norwegii,

J. B. James, wiceprzewodniczący Ewangelickiego Związku Kościołów,

Nils Lavik, członek parlamentu i wiceprezydent Towarzystwa Misji Wewnętrznej Zachodniej Norwegii,

Dr. Alf Lier, kierownik parlamentu Nonkonformistów i prezydent Kongresu Metodystów,

Thv. Storbye, przewodniczący Ewangelicznego Stowarzyszenia Kaznodziejów,

Alf Bastiansen, okręgowy kaznodzieja Kościoła Państwowego,

Daniel Braendeland, wydawca.

NIEDALEKO KRAINY POLARNEGO SŁOŃCA

Z Norwegii pojechaliśmy do Szwecji, gdzie mieliśmy kilka nabożeństw w mieście Goteborg, jedno w Jonkoping, a przez kolejne pięć dni w Orebro. W tym ostatnim znajduje się znana wysyłkowa drukarnia literatury chrześcijańskiej, Evangelipress. W pierwszym nabożeństwie, które odbyło się w parku, na wolnej przestrzeni, uczestniczyło pięć tysięcy osób. Nasz pobyt w Orebro był naprawdę przyjemny i wierzymy, że również owocny.

Z Orebro pojechaliśmy na północ do Ornskoldsvik, które jest położone niedaleko koła podbiegunowego. Obliczono, że w namiocie i wokół niego

łoczyło się około 6.000 osób. Mówiono, a mamy podstawę, by temu wierzyć, że było to największe zgromadzenie religijne, które kiedykolwiek odbyło się tak blisko północnego koła podbiegunowego. Chociaż była to dopiero połowa maja, to noce były tak jasne, że o północy można było robić zdjęcie namiotu!

Z Ornskoldsvik podróżowaliśmy dalej na południe w kierunku Sztokholmu, gdzie mieści się największy zbór zielonoświątkowy na świecie, z mniej więcej 6.500 aktywnymi członkami i szkółką niedzielną, liczącą niemal 5.000 osób. Nasza wizyta u brata Lewiego Pethrusa i jego syna Olivera, który w tym czasie był naszym tłumaczem, była punktem kulminacyjnym naszego pobytu w Sztokholmie. Lewi Pethrus, z wyglądu bardzo skromny lecz obdarzony wielką mądrością brat, przez ostatecznie czterdzieści lat miał bardzo wielki wpływ na rozwój ruchu Pełnej Ewangelii w Szwecji. Przez dwa popołudnia mieliśmy okazję siedzieć i słuchać opowiadań brata Lewiego o jego przeżyciach. Posiada on prostą wiarę, lecz zarazem duchowy spryt, który pozwolił mu położyć mocne podwaliny pod dzieło pełnej Ewangelii w Szwecji, dzieło znane na całym świecie.

Służba brata Branhama w Sztokholmie została dobrze przyjęta, tak że brat Pethrus, gdy przyszedł czas pożegnania, wyraził nadzieję, że brat Branham szybko powróci do Szwecji. I tak nasza podróż się zakończyła. Cieszyliśmy się wszyscy z naszego pobytu w Europie, lecz trzeba dodać, że poczuliśmy ulgę, gdy nasz samolot wzniósł się z pasa startowego lotniska w Sztokholmie i poleciliśmy do domu.

ZNOWU W DOMU

Następnego dnia samolot bezpiecznie wylądował w Idlewild, a my, członkowie ekipy Branhama, z uśmiechem na twarzach postawiliśmy stopy ponownie na amerykańskiej ziemi.

Brat Branham był znowu w Stanach, a skandynawska podróż przeszła do historii. Z utęsknieniem wyglądał zasłużonego odpoczynku i wyprawy w góry. Wkrótce jednak miał powrócić i dalej głosić podczas wielkich letnich kampanii, i w ten sposób kroczyć aż do końca drogą powierzoną mu przez Boga, wiedząc, że Bóg ochroni go przed każdym dziełem szatana i zachowa dla Królestwa Niebieskiego. Tak jak biblijny Daniel, brat Branham pragnie pozostać w swoim powołaniu aż do końca swoich dni.

